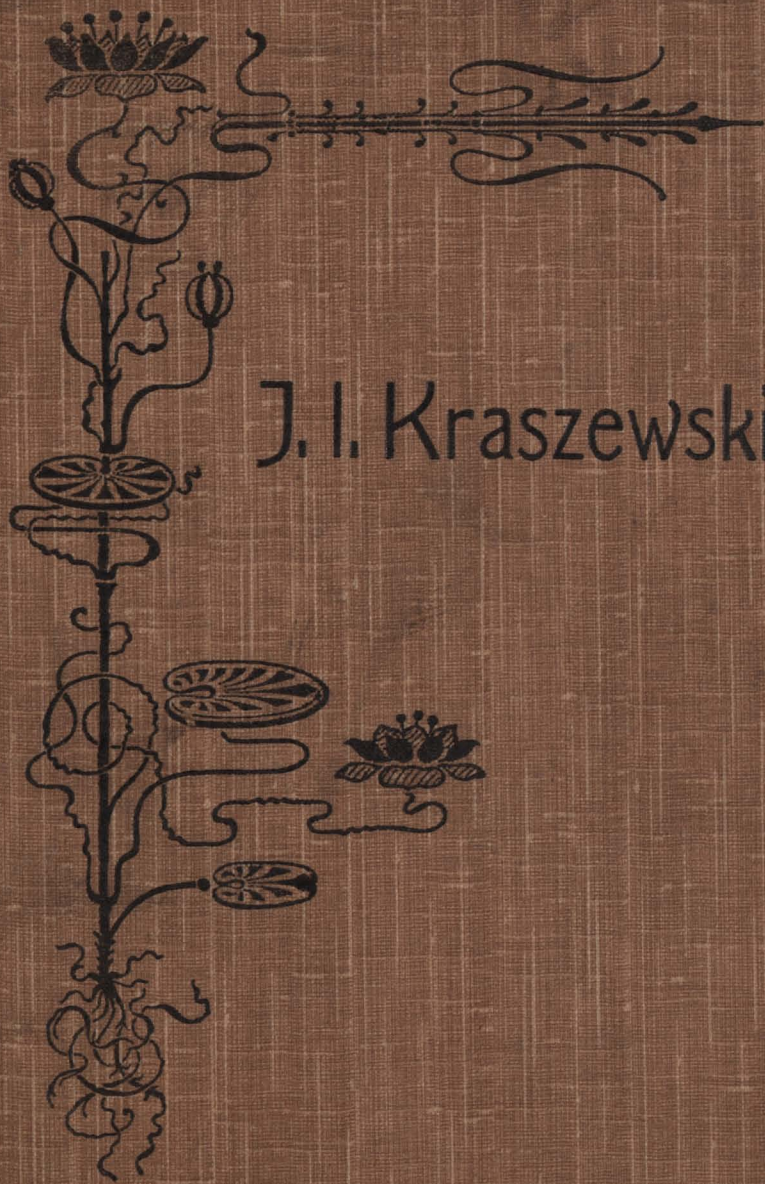


J. I. Kraszewski



POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom czterdziesty dziewiąty.

JASZKA ORFANEM

ZWANEGO

ŻYWOTA I SPRAW PAMIĘTNIK.

(Jagiellowie do Zygmunta.)

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Kraszewski

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1890.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Марта 1890 года.



h/1/1 295

~~~~~  
Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr 9.

ANDRZEJOWI HRAB. MNISZCHOWI,

JAKO

WDZIĘCZNE WSPOMNIENIE CHWIL SPĘDZONYCH

w Paryżu, r. 1883,

Z WYRAZEM NAJGŁĘBSZEGO SZACUNKU

przesyła

Autoc.

Drezno.  
Wrzesień 1883.



W imię Trójcy Przenajświętszej. Amen.

Przyrodzona każdemu człowiekowi, złego i dobrego w tem życiu zażywając, a na lepsze pracując — pożądać, aby po nim pomiędzy ludźmi pamięć na ziemi została.

Przeto się kładną grobowe kamienie i piszą księgi, z których każda niczem innem nie jest ino człowiekiem, a że człowiek z wieku swego wyszedł jak kureczę z jaja, więc zarazem księga i czasem jest, o którym daje świadectwo.

Ja też, maluczkie stworzenie, słabości tej czy prawu ulegając, z żywota mojego długiego, wielu przysgodami niepoślednimi odznaczonego, sprawę zdać pragnę, jakom na ten mizerny świat przyszedł, i jak z pomocą a za miłosierdziem Bożem, acz nie bez grzechu i obłędów po nim szedłem, ku temu kresowi, który pewnie już dziś jest blizkim.

Małym ci i nieznaczącym byłem i jestem, a żywot mój do wielu innych podobien, alem to szczęście miał, że się o wielkich i znaczących ocierał, na nich prawie nieustannie patrzałem — pisać więc o czem się znajdzie, nie o samym sobie.

Przeciąg też czasu niemały dał mi Pan Bóg przeżyć na tym padole, gdzie, jak na pobojuwisku, codzień niemal padających obok mnie widziałem, codzień sam paść się spodziewałem, i cudem prawie doszedłem późnej starości.



Ilu ich było, mój Boże, co i sił mieli nademnie więcej i prawa do życia, a w kwiecie kosą podcięci padli, gdy ja jako łopuch i pokrzywa pod płotem stojąca ocalałem...?

Aby świat ten zrozumieć, chyba nie z niego patrzeć potrzeba na sprawy ludzkie i losy — przecież wierzyć musimy, iż to co się dzieje, sprawiedliwem i dobrem być musi.

Nim więc pisać rozpocznę — naprzód przyznać muszę uroczyście, że jako za życia fałszem ust moich nie zmazałem nigdy, tak i kart tych nim nie zbruczę, pisząc prawdę czystą, choćby się do niej przyznać wstyd było.

Nie będę fałszem przodków sobie wymyślał żadnych — ilem wiedział tyle wyznam, a nie wszystko w życiu własnem było dla mnie jasnem. Takie było już przeznaczenie moje.

Od tego więc poczynąć muszę, ani się sromam wyznać, że ani roku urodzenia mojego, ani rodziców moich nie znam. Wina w tem nie moja, żem na ten świat przyszedł pono jako gość nieproszony. To tylko zaznaczyć mogę, iż żywot rozpocząłem w tych leciach, gdy wielkim księdzem był Kaźmirz, Jagiełłowy syn wtóry, za panowania w Polsce Władysława, który zginął, nieodżałowane panie — pod Warną walecząc z pogany.

Z dzieciństwa mojego mało co mi się w pamięci zostało, a to co sobie przypomnieć mogę, dlatego się może w umysł młody wraziło, że te pierwsze lata życia nie płynęły mi jednostajnie, a było w nich już dla dziecka zagadek i niespodzianek wiele.

Kobieta uboga, prosta mieszcanka, której imię było Sonka, a po mężu ją Gajdysową mianowano — opowiadała się matką moją, chociaż, jak się potem okazało, nią nie była. Mąż jej Gajdys na zamku miał około stajen książęcych zajęcie, był nad niemi starszym dozorcą, przyczem i młodsze żrebce ujeżdżał. Człek był dobroduszny, jako to najczęściej się

łącze i olbrzymy bywają, którym Pan Bóg daje zimną krew, gdy małym i słabszym kipi ona w żyłach. Mówił mało, śmiał się rzadko, jadł dużo, pił chętnie.

Mieszkali Gajdysowie we dworze pod zamkiem dolnym u furty, od której klucz miał dozorca, tak że zrana wstawszy, mógł zaraz do stajen przejść, od których nawet rżenie koni po nocach nieraz słychać było. Domostwo choć drewniane wygodne było i zaciszne, a że Gajdys zółd miał dobry, przy czem zboże, sukno, płótno i skóry mu ze skarbu co rok wydzielano, a podarki częste się trafiały — działał się więc im dobrze.

Krom mnie mieli Gajdysowie tylko o parę lat starszą córeczkę Marychnę. Jam też zwał się ich własnem dzieckiem, a nie mogę powiedzieć, tylko że Sonka tak się zemną obchodziła, takie dla mnie serce miała, jakbym w istocie był jej synem.

Później się to dopiero okazało, że Gajdysowie przez miłosierdzie mnie wzięli i jak dziecko własne hodowali, bo snadź rodzice moi przyznać się do mnie czy nie mogli, czy nie chcieli. Nie będę ich sądził ani im tego wyrzucał.

Wychowywałem się więc zprosta, nie nawykając do pieczęci i wykwintów żadnych — na chlebie razowym, mleku i kluskach, ni też do zbytku od chłodu i słoty strzeżony, za co Panu Bogu dziękuję, bo później mi niejeden trud, niewygoda, niedostatek ławiej było znosić, zawczasu się obywszy z niemi.

Ale niezawsze jednakowo bywało. Powszednich dni Gajdysowie tak się ze mną, jak z Marychną obchodzili, a niekiedy zjawily się dla mnie jakby święte i słoneczne doby.

Nadchodziły one niespodzianie, gdy w różnych porach we dworku się zjawiała nagle kobieta młoda, cała szatami otulona, z twarzą osłoniętą, którą gdy odkryła, oblicze się ukazywało dziwnej piękności



i blasku. Naówczas do chaty jakby promień wpadł słoneczny z nią razem.

Gajdysowa, ledwie rękę jej ucałowawszy, śpieszyła drzwiami zaraz na skobel zasunąć, i choćby kto się dobijał, to go już nie wpuszczano.

Przybyła pani rzucała się na mnie, porywała, sadzała na kolanach, okrywała pocałunkami, przyciskała do piersi, śmiała się razem i płakała.

Nawykły tak byłem do tego, iż mi przynosiła słodycze, zabawki dziecięce, przyodziewek różny, wygodny a nie bijący w oczy, żem za nią tęsknił, a gdy odchodzić miała, trudno mnie od niej oderwać było.

Nieraz, sam nie wiem, jak się to działo, ale pieśczętami jej utulony, objąwszy ją za szyję, na kolanach jej usypiałem, a słodsze snu w życiu nad ten nie było dla mnie.

Ale niekiedy wiele czasu upływało, a widać jej nie było, to znowu przez dni kilka z kolei wracała ciągle i dłużej przesiadywała; nie można było odgadnąć, ani kiedy się ona zjawi, ani na jak długo.

Wpadała czasem jak po ogień, a ledwie miał czas objąć ją i przytulić—uchodzić musiała.

Gajdysowa i mąż jej, oboje z wielkiem dla niej byli poszanowaniem, ona też im łaskawą i wielce dobroczynną. Nie odchodziła nigdy prawie, coś dla nich, dla Marychny i dla mnie nie zostawiwszy.

Gdym mówić począł, kazała mnie nieznajoma pani matką siebie zwać—Gajdysową też tak mianowałem i miałem ich naówczas dwie, a Bóg widzi, nie wydawało mi się, aby było nadto.

Ta matka, którą rzadziej widywałem, psuła mnie i pieściła, gdy Gajdysowa surowszą daleko będąc, naprawiała to, co tamta zepsowała.

Prostej kobiecie serce rozumu dolewało. Znała ona to dobrze, iż losy moje przyszłe niepewne były, więc zmięknąć mi nie dopuszczała. Owszem umyślnie na chłód, na słotę, do roboty mnie pędzała, ciągle

to powtarzając, że Bóg wie jeden co mnie czeka. Więc jak skorom chodzić począł, razem ze starszą Marychną bosom musiałem w podółku z podwórka trzaski obmokłe przynosić, drób zapędzać, małe posługi w domu spełniać, więcej dlatego, aby się nazwyczajał do wszystkiego, niżby gwałtowna była potrzeba.

Dla starszej córki swej Sonka bywała często surową, nieraz się jej kuksaniec dostał—mnie też bywało połaże, popchnie czasem, gdym szedł leniwo, ale nie uderzyła nigdy. Jeżelim co zbroił a przewinił srogo, wówczas brzozowy winnik, jakich do łaźni używano, z za pieca dobywała i nim mi groziła, ale na plecach moich nigdy on nie postał.

Sam Gajdys w domu siadywał mało; jam też z nim niewiele miał do czynienia, ale i on dobrym dla mnie był, a zdala mi się uśmiechał.

Wychodził zwykle z domu o świcie, potem jeść powracał, dwa razy we dnie, a wieczorem bywało i tak, że napity przyszedł. Wówczas już prosto się kładł i zasypiał.

Pani ta, która mi się matką nazywać kazała, dopóki młodszym był, przychodziła częściej—a potem coraz rzadziej... Wówczas niekiedy długo na osobności rozmawiała z Gajdysową, płakiwała trzymając mnie na kolanach, tak, że ciepłe jej łzy dobrze po dziś dzień na twarzy mojej pamiętam.

Bywało, że mnie osmolonego, nieumytego zastała—ale i chwili nie chcąc stracić, takim brała na kolana, jakim byłem, nie dawszy nawet Sonce ręcznikiem mnie otrzeć.

Pamiętam i to, com naówczas ledwie mógł zrozumieć, że ciągle do ucha jedno mi powtarzała;

— Nie zapomnisz ty o mnie? nie zapomnisz?

Tak razu jednego przybywszy poruszona, smutna, blada—płacząc powiesiła mi na szyi, na mocnym sznurku krzyżyk błyszczący, nalegając a przykazując mocno, abym go nigdy a nigdy nie zrzucił i nie stracił.



Do dziś też dnia ostał się on cudem na piersiach moich.

Długi potem czas nie widziałem jej wcale, a gdy mi się o nią tęsknie dopytywałem, Sonka mi odpowiadała, że odjechała daleko i nikt nie wie, kiedy znowu przybyć będzie mogła.

Rosłem tak dziko, jak one pokrzywy i łopuchy pod płotem i pospolita dziatwa wiejska i miejska, zabawiając się z rówieśnikami, ich językiem mówiąc i obyczajem przyjmując.

Do kościoła zamkowego stara Gajdysowa mnie i Marychę czasami tylko na święta prowadziła, a we dni powszednie, choć niedaleko do niego było — boso i w koszulinach nie wazyliśmy się. Nauczono nas tylko żegnać się, pacierza trochę, i gdy księdza spotkamy, w rękę go całować.

Małym jeszcze byłem, gdy — pamiętam, jak się dnia jednego strasznie zawieruszyło na zamku i w mieście, bo strach jakiś poszedł po ludziach, że nam naszego Wielkiego księdza Polacy chcą sobie odebrać na króla. Jednak do tego nie przyszło na razie i Kaźmirz w Wilnie pozostał. Odjeżdżał tylko parę razy, ale powracał wprędce. Utkwiło mi to w pamięci, bo gdy wyjeżdżał, ludzie go przeprowadzali, a powracającego witali z radością wielką, jak ojca, choć młody bardzo był.

Potem nagle w zamku się zrobiło pusto. Gajdys około stajen nie miał tak dalece co robić, bo w nich mało co koni zostało. Siadywał w domu a biedował, bo na próżniactwo skazany był.

Znowu lat kilka tak upłynęło. Pani owa, o której dobrze pamiętałem i dopytywałem o nią — bardzo rzadko i na krótko się pokazywała u Gajdysów. Nie zapomniała jednak o mnie, bo Sonka z odzieży, obuwia coś nowego mi dając, powiadała, że to wszystko miałem z jej łaski.

Jednego dnia Sonka stara, która cały dzień chodziła posępna mruczając sama do siebie i wzdychając,

jak miała we zwyczaju, gdy jej co dolegało, siadłszy wieczorem na ławie przy piecu, do siebie mi przyjsz kazała. Poglaskała mnie i pocałowała, bo miała macierzyńskie dla mnie serce, i zaczęła coś mówić, czego w początku zrozumieć nie mogłem, zapowiadając mi, że w końcu trzeba będzie mi gdzieindziej jechać i Gajdysów opuścić.

Rozplakałem się mocno, wołając, że nie chcę i nie dam się ztąd wziąć nikomu. Stara mnie uściskała i uspokoiła, więcej już nie chcąc mówić nic... Utkwiła mi groźba ta w pamięci i strach ogarnął, ale przeszedł wkrótce, gdy potem nie zmieniło się nic i przez czas dosyć długi mowy o tem nie było.

Naraz jednego dnia Sonka nie mi już nie powiadając, zabrała się do mycia i czesania od rana, przyodziała mnie jak na święto, choć dzień był powszedni, i na zapytanie, co to znaczyć miało, oznajmiła, że z Gajdysem mi pójść pozwoli patrzeć jak Kaźmirz, który już królem był, ale oni go tu zawsze Wielkim księdzem nazywali, do Trok na łowy jechać będzie.

Nauczyła mnie, ażebym, gdy nade drogą, którą ma przejeżdżać, stanieny — jak tylko ujrzę orszak pański, zaraz czapkę zdjął, a gdy się przybliży, głową do ziemi przypadł pokłonem.

Ciekawy byłem, jak każde dziecko, więc gdy potem Gajdys mnie za rękę wziął prowadzić, choć się trochę obawiałem, szedłem rad zobaczyć tego Wielkiego księdza, którego tylko zdaleka widywałem, bo my dzieci uciekaliśmy i kryliśmy się przed obcymi... Powiadano nam, że przed nimi ludzie jadą przodem z bieczyskami, którzy gawiedz i dzieci precz smagają.

Dnia tego, choć srany jestem i mógłby mi być wyjść z pamięci, nie zapomniałem dotąd, a stoi on tak żywo przed oczyma mojemu, jakbym go wczoraj oglądał... Staliśmy nade drogą u zamkowej bramy, a było nas ludu dosyć. Gajdys przecie tak siebie



i mnie umieścił, ciągle za rękę trzymając, żeśmy w pierwszym rzędzie byli.

Przez otwarte wrota w podwórzu zamkowym widać było dwór pański, który się szykował; jedni ze psy, z sokołami drudzy, z oszczepami, dzidami, panowie konno, wozy pod zwierzyną za niemi.

Mogłem nawet rozróżnić łatwo Polaków od naszych Litwinów po odzieży i kołpakach, bo Polacy strojnijesi byli i śmielsi niż nasi. Kilkoro paniań, co na króla czekali, tak bez mała wyglądali, jakby też książętami byli albo królewiczami. Choć się to na łowy wybierało, ale stroje mieli błyszczące od złota i srebra, a szable, kołczany i łuki lśniące całe.

Po tłumie jakby drżenie poszło. Tst! tsyt!—stawali wszyscy cisnąć się naprzód, odkrywały się głowy, orszak z zamku wyruszać począł.

Szła naprzód czeladź ze psy i sokołami, z sieciami z różnym rynsztunkiem, psiarze, łowczowie, dwór, a za niemi dopiero ukazali się panowie. Przodem jechał król, koło którego jakieś książętko tuż u boku postępowało, tak konia wstrzymując, aby królewski przodem szedł zawsze. Siedział na koniu gniadym, pokrytym suknem zielonem ze złotem, w sobolowem futurku, bo jesień była, w kołpaczku też z kun, czy z sobola, z mieczem u boku a drugim u kolana, twarz rumiana, ciemna i jakby opalona, z żywemi oczyma czarnemi śmiała się wesoło, bo wiadomem było, że tak jak ojciec łowy lubił, a nie miał dnia szczęśliwszego, jak gdy ruszył w lasy ze psy na myślistwo. Długi ciemny włos spadał mu na ramiona, a postawę miał pańską taką, że nie potrzeba było palcem nań ukazywać, iż on tu panem. Każdy w nim poczuł króla.

Śmiała mu się twarz, gdy coś rozповідаł jadącemu tuż przy sobie książęciu, ale pomimo to coś w niej surowego i poważnego trwogę patrząc nań obudzało. I tegom później zawsze doświadczał, często się zbliżając do Kaźmirza, iż choć dobrym, szczo-

drym, łaskawym się okazywał, majestat go zawsze jakiś otaczał, a groza i smutek z oczów jego patrzyły.

Czapeczynę moją zawczasu z głowy zdjawszy, przypadłem głową też do ziemi, już na zbliżających się patrzeć nie śmiejąc, aż Gajdys mnie podniósł i kazał prosto stać, a śmiałym być.

Gdy oczy podniosłem ku Kaźmirzowi, postrzegłem, że on w Gajdysa się począł wpatrywać, i jakby czegoś przy nim szukać oczyma. Aż jego oczy we mnie pilno wlepione zobaczyłem i uląkłem się tak, że mi się na płacz zbierać zaczęło, i gdyby mnie za rękę nie trzymał Gajdys, uszedłbym pewnie.

W tej chwili król właśnie zwolna podjechał ku nam tuż, przystanął nieco i odezwał się do tego, którego ojcem nazywałem.

— Gajdys, syn to twój?

Z pokłonem niskim potwierdził to dozorca stajenny, król w milczeniu długiem przypatrywał mi się, twarz mu spoważniała, nie rzekł już nic, koniowi ostrogę dał i ruszyli dalej.

Lżej odetchnąłem dopiero, gdy się oddalili, a Gajdys krótko coś pomówiwszy z temi co go otaczali, do domu mnie poprowadził. Zaledwieśmy tu przyszli, gdzie Sonka już w progu na nas niespokojna oczekiwała, i Gajdysowie coś z sobą pocichu szeptać poczęli. Ja też ośmielony a dumą przejęty, że tak blisko króla byłem, począłem Marychnie opisywać orszak i panów i wszystko com tam oglądał.

Tegoż dnia wieczorem Gajdys na zamek poszedł i dosyć tam długo zabawił, a gdy wrócił, pocichu się naradzali z żoną.

Skoro nazajutrz Sonka się znowu wzięła do umywania i czesania, a gdym zapytał, czy z ojcem gdzie pójdziemy—odpowiedziała pomyślawszy:

— Czas się tobie uczyć; ojciec cię zaprowadzi do wikarego, co przy kościele zamkowym mieszka, ten ci nauczycielem będzie.



Struchlałem słuchając, bo nie mogłem pojąć, do czego mi jaka nauka służyć miała i co to znaczyć mogło. Uczulem też, że to groziło utratą tej swobody, której dotąd używałem i zacząłem płakać.

Nauka w myśli stawiała mi z różgą razem. Nie wiem już jak Gajdys mnie zaciągnął na kanonię, i ze łzami w początku nie widziałem nic, głos tylko nad sobą usłyszawszy w izbie sklepionej, do której weszliśmy.

Napróżno opierałem się, kryjąc po za Gajdysem, popchnięto mnie gwałtem naprzód; dwie duże, suche, kościste ręce pochwyciły i schylona tuż siwa głowa zaczęła głosem łagodnym uspokajać mnie razem i śmiać się.

Nie wielem rozumiał, co do mnie mówił nauczyciel ów przyszły; lecz pochwili, trochę ochłonawszy, ciekawość mnie wzięła przypatrzeć się temu nowemu panu, któremu mnie na pastwę dać miano. Siedział przedemną stary człek, słusznego wzrostu, kościstej budowy, chudy, z głową i twarzą pociągłą, w sukni długiej czarnej i przypatrywał mi się, rękami coś ukazując, szepcząc coś niezrozumiałego, ale łagodnie i uspokajająco brzmiącego.

To wiem, że ze mnie dnia tego słowa dobyć nie mógł, choć i po głowie głaskał, i po ramionach klepał.

Dał mi więc pokój, do Gajdysa mówić coś zaczął, z drugiej izby chłopaka wywołał trochę starszego nademu i razem z nim odpuszcili mnie do domu, zapowiadając, iż nauka nazajutrz pocznie się rano.

Rozumnie to bardzo uczynił ksiądz wikary Łukis, że za towarzysza mi dał chłopię, którego choć nie znałem bliżej, widywałem je w ulicy. Z tem porozumienie się łatwiejszem było.

Otóż w jaki sposób naukę moją rozpocząłem u wikarego, który po kilku dniach całkiem mnie do siebie ośmielił i dzikość moją ugłaskał. Niech Bóg miłościw będzie duszy jego, wielem mu ja winien i modłę się

codziennie za niego. Na nauczyciela dziełek stworzony był ks. Łukis, bo ukochał je, a cierpliwości był świętej i można powiedzieć nadludzkiej.

Z uśmiechem dobrotliwym na ustach pokonywał krnąbrności nasze, lenistwo i ociężałość umysłu, nieznużoną swą łagodnością a wytrwałością niesłychaną.

Ze mną stało się to, czego pewnie ani on się nie spodziewał, ani ja sam po sobie. W początku do tej nauki jakiejś najmniejszej nie miałem ochoty, wstręt i obrzydliwość; postanawiałem opierać się tak jak koń, który się najeździć nie daje, bo wie, że potem na sobie ciężar dźwigać będzie musiał. Tymczasem nagle obudziło się coś we mnie: ciekawość, ochota, pragnienie i z dnia na dzień zupełnie się odmienił. Co to było i jaka mnie tknęła dusza Boża—nie wiem.

Od tej chwili nauka mi poczęła iść z taką łatwością, jak gdybym tylko przypomniał sobie to, co umiałem dawno i zabyłem... Zdumiewał się ks. Łukis i cieszył niezmiernie, całując mnie w głowę, a nad miarę chwalać. Niedawno ostatni, wyprzedziłem innych uczniów, i tak mnie gorąca żądza jakaś brała wszystko umieć, wiedzieć jak najwięcej, żem i zabaw wszelkich i pustot się wyrzekł dziecięcych.

W drugim roku potem ks. Łukis począł przebąkiwać, że mnie do innej szkoły dać potrzeba, ale rok cały potem zostałem jeszcze przy nim.

Życie moje całkiem się przez tę naukę zmieniło i w domu inaczej się ze mną obchodzono, patrzano na mnie inaczej. Sonka smutna była. Gajdys milczący, z Marychną na dawne zabawy czasu wcale nie miałem. Powoli się oswajając z tą myślą, że mi gdzieś indziej jechać przyjdzie, gotowałem się do podróży. Ks. Łukis mówił mi o Krakowie, jam też teraz obawy nie miał, ale ciekawość i pragnienie wielkie. Żal mi było Gajdysów i Wilna, bom się do moich przybranych rodziców przywiązał, ale obiecywałem im

*Faszka pamiętnik T. I.*



i sobie, że w Krakowie się wyuczywszy, powrócę nazad.

Od lat kilku opiekunki tej nieznajomej, która mi krzyżyk na piersi zawiesiła, już nie widywałem. Mówiła Gajdysowa, że odjechała daleko. Od czasu do czasu tylko przychodziły od niej podarki i pozdrowienia, a gdym pytał, czy ją kiedy widzieć będę, stara Sonka głową pokręcając, odpowiadała wątpliwie. — Bóg to wie, moje dziecko.

Trzeciego roku nauki mej u ks. Lukisa, nadjechali panowie jacyś na zamek z Krakowa, dla narady z wojewodą, i ks. Łukis ściskając mnie zapowiedział, że zapewne ja z niemi do Krakowa się teraz dostanę, że takie były rozkazy.

Ale czyje one były, kto je dawał, kto się mną opiekował, nie mówiono mi. W chacie Gajdysów smutne się poczęły przygotowania do tej mojej w świat wyprawy. Oboje oni nawykłszy do mnie, rozstawali się ze mną z boleścią, chociaż przyrzekłem im, że do nich powrócę. Ja sam nie wiem, czy więcej bolałem nad tem, że ich i Wilno opuszczę, czym goręcej pragnął do Krakowa się dostać.

Młody umysł każda nowość zaprzęta a mnie więcej jeszcze chciwość tej nauki, o której ks. Łukis powiedział zawsze, że jest studnią niezgłębioną, ciągnęła urokiem wielkim.

Wyznać jednak muszę, że choć naówczas chłopięciem byłem, w którego wieku mało się jeszcze troszczyć zwykło o siebie i losy swe, mnie jednak niektóre życia przygody już do myślenia wiele dawały. A gdym, nierozumiejąc ich dobrze, Gajdysowej o wytłumaczenie ich pytał, odpowiedzi jej jeszcze bardziej ciekawość moją drażniły.

Gajdysowa długo bardzo milczeniem mnie zbywała, gdym dopytywał o tę panią, która mi się matką naprzód nazywać kazała, a potem nagle opuściła, i o tych co się mną opiekowali teraz, i to, do czego mnie w przyszłości przeznaczano.

Dopiero gdy Gajdys zapowiadać coś zaczął, że mnie bodaj przybyli panowie polscy do Krakowa z sobą zabiorą, stara co mnie wychowała, płacząc a ściskając, lamentować nad tem poczęła i usta się jej rozwiązały.

Prawda, że też ja przez tych parę lat nauki u ks. Łukisa, obcowania z nim i ze starszymi uczniami bardzo, nad wiek mój dojrzałem, zostałem się aż nadto poważnym i wszystkiego przyczyn dochodzącym.

Rozumiała to dobrze Gajdysowa, że teraz ze mną jak ze starym mówić może, a nad losem moim bolejąc, chciała mi dać naukę i przestrogę... nie spodziewając się, aby mnie już widzieć mogła, co też na nieszczęście moje się sprawdziło.

Więc gdy przyszło do przygotowań ku tej podróży, która we mnie strach i pożądliwość obudzała, a Gajdysowa to mi męztwa dodając, to go łzami swemi odejmując, więcej jeszcze niż kiedy krzątała się koło mnie, wieczorem jednym przyszło do otwartej z nią rozmowy.

Matką ją zwał, na co wzdychając odpowiedziała.

— Wiedz to, Jaszku mój, że chociażem cię, Bóg widzi, kochała i kocham jakbym była rodzoną, przecież nią nie jestem...

A gdym żywo zapytał.

— Więc któż mi ojcem, a kto matką?—naprzód płakać poczęła, długo mówić nic nie chcąc, a potem się odezwała.

— Taka dola twoja, że ty ani matki twojej, ani ojca nigdy znać nie będziesz... Sierotą przyszedłeś na świat, ani pytaj, ani dochódź.

Oburzyło mnie to, bo już wprzód chłopcy przesładowali mnie nieraz, że z pod płota, sroce z pod ogona wypadł... i nieraz się o to biłem z niemi; począłem więc gorąco bardzo.

— Póki żyw, matko Gajdysowo — rzekłem — nie



przestane śledzić i dochodzić ojca i matki... Niech się dzieje co chce.

Stara przestraszona tulić mnie i uspokajać poczęła.

— Ani się waż, ani myśl, ani sobie tem głowę zaprzataj—rzekła.—Wyszłoby ci to na złe i życiem byś może przypłacić musiał... Póty spokoju i opieki nad tobą, dopóki ty jesteś sierotą. Co Bóg ci przeznaczył, to przyjm z pokorą, dochodzić darmo, bo niczego się nie dowiesz... a na siebie gniew ściągniesz i zemstę.

Ale mnie dotknąwszy tej struny bolesnej, nie łatwo uchodzić było... a im Gajdysowa więcej uspokoić i nastraszyć chciała, tem mocniej mnie podrażniła. Wspomniałem jej o tej drugiej matce, której choć bardzo dawno nie widziałem, przecieżem ją pamiętał i czulem, że ona prawdziwą być musiała.

— Spotkam ją-li gdzie w życiu—dodałem—choćby nie wiem ile lat na to czekać przyszło, poznam ją, a ona się mnie wyprzeć nie może.

Na co stara Gajdysowa odparła:

— Wyprzeć się musi, ty tego nie rozumiesz; a no, żebyś ją spotkać mógł, albo miał, niech ci się nie śni, nie może to być.

Chwilę podumawszy, dodała żywo:

— Ona umarła, nie ma jej już na świecie...

Dlaczegom ja tym słowom nie uwierzył, tego nie wiem, alem był prawie pewnym, że umyślnie to powiedziała, aby mi z głowy wybić szukanie matki.

Nadszedł potem Gajdys stary i rozmowa się przerwała, ale poszedłszy na mój siennik spać, oka zmrużyć nie mogłem, ciągle myśląc o tem, że ojca sobie i matki szukać powinienem, a upomnieć się o swe prawa... Widziałem od dziecka, że się rodzice opiekowali tymi, których im Bóg dał, za cóż ja miałem być wydziedziczony?

Nazajutrz i przez tych kilka dni, pókiśmy się do drogi gotowali, Gajdysowa przestraszona tą rozmową

ze mną, ciągle wracała do niej, starając się wmówić we mnie, że chcę-li być szczęśliwym, powinienem sobie z głowy wybić rodziców, bom ich nie miał... ale im więcej to pragnęła mi wpoić, tem w duszy mojej rodziło się większe pragnienie odkrycia tej jakiejś tajemnicy, która moje pochodzenie okrywała.

Ażeby matka tamta w jedwabnych szatach, piękna owa niewiasta, młoda, umrzeć miała, jak zapewniała Gajdysowa, temu wierzyć nie chciałem.

W dziecinnej głowie z tego wszystkiego ile się snów i marzeń narodziło, co się nigdy ziścić nie miały, policzyć zaprawdę trudno.

Tymczasem do podróży się wszystko przysposobiło, a Gajdys jednego dnia przyniósł z zamku wiadomość tę, że nazajutrz ma mnie zaprowadzić i ukazać temu duchownemu panu, który z sobą do Krakowa zabrać obiecywał.

Gdym się Gajdysa ośmielił zapytać, kto to tem rozporządzał i mnie ztąd wysyłał, groźnie spojrzał na mnie.

— A tobie gołowąsie co do tego? — zawołał. — Woli swej nie masz, co ci każą czynić powinienes i nie pytać. Ja ci jestem ojcem, uprosiłem o to, i tak się stanie jak postanowiono.

Wiedziałem, że z nim się sprzeczać nie było można, milczeć musiałem.

Nazajutrz, jak zapowiedział, poprowadził mnie na zamek dolny, do izby, w której zastaliśmy księdza, w sukni prawda takiej jak oni wszyscy nosili, ale postawy gdyby dopiero się ze zbroi wywłókl, rycerskiej.

Ten zobaczywszy mnie, a śnać już o mnie wiedział wprzód, namarszczył brwi i twarz mu się wykrzywiła, ale z za stoła wstał i zbliżył się ku mnie, a jał w milczeniu jakimś, smutnem przypatrywać.

Potem wyszedłszy z zadumy zadał mi pytań kilka.

Chociaż dosyć wyglądał groźnie, nie bardzom się uląkł i odpowiadałem śmiało.



Słuchał uważnie, a w końcu spytał:

— A uczyć się chcesz?

Żywom to potwierdził.

— To dobrze — rzekł, klepiąc mnie po ramieniu — bo sierotą jesteś i nie masz na świecie nikogo, a to co sam sobie pracą zarobisz, to twoje... Ludzie są miłosierni, ale na miłosierdzie zasłużyć potrzeba.

Znowu mnie to sieroctwo do żywego ubodło. Wtem ksiądz ów, jako później się dowiedziałem Jan z Rzeszowa, co później biskupem był, odemnie się odwróciwszy zeicha zapytał Gajdysa, jak mnie zwano? Oprócz tego imienia Jaszka nie miałem innego, ksiądz nie wiem czemu Gajdysem mnie mieć nie chciał i dodał:

— Orfanem go nazwiemy.

I ot jakim sposobem do tego imienia przyszedłem, które mi na całe pozostało życie, bom do innego prawa nie miał nigdy.

Nie będę opisywał jakem się z pocziwami przybranymi rodzicami rozstawał we łzach wielkich, i jak Gajdysowa, fartuchem lży ocierając, przeprowadzała mnie jak mogła najdalej.

Panowie polscy, którzy z sobą zabierali sierotę, jechali dosyć dworno. Wszyscy oni, nie wyjmując duchownych, konno podróż odbywali; ale wozów szło za nami sporo, bo nie było takich gościńców i gospód, ani gęstych osad, aby się można obejść bez zapasu dla ludzi i koni.

Jechało z nami księży kanoników dwu, więc z prawa do plebanij i klasztorów zajeżdżać mogli o gościńce prosząc, ale na Litwie podówczas probostwa, kościoły, ba nawet wsie nie były gęste. Często przechodziło w lesie popasać, czasem i nocować pod wozami i małymi namiotkami, któreśmy mieli z sobą. Nie pamiętam już spełna, jaką drogę do Krakowa obrano; to tylko wiem, że księża i panowie chcieli koniecznie do cudownego miejsca i obrazu się dostać, który nie tak dawno Władysław książę opolski

z Belza sprowadziwszy, oddał pod straż zakonników Paulinów.

Wiele już naówczas o obrazie tym cudownym rozpowiadano, o czem się w drodze nasłuchałem, iż na tym stole malowany być miał, przy którym Rodzina święta zasiadała, a nie kto inny jak Łukasz święty z pomocą anielską go malował, wpatrując się w oblicze Matki Bożej.

Opowiadano, jako się tam cuda działy wielkie w miejscu tem, i tłumy ludu zbiegały dla uczenia go i uproszenia łask... Więc i ja w duszy postanowiłem w cudownym miejscu dopraszać się Matki Bożej, aby Ona mi matkę i ojca wróciła.

Nie pamiętam już, ileśmy dni do Częstochowej jechali, a to wiem, że zrazu wsadzony na wóz, gdy się potem naparł jako i drudzy do konia, dano mi go. Nieprzywykły do tak długiej podróży na niewygodnej a twardej kulbace, straszne męki wycierpiałem, ale mi na wóz z powrotem wstyd było iść i śmiechu napytać. Więc choć kości czułem jak połamane w sobie, a na nocleg przybywszy padałem gdyby ubity, wytrwałem do końca, nie skarżąc się.

W podróży krom księdza Jana z Rzeszowa, który na mnie oko miał, nikt się nie troszczył i nie myślał o sierocie. Dwór panów rad był podrwieć z wyrostka, a choć krzywdy mi nie czynił, szczególnych też nie miał względów.

Stanęliśmy nareszcie w Częstochowie, którą ja sobie wyobrażałem całę inaczej. Kościół był naówczas niewielki, klasztor przy nim niedokończony, murów dużo porozpoczynanych. Miasteczko do koła drewniane i ubogie mi się zdało.

Nas, księża Paulini do klasztoru wzięli, a co się ze dworu nie pomieściło w nim, na mieście gospodę znalazło.

Nazajutrz rano wszyscy byliśmy już przed obrazem na nabożeństwie i klęczeliśmy wpatrując się w owo cudowne malowidło, a jam gorąco się modlił,



prosząc, by mi Królowa niebios ojca i matkę oddała.

Nie jednej ale kilku mszy tu wysłuchawszy, ponieważ konie i ludzie wypoczynku potrzebowali, staliśmy przez ten cały dzień, słuchając niesporów i litanij w kościółku. Ludu było dosyć... ścisk wielki.

Mnie ksiądz Jan przy sobie na korytarzu nocować kazał, gdzie dla nas kilku słomy rzuceno.

Po niesporach i wieczery, gdym leżał, natychmiast sen mnie głęboki ogarnął; ale mimo to zdawało mi się, że czuwam i widzę co się koło mnie dzieje. We śnie tym, obraz cudowny ujrzałem przed sobą, ale z niego jakby żywe oblicze Matki Bożej na mnie patrzyło, i zdało mi się, że łagodny głos słyszę.

— Przyjm z pokorą co ci Bóg przeznaczył, a nie buntuj się, albowiem matki i ojca odzyskać nie będziesz mógł i nie powinienes starać się o to, chcesz li być spokojnym i szczęśliwym.

Rozpłakałem się przez sen, wyrok ten słysząc; ale gdym się rano przebudził, tak mi się serce ścisnęło potem, iż w sen ten uwierzyć nie chciałem i lekceważyłem go sobie.

Zrana pierwszej mszy świętej jeszcze słuchaliśmy wszyscy u obrazu, poczem zaraz na koń siadać było potrzeba i w dalszą wyruszać drogę.

Piaszczyste i puste gościńce wiodły nas ku Krakowu i lasom, które ławą szeroką z tej strony go opasywały. Rzadko gdzie spotykaliśmy ubogie osady, lub zdala je dostrzedz było można.

Dla tego starego obyczaju, którego i teraz się oduczyć nie umieli szlachta i urzędnicy, że we wsiach samowolnie podwoły, konie, ludzi, przewodników i obroki wybierali — uciekały wioski od gościńców wielkich w lasy, a i gospody były rzadkie i biedne.

Najczęściej szopa wielka z chróstu pleciona, nie zawsze wrotami zamknięta, a przy niej chałupa z dwójgiem starych ludzi, u których czerstwego chleba, a czasem kwaśnego cienkusz dostać było można

— zwała się gospodą. Konie od słoty i zawiei schronić się mogły, ludzie przytulić, ale pokarmić nie było czem. Studnia tylko i wodopój musiała się znaleźć koniecznie, ale i ta często zapuszczona, gnilej wody dostarczała.

Prawda też, iż za postójne w gospodzie mało co lub nie się nie płaciło. Po takich gospodach ostatnia biedota się tylko osiedlała, bo tu łatwiej było guza niż grosza napytać. Rzadko dworno jadący ludzie zapłacili za co.

Jużeśmy się zbliżali, przebywszy srogie piaski, ku lasom, i ludzie księdza Jana zapowiadali lepszą gospodę u skraju puszczy, aleśmy pobłądzili i późno tu na nocleg przyciągnęli.

Oprócz księdza Jana, drugiego kanonika i pana wojewody sandomierskiego, był z nami podkanclerzy, a każdy z panów służbę z sobą prowadził i dworzan miał kilku, tak że wszystkich nas zliczywszy, poczet był znaczny i samych żłobów dla koni dosyć potrzebowaliśmy, bo się czeladzi nie chciało za każdym razem koły wbijać i płóciennie podróżne żłoby rozpinąć.

Tymczasem gdy się nam we mroku gospoda owa ukazała, zobaczyliśmy przed nią stojącą ogromną kolebkę pańską i ludzi około niej dosyć. Zapowiadało to, że my już pewnie nie będziemy się mieli gdzie pomieścić i że nam na jesiennym chłodzie obozować przyjdzie, bo w gospodzie jak we młynie, kto pierwszy zajeżdża, ten zajmuje... Kolebka zaś oznajmowała, że niewiasty pewnie jakieś jechać musiały i znacznego rodu, bo dwór widać było liczny.

Wszystkim to na przekór było, a naszym dworskim tak markotno, że gotowiby byli zadrzeć się i noclegujących precz wygnąć, tylko podkanclerzy i nasi księża żadnej burdy się dopuszczać nie pozwalali i karali ją srodze.

Zbliżywszy się do gospody, przez okna ujrzeliśmy rozpalone w niej ognie, służbę krzątającą się, ludzi



tłum, niewiast też niemało, zbrojny poczet okazały, słowem dwór pański.

Słyszałem jak ks. Jan zapytał stojącego zbrojnego czelaka: ktoby to był — a ten mu odpowiedział, że Nawojowa z Tęczyna od ojca na Litwie do męża powracała.

Ja com nigdy o panach z Tęczyna nie słyszał, nie wiedziałem też jak to ród wielki i możny był, ale mi się prawie królewskim dwór Nawojowej wydał.

Podkanclerzy i księży posłyszawszy kto był, obóz w pobliżu na polanie rozbijać kazali, sami nawet do gospody się nie zbliżając. Zbrojny ów mąż, który ochmistrem dworu był, zapytał u naszych ludzi o podróżnych, dowiedział się o jadących, ale nie zbliżyło to jednych do drugich. Owszem postrzegłem, że Tęczyńscy z naszymi koso na się patrzali.

Wydał zaraz surowy rozkaz podkanclerzy, ażeby do gospody się nie wpić rano. Myśmy też z niej nie potrzebowali, bo na wozach żywności było podostatkiem, a studnia wody mogła dla wszystkich dostarczyć.

We mroku z ciekawością spoglądałem ku oknom, przez które się ukazywały głowy niewiast, jeszcze, jak z podróży przybyły białymi namiotami i zasłonami poobwijane.

Ustapiliśmy zaraz w bok, tak, że od gospody szeroki gościniec nas dzielił. Rada nie rada czeladź, choć klnąc, musiała dla panów dwa namioty rozbijać, żłoby stawić i jak należało obóz zakładać. Po gościńcach naówczas napaście nocne i dzienne nie były żadną osobliwością i każdy się na baczności mieć musiał, ba, nocą straż nawet stawić.

Mnie, gdyśmy się już rozłożyli, a robić nie było co, bo jeść nierychło mieliśmy dostać, i krupnik dla nas dopiero w kociołkach nastawiano, ciekawość wzięła wielka tych niewiast i dworu.

Podkraǳłem się więc pod otwarte okna gospody,

bo ich okiennicami nie zasunięto dla dymu, który izbę napełniał i wychodził niemi.

Widok dla mnie ciekawy był i nowy, tylu pań różnego wieku, postrojonych bogato, choć w podróży i otoczonych sprzętem różnym, jakiegom w życiu mojem nie widywał.

Służba na stole okrytym obrusem poustawiała podróżne dzbany, kubki, misy kruszczowe, błyszczące. Woń jadła korzeniami zaprawnego dochodziła mnie przez okna.

Za stołem siedziały dwie niewiasty, z których jedna starsza ku mnie zwrócona, twarz miała bladą, długą, wychudłą, z zapadłemi oczyma czarnemi, do koła rąbkiem białym opasaną. Wydała mi się bardzo poważną i surową. Druga, której twarzy ztąd widzieć nie mogłem, młodszą być musiała, ruchy miała żywsze i na głowie oprócz białych rąbków, czepiec sztyty bogato, z pod którego włosy ciemne się wymykały.

Reszta służby żeńskiej przynosiła misy, ebodziła około stołu i pilno tym dwom podawała kubki i ręczniki. Blask od ognia rozpalonego w kominie i grubych świec woskowych na stole, padał na niewiasty przy nim siedzące, tak, że najmniejsze rzeczy dobrze widać było. Z ciekawością wielką pochyliwszy się przypatrywałem temu widokowi, gdy młodszą pani odwróciła się do sługi i twarz jej oblana światłem ukazała mi się nagle.

Jakby piorun mnie raził, zdretniałem zobaczywszy ją i dobrze żem nie krzyknął. Poznałem bowiem w tej kobiecie tę, której już nie widywałem od lat wielu, tę co mi się matką nazywać kazała.

Chciałem ochłonawszy cokolwiek, biedz zaraz do niej, nie wątpiąc, że i ona mnie poznać musi, a nie odepchnie od siebie; ale mnie strach ogarnął jakiś. Ciągnęło coś i odpychało.

Przyszedł wreszcie na pamięć sen, który miałem



w Częstochowie, rady Gajdysowej — nie wiedziałem co począć. Łzy mi w oczach stanęły.

Gdybym był słuchał pierwszego popędu, pewnie bym wpadł do izby i rzucił się do tej kobiety. Lecz, nuż mnie oczy zwodziły? nuż to nie ona była? a inna do niej podobna?

Mówiło mi serce, że to nie mogło być, żem się nie mylił, a jednak obawiałem się.

Stałem u okna jakbym w ziemię wrosnął, nie mogąc ni odejść, ni oczów odwrócić, choć twarzy już nie widziałem. Teraz głos jej do mnie dochodził, a ten potwierdzał jeszcze, że ona była, nie inna, bo mi brzmiał znajomym, serdecznym dźwiękiem.

Tak, był to głos tenci sam, choć inny razem, ostrzejszy, dumniejszy, surowszy, a jam go pamiętał miękkim, łagodnym i żalźawionym.

Nie wiem jak długobym był u tego okna pozostał, gdyby nagle silna dłoń nie chwyciła mnie za kark i nie rzuciła precz na gościniec, tak, że o mało twarzą na ziemię nie padłem.

Krzyk mi się z ust wyrwał, i nie wiem czy znużenie podróżą, wzruszenie, uderzenie to, czy inna jaka przyczyna o mdłość mnie przyprawiła. Pamiętam, że ręce wyciągnąwszy, zachwiałem się, w oczach mi się zaćmiło i już nie wiem co się stało ze mną.

Poczułem potem chłód na twarzy, a gdym powieki podniósł, postrzegłem światło łeczywa nad sobą i pochylone dwie twarze niewieście, które mi się przypatrywały. Do koła stała gawiedź dworska, opowiadając jak mnie u okna złapała.

Mnie nic to wszystko nie obchodziło, bom oczy miał wlepione w tę, w której matkę poznałem. Schyłona była nademną, brwi ciemne miała groźnie ściągnięto i usta zapadłe, wyraz niemal gniewu i strachu na twarzy.

Gdy mnie omdlałego cuecono i rozpinano, krzyżyk, który na szyi nosiłem, dobył się na wierzch, a ja w obawie, aby go nie stracić, sięgnąłem ręką po nie-

go. Kobieta stojąca nademną nie mogła go niewiedzieć i niepoznać, bo był zupełnie inny od tych, jakie pospolicie noszono. Sądziłem, że mnie po nim pozna, ale zamiast uczucia na jej twarzy, odmalowała się odraza, trwoga i gniew. Czarne jej oczy zdawały się mi grozić.

Nie śmiałem więc ani ust otworzyć, ani się ruszyć. Wtem od naszego obozu nadbiegł kleryk księdza Jana niespokojny, bo się opatrzył, że mnie nie było, a tu jakieś zbiegowisko postrzegł.

Gdy się zbliżył, posłyszałem jak starsza niewiasta rozpytywać zaczęła, kto jechał, zkąd, jak się duchowni zwali, a młodsza głosem porywczym spytała, ktobym ja był.

Kleryk jej odpowiedział, że mnie ks. Jan wioził z Wilna do Krakowa dla nauki, bo mu to polecane było przez kogoś, ale nie mówił przez kogo.

Podniosła się i wyprostowała dumnie ta, w której ja matkę upatrywałem, i ostrym głosem zaczęła wyrzucać klerykowi, że bez dozoru mnie puszczano pod okna się podkraść i ludzi podpatrywać.

Ani słowem, ani wejrzeniem nie dała mi poznać, żeby się domyślała we mnie tego dziecka. Ja byłem pewnym, żem się nie mylił, ale też i tego, że ona znać mnie nie chciała. Puścili mi się dziecinne łzy z oczów, wstałem o swej mocy i nie dając klerykowi rozmawiać dłużej, pociągnąłem go z sobą do naszego obozu.

Tu od ks. Jana musiałem wysłuchać nauki, że ciekawość pierwszym stopniem do piekła, że niegodziwą to naturę zdradzało podpatrywanie niewiast zwłaszcza i złodziejskie takie podkradanie się.

Anim się myślał tłumaczyć, poszedłem płakać na moją wiązkę słomy. Okrucieństwo tej kobiety, która we mnie choćby po krzyżyku dziecko swoje poznać musiała, było mi tak bolesnem, iż o wszystkim dla niego zapomniałem. Nic mnie nie obchodziło.

Prawdę więc mówiła Gajdysowa, że ja matki



mieć nie mogłem, a ona się przyznać do mnie. Ja com ją tak kochał, powziąłem żal do niej, który prawie w gniew przechodził. Nawykły do modlitwy i do zwracania się ku Bogu, pytałem Jego, dla czego mnie jednemu los taki przeznaczył, bo mi się zdawało, że chyba nie było w świecie drugiego, które-goby się własna wypierała matka.

W tych łzach i męczarni usnąłem potem takim snem głębokim, że mnie dopiero nazajutrz rano kleryk zbudził, gdy już do drogi było wszystko gotowem.

Oczy otworzywszy, mimowolnie naprzód ku gospodzie spojrzałem, ale już przed nią ani kolebki wczorajszej, ani dworu, ni śladu niewiast nie było.

Ludzie mówili, że o brzasku pośpiesznie wyruszyli, z czego radzi byli, bo izba próżna stała i ognisko w niej gotowe.

Nazajutrz, choć wczorajszy wieczór miałem przed oczyma, o białym dniu ostygliszy, gdym wszystko sobie znowu rozważać zaczął, chciałem wmówić w siebie, iż nie mogła ta kobieta być matką moją. Ale i głos i twarz i coś co się opisać nie daje, za tem świadczyło.

Drugiego dnia potem nad wieczorem ujrzelśmy przed sobą Kraków, który mi się po Wilnie już daleka wydał tak dziwnie wspaniałym, wielkim, istnie królewskim grodem, że mi to wrażenie trochę boleści odjęło.

Im bardziej zbliżaliśmy się ku miastu, tem ono większy we mnie podziw budziło. W Wilnie ani tych wież, ani kościołów, ani połowy okazałych murów nie było. Dwa zamki, okólne mury z wieżycami, kościół zamkowy, kilka ledwie kamienie w mieście, w oczy wpadały, reszta wszystka prawie drewniana była i przy ziemi siedziała.

Tu już zdala ogrom murów i wież zapowiadał miasto, jakiego na całej Litwie nie było; a gdyśmy Floryańską bramą w ulice ku Rynkowi ciągnęli,

oczów nie mogłem oderwać od osobliwego widoku, jaki mi się przedstawił.

Choć wieczór już był i dzień powszedni, na mieście więcej ruchu, wrzawy i ludzi znaleźliśmy niż w Wilnie czasu targów i jarmarków. Domy, choć dużo drewnianych było, bielone i malowane tak ozdobne były w ganki, słupy, dachy i daszki, a na każdym niemal z nich jakieś godło rzeźbione i złożone tak oczy pociągało, że się ich napatrzyć nie mogłem do syta. Wszystko cudnem mi się wydawało.

I przechodzący też ulicami, od mieszczan wileńskich ze staroświecka poodziewanych wcale byli różni. Strojów co niemiara osobliwych spotykaliśmy, bogatych, pańskich, zamorskich jakichś i do naszych niepodobnych. Rycerstwo konno uwijało się w rynku, ciągnęły ogromne wozy kupieckie, po pod domami szli mieszczanie w bławatach, łańcuchach i kołpakach wspaniałych.

Przytem, że wieczór był, więc i dzwony na różne głosy odzywały się po kościołach i z otwartych niektórych śpiewy wieczorne słyhać było.

Jechałem upojony i zachwycony, widząc teraz, że wszystko co o Krakowie opowiadał ks. Łukis, wcale przesadzonem nie było... ale jak tu mnie biednemu sierocie, którego się wypierali wszyscy, niemającemu opieki, przebieć się było i nie zginać ściśniętym w tym tłumie.

Wzdychałem ku Bogu tylko, stawszy się pobożniejszym jeszcze: — Tyś Ojcem wszystkich, a szczególnie tych co ojca ni matki nie mają.

Pierwszego wieczora tego, tylkośmy się o zmroku przesunęli ulicami, więc ciekawość obudziła się raczej, niż zaspokoila.

Kleryk ks. Jana, który mi dosyć życzliwym był, o kilka lat tylko starszy odemnie, zapowiedział, że nazajutrz, ponieważ dzień był na spoczynek przeznaczony, a on wolny, więc mnie po mieście poprowadzi i ukaże, co w niem było najpiękniejszego.



Mnie się tu wszystko cudownem zdawało!

Ks. Jan z nami gospodą stanął w domu przy ulicy św. Anny, inni nasi towarzysze podróży na zamek i po domach swoich się rozjechali.

Trochę widok ten pięknego i wielkiego miasta zatarł we mnie smutne wrażenie owego noclegu, ale cokolwiek mi go na pamięć przywodziło, a szczególnie mój krzyżyk, gdy go dotknąłem, znowu mi boleść pierwszą powracał.

Kleryk nazajutrz słowa dotrzymał. Poszliśmy na miasto i do kościołów, jakich ja w życiu mojem nie oglądałem; do P. Maryi, do kilku zakonnych, do Bożego Ciała i co ich było w pośrodku miasta, bośmy za mury nie wychodzili.

Dziwiłem się bogactwom i wspaniałościom, liczbie duchowieństwa, nabożeństwowi okazałym; jedno mnie tylko raziło, że oprócz mowy polskiej, prawie tyle co jej, słyszeliśmy dokoła niemieckiego szwargotu. Stroje też mieszczan dużo pomiędzy niemi różnych Niemców się domyślać kazały, ale i z innych narodów około sukiennic kręciło się dziwnie postrojonych kupców i podróżnych niemało, a tu języków się było można nasłuchać osobliwych.

Rynek i kamienice około niego wspanialsze były, niż książęcy zamek wileński. Ratusz z wieżą, sklepy ogromne, a dalej domy wysokie, całe malowane i rzeźbione, podobały mi się bardzo.

Na niektórych święci patronowie stali ponad bramami jakby żywi, na innych wizerunki królów wyglądały i rozmaity zwierz, jakby skamieniałe jelenie, lwy, orły, barany, kruki. Śmiał się kleryk, gdy stawał przypatrywać się tym niewidzianym rzeczom. Każdy bowiem dom miał w rynku szczególnie coś, czem się odznaczał od innych i po czem odróżnić było można.

Wszystko to świeże, lśniące, pomalowane wytworzenie, gdyby żywe stało. Cóż dopiero powiedzieć o sklepach, jakich ja i śnić nawet nie mogłem, bo pełne

one były towaru, o którym nigdy nawet nie słyszałem. Kleryk z dumą mi to wszystko ukazywał i tłumaczył.

Przeszedłszy parę ulic, w głowie się mąciło od tego, co się tu widziało. Co chwila stawałem, bo ciągle było na co patrzeć i o co pytać. Na zamek jechały poczty rycerstwa, kapiące od złota, z zamku powracali panowie ze służbą i zbroją dla mnie niewidzianą. Rusinów, Tatarów, Turków, Węgrów nauczyłem się dopiero rozróżniać.

Pytałem nieustannie, a dziwiłem się bez miary. Wreszcie kleryk zmęczony się, nazad mnie do kamienicy odprowadził i tu samego zostawił.

Jaki mnie tu los czekał w tem obcym zupełnie mieście, wśród ludzi, co mi nie byli niczem, nie wiedziałem spełna.

Mówiono mi, że się uczyć miał, ale gdzie i jak — głucho było.

W Wilnie przy Gajdysach czuło się jakby w rodzinie, tu wszyscy obcy i straszni się wydawali. Co kogo mógł obchodzić taki jak ja sierota?

Kleryk mi zawczasu powiadał, że do Krakowa takich jak ja pauprów, bez ojca, matki, sierot napływało bardzo dużo, że sobie przy pomocy dobrych ludzi dawali rady i z głodu nie marli; krzepił mnie, ale w taki sposób jakiś, iż słuchając go, większy jeszcze strach ogarniał.

Nie będę się nad temi mojemu laty pierwszymi rozszerzał zbyt, bo i bez tego wiele mam do powiedzenia o losach i przygodach moich; powiem tylko, że choć o mnie ks. Jan nie zapominał, przez kilka dni czekałem, gdyż nic postanowionego nie było. Nie pytano mnie o nic, woli swej nie miałem; ale kto mną rozporządzał, nie mówiono mi też.

Czwartego czy coś dnia rano ks. Jan ze mszą idąc do kościoła zamkowego, za sobą mi iść kazał, zapowiadając, iż do mszy służyć mu miałem.

Szedłem więc dosyć tem dumny, a zwłaszcza mi



się podobało, gdy mnie w zakrystyi w piękną, białą ze wstęgą liliową komeżkę ubrano.

Msza była nie pierwsza, ale wotywą zwana, w kościele ludzi dosyć, a w tem miejscu, które mi kleryk pokazywał, że tam król zwykł był słuchiwać mszy, ujrzałem go wistocie i poznałem zaraz. Z trwogą jakąś spoglądałem ku niemu tem większą, że ile razy zwróciłem oczy, zawsze wejrzenie jego ku mnie skierowane spotykałem.

Przypatrywał mi się tak, iż mnie coraz większy strach ogarniał.

Od tego czasu gdy go nie widział, wydawał mi się zmienionym. Młody jeszcze i przystojny, twarzy regularnych rysów i cale pięknej, miał na niej wyraz smutku jakiegoś i troski, który z niej nigdy nie schodził. Długie włosy spadały mu na ramiona.

Aż do końca mszy ks. Jana siedział tak, słuchając jej, patrząc na mnie, a po benedykeyi, gdyśmy do zakrystyi powracali, zniknął.

Ks. Jan kazawszy mi iść do domu samemu, udał się na zamek.

Nie było go do obiadu, który on tu razem z dwoma kanonikami jadał, a co zeszło ze stołu ich, to-meśmy z klerykiem się żywili.

Nie było głodu, ale i wymysłów też żadnych, bo się księża prostym stołem obchodzili, a we dni postne mało nawet co jedli.

Pod wieczór zawołano mnie do ks. Jana. Biło mi serce dobrze, bom przeczuwał, że się musiał mój los rychło rozstrzygnąć. Tak się też stało. Zapowiedział mi ks. Jan, że uczyć się powinienem być, i nic lepszego nie mam do wyboru, tylko się tak przygotować, ażebym później godzien był przyoblec suknię duchowną.

Począł się nad tem szeroko rozwodzić, jakim to było szczęściem zostać wybranym i kapłanem Bożym; dodając, że on sam rycersko wprzód służywał, przecież wczas przejrzał i obrał sobie lepszą częśćkę. Radził

mi więc zawczasu na duchu się gotować i sposobić do stanu tego, który wymagał wiele; bo niedosyć było nauki, niedosyć mądrości, ale świętości, pokory i wszelkich cnót do niego nabyć potrzeba było.

Zapowiedział mi w ostatku, iż świętobliwemu mężowi dany będę w opiekę, chodzić mam do szkoły, a jemu posługiwać, na niego się zapatrywać i być mu we wszystkim jak ojcu posłusznym.

Czekałem z obawą wielką, modląc się, jaki mnie los i opiekun spotka.

Nazajutrz ks. Jan węzelek mi rozkazawszy zabrać z sobą, niedaleko ztamtąd powiódł do Collegium, gdzie w samych prawie drzwiach do maleńkiej celi zapukał. Weszliśmy. Stał nieopodal odedrzw jakby na nas oczekując mężczyzna w samej wieku sile, z piękną, pogodną i niemal promienistą, dobrocią uśmiechającą się a rozumną twarzą.

Od pierwszego wejrzenia nań, nie można się było powstrzymać, aby ku niemu jakiejś czci nie powziąć. Dzieckiem byłem, ludzi nie znałem, przecie mąż ten na mnie takie uczynił wrażenie, jakbym niepospolitego przed sobą człowieka widział, ale jakąś istotę wyższą i doskonalszą.

Gdy nieśmiało wsuwał się za ks. Janem, oczy stojącego wlepione były pilno we mnie, a miały wyraz taki miłości, jakby chciały mówić owo: *Sinite parvulos venire ad me.*

Dodał mi otuchy wejrzeniem.

— Oto jest chłopak, o którym mówiłem — dodał kłaniając się wchodzący.—Sierota, dano mu też imię Jaszka Orfana. Daj Boże, aby godzien był wam służyć.

Gdy to mówił, stojący naprzeciw patrzył na mnie, a ja z natury trochę dziki, tak dziwnie byłem tym wzrokiem ośmielony, tak mi on błogo jakoś do duszy mówił, że się odważyłem postąpić i rękę jego ująwszy ucałowałem ją.

— Księżu Janie mój—odezwał się głosem jasnym



i dźwięcznym—sierotą się zaopiekować i obowiązkiem jest i rozkoszą, alem ja, wiecie, nie tak swobodny, abym mógł się tego podjąć. Siedzę tu w Krakowie, mam co czynić w Akademii i w domu, a wiecie, iż pielgrzymuję często. Znowu mnie ciągnie do Rzymu potrzeba duszna, cóż naówczas z nim pocznę? Rychło a nie ujrzyście mnie—dodał z uśmiechem.—Pieszko chcę do grobu apostołów.

Ks. Jan po chwilce namysłu rzekł:

— Na ten czas zwierzyłbyś go ojcze osobie swojego wyboru, a choćby niewiele czasu miał szczęście przy was pozostać, te chwile wiele mogą.

Westchnął nie nie mówiąc przyszły mój opiekun, zadumał się.

Szepnął coś pochylając się ku niemu ks. Jan. Zaczęli mówić pocichu. Los się mój rozstrzygał.

Szedłem tu prawda ze strachem wielkim, ale teraz, gdy zobaczyłem tego, któremu miał służyć, lekłem się tylko, aby mnie nie odepchnął. Siłą jakąś wielką ciągnął mnie ku sobie.

Każde jego spojrzenie było jakby lekarstwo jakieś uspokajające duszę.

W czasie gdy dwaj księża pocichu rozmawiali z sobą, starałem się błagającym wzrokiem pozyskać sobie tego człowieka, który tak cudowne wywierał na mnie wrażenie. Czyniłem się łagodnym, pokornym, chciałem mu wydawać dobrym. Pocichu odmawiałem Zdrowaśkę na tę intencją, abym przy nim mógł pozostać.

Nigdy w ciągu długiego później życia mojego, nikt na mnie nie uczynił takiego wrażenia; a gdy dojrzawszy zastanawiał się nad tem, nie mogłem go porównać z niczem, chyba z tą potęgą Chrystusa Pana, który też jednym wejrzeniem i słowem za sobą ciągnął tłumy. Ten też tą samą Chrystusową mocą na ludzi działał.

Nie wiem co ks. Jan, który mnie tu przyprowadził, powiedział o serce, czem go skłonić się sta-

rał, aby ją przyjął w służbę swoją; uważałem tylko w oczach duchownego malującą się litość, i w końcu zwrócił się ks. Jan do mnie, rozkazując mi dziękować. Przypadłem do nóg nowemu opiekunowi, który mnie podniósł i pobłogosławił.

Pozostałem odtąd przy ks. Janie Kantym, jako zaraz opowiem. Mąż to był uczony wielce, pracowity niesłuchanie, a cały żyjący w Bogu, ale nad wszystkie jego cnoty górowała niezrównana dobroć, łagodność i wyrozumiałość dla ludzi.

Dla siebie samego katem był, bo postami, umartwieniami, biczowaniem ciało swe dręczył nieustannie, względem drugich zaś anielską miał dobrotliwość i miłosierdzie. Szanowany przez wszystkich, bo swojego czasu akademii nie miała nad niego uczeńszego męża—pokorę miał dziecięcą. Nigdy go nie widział ani zniecierpliwionym, ni gniewnym—widok nieprawości zasmucał go, do łez rozbolewał, ale nie burzył. Dusza była spokojna i ubłogosławiona taką potęgą nad sobą, że krew nie mogła przeciw niej nie.

Tuż w bramie collegium mieliśmy izdebek parę szczupłych, w których ks. Jan się mieścił z książkami swymi i sprzętem ubogim, bo można było powiedzieć, że dla siebie nie prawie nie potrzebował. W jednej z nich miałem ja mój sienniczek na podłodze i pomieszczenie. Służba przy nim nie była ciężką, prawie żadną, bo on sam, modląc się sam sobie służył, a często do stajni w podwórzu collegium ze dzbankiem chodził, aby mnie snu nie przerwał.

Jednej chwili spoczynku w życiu jego nie było. Czytał, pisał, albo klęcząc się modlił. Wzywano go też często na poradę i przychodzono do niego, aby jej zasięgnąć. Cisnęli się oprócz tego ubodzy, którym nieraz od ust odjęte jedzenie i ostatni płaszcz oddawał, jeśli nie innego nie miał. Grosz też u niego nie przeleżał jednego dnia—mówił, że go nie potrzebował. A co najdziwniejsza, przy ciągłych umartwie-



niach, pracy, znużeniu, nie widział go nigdy zmęczonym, nigdy smutnym i chmurnym. Twarz wypogodzona uśmiechała się, dodawał otuchy i mężstwa drugim, a sam mądry z prostaczkami tak mówić umiał, iż go każdy zrozumiał, a słowo jego szło prosto do serca.

Po wyjściu ks. Jana, zajął się mną zaraz z niewysławioną dobrocią, a naprzód wziął mnie na konfesatę, dopytując o życie przeszłe.

Mówiłem już, jakie na mnie świątobliwy mąż ten uczynił wrażenie, nie dziw też, iż ja, dosyć w sobie dotąd zamknięty, przed nim się ze wszystkiego wyspowiadałem co mi na sercu leżało. Więc i ten mój najdroższy ból sieroctwa, żem ojca nie miał, matka się mnie zaparła... i że nadewszystko pragnąłem o nich się dowiedzieć, ich odzyskać.

Bardzo łagodnie naówczas począł mnie przekonywać, iż powinienem był się poddać woli Bożej, przeciwko niej nie buntować i pokorą sobie wyjednać miłosierdzie.

Na łzach się to skończyło... ale, gdy mnie przeżegnał i pobłogosławił, uczulem jakby pokój jakiś wstał we mnie.

Następnych dni począłem chodzić do szkoły. Nie szło mi trudno, a około mojego opiekuna usługi nie było, któraby czas zabierała. Gdym umiółł i wody przyniósł, wieczorem światło zapalił, płaszcz czasem wytrząsał, mogłem potem siedzieć z książką i papierem, a tego tylko pilnowałem, aby nauka modlitwie nie przeszkadzała.

Obyłem się tak powoli ze szkołą i Krakowem, a jak ziarno piasku utonąłem w tych tłumach młodzieży, które naówczas po szkołach i kolegiach nauki tu szukały.

Począwszy od dzieciaków do ludzi pod wąsem, uczących się było bez miary, tak, że w kolegiach największe sale nie starczyły, i często przy drzwiach otwartych, ci co się wewnątrz nie mieścili, z koryta-

rza słuchali. I nie było jednej ziemi polskiej, z którejby tu się nie ściagała młodzież, co łatwo po wymowie się poznawało, jako też i stanu, któryby uczniów nie dostarczał. Szlachta, panowie, mieszczenie, synowie kupców, ba nawet soltysów wiejskich i prostych kmieli dzieci się tu garnęły. Większa część ubogich i biedniejszych do stanu duchownego się spsobiała, bo choć beneficya większe tylko szlachcie się dostawały, po klasztorach, wikaryach, po oddalonych ziemiach i plebejusze kawałek chleba z ołtarza mieć mogli.

Do czego też dodać potrzeba, że nigdy może do nauki takiej ochoty i gorączki ludzie nie mieli, jak czasu onego. Coś ich tu pędziło, jakby przeciw własnej woli, często o głodzie i chłodzie.

Była też w powietrzu, rzec można, pobożność wielka i gorącość ducha, bo nigdy tylu świątobliwych mężów ziemia polska nie wydała, co podówczas.

Prawda, że z drugiej strony hussytyzm czeski się wkładał i jako zły wrzód nabierał, że obok świętych siła było warcholów i zbójów nawet między najprzejdniejszemi, lecz przemagało dobre.

Oprócz nas z Polski, Litwy, Rusi i dalekich ziem ode wschodu, co dziwniejsza, napływali Czesi, Serbowie, Niemcy i Węgrów siła, a z tych ziem, które Turcy zawojowali, a które słowiańską mowę, jak my, mają. Chociaż w Niemczech nie zbywało też na szkołach, a w Pradze mieli Czesi swoją, do Krakowa ich sława nauczycieli tutejszych ciągnęła.

Nietylko teologowie słynęli tutejsi, ale astrologowie i matematycy szczególnie, tak, że ci, co w gwiazdy patrzyli, pokoju nie mieli, horoskopy i karty urodzenia spisując, z czego grosz płynął, a tego nikt do zbytku nie posiadał, bo akademія szczupło była wypasażoną.

Pisząc to ze wspomnień lat moich młodych, w których rozeznania wielkiego nie miałem jeszcze, oczy-



wista, że tylko ogólnemi wyrazy mogę zaznaczyć, co pamiętam.

Wiele rzeczy mocno się w pamięć wraziło, lecz wiele później zatarło, bo ludzka pamięć jest jako tablica owa, na której w szkołach piszą. Zamazuje się ona cała naprzód, a potem ściiera się z niej dawne, gdy przychodzi nowe, i ślad ledwie gdzieniegdzie pozostaje.

Z tych ludzi, którzy najwięcej z ks. Janem obcowali, a najulubieńsi mu byli, pamiętam kilku, później, jak on sam, świątobliwością słynących. Jakem wyżej rzekł, nigdy tak wielu ludzi pobożnych nie miała Polska i Kraków, co tego czasu. Pomnę z nich, naówczas już starego, ale do bardzo późnego wieku dożywającego Izajasza Bonera, zakonnika OO. Eremitów Augustyna świętego, który rzadko sam bywał u nas, ale często go ks. Jan odwiedzał, mówił o nim i był dlań ze czcią wielką.

Żył on u ś. Katarzyny na Kaźmirzu w takiej celce maleńkiej jak mój dobroczyńca, tak ubogo jak on. Boso chodził zawsze latem i zimą, na gołej sypiał ziemi i nigdy więcej nad trzy lub cztery godziny.

Pomimo wieku, nieraz, gdym do niego księgi nosił, bo sobie je z ks. Janem często posyłali, zastawiałem go zamiatającego klasztorne korytarze, wynoszącego śmiecia.

Innym razem znajdowałem go klęczącym przed obrazem N. Panny, ale w takim zachwycie i zatopieniu, że, nie śmiejąc przerywać, godzinami czekać musiał, aż się przebudził z tego marzenia i wrócił do życia.

Świątobliwy mąż ten wcale do mojego ks. Jana nie był podobnym. Wychudły, skóra a kości, żółtkły, z oczyma palającymi tylko, zdawał się duchem i myślał na innym już świecie przebywać. Często razy kilka powtarzać było potrzeba, z czem przyszedłem, nim zrozumiał i odpowiedział — tak zatopiony był w sobie. Czusu rozmowy, gdy przychodził do

kollegium, nieraz milknął, zapominał się, oczy mu zachodziły łzami, drżał, ręce składał jak do modlitwy i dopiero po chwili do siebie przychodził.

Dzień w dzień widzieć go było można od ś. Katarzyny do grobu ś. Stanisława na Wawel pielgrzymkę odprowadzającego. Naówczas mogło się sobie na ulicy dzieć co chciało, nie widział nic, nie słyszał nic, gdy szedł cały w swej modlitwie.

Starcem już był, bo się w przeszłym wieku rodził, jak mówiono. Żywot prowadził anachorety, nie szczędził siebie, a cudowna siła go trzymała. W wielkim tygodniu powiadano, krom wody nie do ust nie brał.

Cale znowu innym był drugi, a na pierwsze wejście tak niepoczesnym, że się w nim ani świątobliwego, ani tak mądrego człeka, jakim był w istocie, domyślać nie było podobna.

Rzadko kiedy z ust mu się słowo dobyło. Zwał się Świętosławem, a wszystkim wiadomem było, że nim do Krakowa przyszedł i mansyonarzem został, prostym szewcem w Sławkowie był i swe rzemiosło sprawiał.

Blady, mały, przygarbiony, z rękami długimi, z nogami trochę krzywymi, z głową dużą, na której włos krótko postrzyżony się jeżył, miał przecież coś w twarzy wyśóklej, co poszanowanie dla niego budziło.

Pokora w nim nadzwyczajna była. Kochał go mój opiekun i troskał się o niego, bo on sam o sobie nie pamiętał. Cudem było słowo z niego dobyć. Mówiono, iż ślub jakiś milczenia uczynił, ale — nie — bom go przecie mówiącym słyszał, tylko nie lubił się rozszerzać ze słowem.

Co osobliwa, rozpowiadano o nim, że kapłanem zostawszy, jako żywo dawnego rzemiosła nie porzucał. Miał do niego słabość, czy też postanowienie takie uczynił; dosyć, że w celi wszystek przyrząd rzemieślniczy chował, a w wolnych godzinach obowią-



mężkie, jakie naówczas jeszcze niektórzy nosili, z nosami długimi, ozdobnie wyszywane, wyrabiał bardzo kunsztownie, tak, że mu za nie płacono drogo, a on ten wszystek zarobiony grosz obracał na kupienie ozdób i sprzętów do kościołów.

Chodził tak a podpatrywał, gdzie czego brakło. Siadał na swym stołeczku i pobożną pieśń śpiewając, szyl buty lub trzewiki, dopóki na ampółki, na lich-tarce, na lampę jaką do zawieszenia przed obrazem nie starczyło.

Chociaż prostym człowiekiem był i z rodziców ubogich narodzonym, nie mniej go wszyscy szanowali—bo mu więcej niż szlachectwo dała świątobliwość.

Jakim sposobem zaś z owego prostego szewca w Sławkowie, do kapłaństwa doszedł, słyszałem, iż sam opowiadał, jak pobożnym będąc do ś. Stanisława we śnie widzenie miał, aby wstał i do Krakowa szedł.

Posłuszny temu głosowi, udał się do Krakowa, gdzie do szkoły chodzić zaczął, potem suknię kleryka wdział i stan duchowny obrał, do czego przeszkody żadnej nie miał; a nie pragnął też więcej nic, tylko służyć ołtarzowi.

Czasu też tego; gdym był przy księdzu Janie, przybył do Krakowa młody jeszcze nowicjusz Augustyanów z Bystrzycy na Litwie, o którym wiele mówiono i słynął jako wielkiej pobożności człowiek.

Obok tego szewca ze Sławkowa stał oto ze krwi książąt litewskich, możnej rodziny potomek, brat Michał Giedroń. Ktoby nie wiedział, iż krwi tej sławnej był dzieckiem, pewnieby się w tym pokornym biedaku książęcia nie domyślił.

Bardzo małego wzrostu, trochę na jedną nogę na-legający, chudy, szczupły, twarzy niepięknej, ale miłej i słodczą okraszonej — brat Michał nawet kapłaństwa nie czuł się godnym i nie kusił o nie. Chciał i pozostał prostym braciszkiem.

Przybywszy do Krakowa z generałem zakonu swego, gdy dla wielości kościołów, relikwii i nabożeństwa wielce sobie tu upodobał—pozwolono mu zostać przy zakrystyi.

Jakiś czas chodził do collegium na naukę, gdzie go widywał w sukni mocno wyszarzanej, ubogiej, z wielkim drewnianym krucyfiksem na piersi na prostym sznurku zawieszonym, jak w ostatniej ławce w kacie się tulił, oczu ludzkich unikając.

Rozpowiadano o nim też, jak o Świętosławie i o żywocie jego rzeczy dziwne, które że prawdziwymi były, nie miał wątpliwości. Celkę miał maleńką przy zakrystyi, w niej kominiek, przy którym sam sobie biedną strawę ważył, post najściślej zachowując. Z zakrystyi zaś wyprosił sobie klucz do kościoła, gdzie więcej czasu spędzał niż w celi, krzyżem leżąc godzinami na modlitwie.

We dnie czasami tylko godzinę jaką zabawiał się pracą ręczną, wyrabiając z drzewa puszcзки na Wiatyk, bardzo misternie, a te kapłanom po kościołach rozdawał.

Od tego też, jak od Świętosława, niewiele było można posłyszeć, bo milczał rad, lub modlił się, a w rozmowy nie wdawał, czas na nich spędzony uważając za stracony.

Wszyscy go naówczas już, gdy jeszcze dość młodym był, za świętego niemal uważali, choć on sam za ostatniego tylko ze sług i w klasztorze i na świecie chciał uchodzić. Dlatego i z pochodzeniem swem książęcem się taił, i nigdy inaczej jak bratem Michałem lub zakrystyanem nie pozwalał nazywać.

Późniejszych nieco czasów, jak opowiem, do tych mężów przybyło wielu jeszcze, gdy pobożność rozgorzała po weselu króla i nawiedzinach świątobliwego Włocha, o którym niżej pisać będę.

Jakim sposobem wśród tych ludzi żyjąc, na nich codziennie patrząc i o nich się ocierając, w wieku do naśladowania i przejęcia się przykładem najskłon-



niejszym — ja naówczas, choć pobożnym byłem, do stanu duchownego nie nabrałem skłonności... wytłumaczyć nie umiem.

Ciągnęło mnie właśnie tam, dokąd ja prawa nie miałem iść. Najmilszem dla mnie było w ulicę zbiedz, gdy rycerstwo na koniach jechało, gdy turniej się na zamku wyprawiał, gdy w rynku szlachta wytworzone zbrojna i strojnia się zbierała. Do nich mi serce biło... koń a kord, o tem tylko marzyłem, choćby przyszło jako pacholikowi a giermkowi służyć. Ale o tem ani śmiało mówić, ni dać tego poznać po sobie.

Badał mnie ks. Jan, bo widać było, iż życzył sobie tego, abym sukienkę kleryka później wdział, a nie tań przedemną, iż to było życzenie tych, co się mną opiekowali — ale przed nim kłamać nie mogłem, ani było podobna.

Święty mąż tak czytał ludziom myśli z oczów, a miał siłę taką dobywania z nich prawdy, że mu fałszu powiedzieć nikt nie śmiał. Ja też milczałem, a on to rozumiał dobrze. I nie nakłaniał mnie, ani zbytecznie nastawał. Powiadał spokojnie: — Różnemi drogami Pan Bóg do siebie prowadzi. Módl się moje dziecko.

Modliłem się też, natura przemagała, do stanu duchownego żadnego powołania nie czułem. Nauka była mi pożądaną, piłem ją chciwie i łatwo. Szło mi dobrze, ale z nią nie przychodziło usposobienie zmiany stanu. Zresztą o przyszłość się nie troszczyłem bardzo, rojąc zawsze po dziecinnemu, że rodziców wyszukać muszę, że się oni o mnie upomną; a że rodem i bogactwy musieli być znaczni, o tem nie wątpiłem. Snułem takie marzenia, z których mnie nikt wyleczyć nie mógł dlatego, iż o nich nie wiedzieli nawet najbliżsi.

Te moje sny na jawie, któremi się karmiłem, sprawiły, żem się nauczył w sobie zamykać i od ludzi stronić. Wiedziałem, że to, co mi było naj-

droższem, wyśmianoby, gdybym się z tem wydać ośmielił.

Drugiego roku mojego pobytu w szkołach i na służbie u świątobliwego ks. Jana — to, co przepowiadał, zawczasu spełniło się. Gorąco pragnął znowu odbyć pielgrzymkę do Rzymu, i do niej się sposobił.

Naprawdę żadnych przygotowań nie potrzebował, gdyż pieszo, o kiju odbyć ją zamysłał, tak jak poprzedzające, których już dwie wprzód dokonał Pielgrzymów takich niemało naówczas się napotykało, pojedynczo i gromadkami do miejsc świętych wędrujących.

Przyjmowały ich wszędzie i karmiły klasztory, duchowieństwo, a tam, gdzie brakło stacyj obchodzili się suchym chlebem i wodą, które zawsze z sobą nosili. Tykwa u kija wysokiego lub baryłeczka u pasa pełną była, a w torbie przez plecy suchar się znalazł.

Niektórzy pielgrzymowali, ślub uczyniwszy, boso.

Gdy o podróży ks. Jan mówić zaczął, a do mnie odwróciwszy się oznajmił, że ma już kogoś, któremu mnie do powrotu swojego chce powierzyć — rzuciłem się mu do nóg nie namyśliwszy nawet — bo mnie coś tknęło, abym mu towarzyszył. Począłem go prosić o to, aby mi iść z sobą dozwolił. Zdumiał się nieco i zamyslił. Począł potem reflektować mnie, że nauk przerywać nie powinienem, a niewygód, i znużenia podróży długiej nie zniosę.

Nie ustępowałem jednak, po rękach i po nogach go całując, aż zmiękł nieco. Ani mi się przeciwiał, ani obiecywał.

Szpiegując go teraz, zmiarkowałem, że sam nie chciałem o tem stanowić i czyjejs rady co do mnie musiał zasięgnąć. Przekonywałem się z tego, iż był przecie ktoś, co się losem moim zajmował, a to jeszcze marzenia moje niedorzeczne o przyszłość rozkołysało.



Nagle potem jednego dnia, jak sam bardzo ochotczy i wesoło się do tej podróży gotował, z wielką serca gorącością, tak i mnie, głoszącą po brodzie, rzekł.

— Gotuj nogi do drogi, ale pamiętaj, jak mi omdlejesz gdzie, to cię w klasztorze jakim zostawię.

— Na kraj świata pójdę za tobą, ojcze—zawołałem, do nóg mu się rzucając.

Myślałem, że oszaleję z radości, gdy mi ks. Jan towarzyszyć sobie dozwolił. On sam, jak skoro to postanowił, a była wczesna wiosna i sama Wielkanoc, kiedy się to stało, po odbyciu spowiedzi i przyjęciu Komunii, wyruszył tak wybrany jakim mówił. Suknia jedna, płaszcz, kij, tykwa, sakwa i grube trzewiki. Jam też podobnie był odziany. Obciążać się nieczem na drogę nie było można, a ks. Jan brewiarz tylko z sobą wziął.

Dzisiaj, po latach tylu, jużbym tej pielgrzymki opowiedzieć, ani opisać nie mógł. Przesuwało się codzień tyle nowych widoków przed oczyma mojemu, żem ciągle był, jakby we śnie gorączkowym. Po Wilnie Kraków mi się wydawał miastem takim, jakiemu równego chyba na świecie nie było, a gdyśmy podróżować zaczęli przez miasta niemieckie, nawiedzając olbrzymie kościoły, patrząc na zamki, pałace i grody ogromne, co chwila słupiec było potrzeba z podziwu.

Oprócz tego sam świat, któryśmy przebywali, wcale od naszego inny, cudownym razem i strasznym się wydawał. W górach zdawało się, że się świat kończy śniegami zasypany, a tu dopiero, przebywszy je, gdyśmy weszli jak do zaczarowanego ogrodu, miły Bóg, człowiek zrazu zmysły postradał.

Ja, co te cuda po raz pierwszy oglądałem, szedłem oczarowany niemi. Ks. Jan mało na nie patrzył, modlił się albo rozmyślał. Nie pomineliśmy żadnej figury, kaplicy, ani kościoła bez modlitwy.

Przygód wielkich Pan Bóg nam szczenił jakoś,

jak gdyby szczególną opieką ks. Jana osłaniał. Nieraz na burzę się zbierało, nieraz obłąkać się mogliśmy, a i zbójectwa po drogach było dosyć, wszystko nas pomijało. Stawaliśmy zawsze w porę po klasztorach na noclegi, nigdzie nas nie odepchnięto.

Za górami już pielgrzymów się spotykało dosyć, ale ks. Jan wolał iść samotnie.

Tu, choć z Krakowa wyszliśmy chłodną wiosną, zaskoczyły nas skwary okrutne, tak, że we dnie prawie iść nie było podobna. Szliśmy więc wieczorami i rankami. Lato było najśliczniejsze, a dla mnie dziwnie tu wszystko, bo nie było prawie trawy, drzewa, kwiatu podobnego do naszych. Rajem się to wydawało, chociaż słońce paliło jak w piekle.

Ostatnich dni, gdyśmy do Rzymu się zbliżali, którego wcale nigdzie widać nie było—zaskoczyło nas suche wiatrysko, przy ołowianem niebie, z tumanami kurzu takimi na pustyni, iż mnie poraz pierwszy strach ogarnął.

W górach nieraz trwoga brała, patrząc na przepaście i szczyty śniegiem okryte, na których znaku żywota nigdzie widać nie było, jakby tu państwo śmierci się rozciągało; ale na tej płaszczyźnie wyschłej, pustej, bezludnej, po której wiatr szalał, unosząc pyłu tumany, groza ogarniała większa jeszcze.

A przecież Bóg miłosierny, aniśmy zblądzi, ani zgineli, a ks. Jan szedł tak pewnym krokiem, choć przed nami nie widać nie było, jakby mu kto palcem drogę wskazywał. Raz jeden tylko znaleźliśmy nad gościńcem naszym kamienny słupek w ziemię wklęsły, który zdawał się coś oznaczać.

Rzym zobaczyliśmy dopiero w Rzymie, gdyśmy most murowany jakiś przebywszy, do kupy murów się zbliżyli. Tu wszedłszy jak do labiryntu, wśród domów kościołów, ruin, powalonych gmachów, olbrzymich wieżyc... trudno się było pokierować. Ale na wstępie samym, jakby na nas czekał, kleryk młody



się znalazł, który do gościnnego zaprowadził klasztoru.

W ciągu całej podróży widziałem to i czułem, że się z nami działo coś niezwykłego, jak gdyby niewidzialna moc jakaś czuwała nad nami i odwracała niebezpieczeństwa, bośmy często cudem ich unikali i zdumiewali się ludzie, widząc nas całych i zdrowych, wychodzących z takich miejsc i niebezpieczeństw, w których kości trzeba było zostawić. Ks. Jan szedł zawsze i prowadził mnie z sobą, rzec mogę, jak gdyby inny wzrok miał, dalej sięgający i pewność tę, iż nigdy się nieobłąka a wszelkiego zła uniknie.

Po drodze też modlił się wesoło, śpiewał pieśni pobożne, albo stawał wśród rozkosznych i pięknych widoków, sam się ciesząc nimi i mnie te cuda prawicy Bożej ukazując, a chwałę Stwórcy głosząc.

W Rzymie też tak się przygodziło, iż tu jakby na nas czekano, choć na świecie nikt wiedzieć nie mógł, ani się domyslać, kiedy przybędziemy.

Kleryk ów, którego w bramie zaraz napotkaliśmy, cudem znowu jakby okazał się Polakiem, nowicyuszem od Dominikanów, z klasztoru tego, w którym nasz Jacek święty niegdyś z Dominikiem przebywał. Był ów klasztor, acz niezbyt rozległy a wielki, podówczas jakby polskich pielgrzymów przytulkiem i gospodą. Kleryk też zaraz nas, niewielu słowy się rozmówiwszy, począł do niego prowadzić.

Nie będę ani próbował onego Rzymu, na który w osłupieniu patrzałem, starać się opisać, gdyż to jest nad siły moje. Ruin, kolumn, na wpół obalonych gmachów olbrzymich, budowli pogruchotanych przez wieki, polepionych na nowo, innych świeżo wzniesionych przebywaliśmy do klasztoru dążąc jakby las cały, wśród którego krętych labiryntów tylko człowiek obeznany z tem miastem ogromnym, mógł się pokierować bezpiecznie.

Co chwila nam prowadzący nas, to kościół jakiś, to ruinę z pogańskich jeszcze czasów pochodzącą

ukazywał. Dowiedzieliśmy się też od niego, iż jak nigdy tak i teraz na pobożnych pielgrzymach polskich w stolicy apostołów nie zbywało.

Było tak w istocie zawsze, iż nie jeden, to drugi z duchownych naszych, albo sam dla modlitwy i uczczenia relikwii świętych, lub w poselstwie od króla, od biskupów i kapituł do Rzymu wędrował. Rzadko ów dominikański klasztor i inne stały próżne bez polskich gości. Oprócz tego młodzież, która na nauki do Bononii i Padwy uczęszczała, a tej zawsze dosyć było, w końcu do Rzymu dążyła, aby choć wiekuiste miasto zobaczyć i na całe życie pamięć o niem zachować.

Byłoby zaprawdę ciekawem opisać jak ówczesny Rzym wyglądał, ale się ja na to porywać nie mogę, bom w nim widział tylko małą częstkę tego, co do oglądania było... a dziś i pamięć nie starczy, aby opowiedzieć o wiecznem mieście.

To tylko wiem i pomnę, że co chwila słupiec musiał i dziwować się powalonemu na ziemię jednemu światu, i temu, który na gruzach jego wyrastał.

Tak samo jak Polaków, widzieć tu i spotykać było można ze wszech stron świata i pielgrzymów, językami różnemi niezrozumiałemi mówiących i chwalać Boga, a w Rzymie tym, każdy znalazł tłumacza i gospodę, bo to była i jest stolica świata.

W klasztorze św. Dominika, który ani wielkością, ani wspaniałością się nie odznaczał, przeor przyjął ks. Jana wielce uprzejmie i celę mu naznaczył, przy której ja w korytarzu miałem u drzwi na noc posłanie, bom dobrodziejowi memu w jego modlitwach i rozmowach z Bogiem nie chciałem przeszkadzać.

Jak się rzekło, znaleźliśmy tu już Polaków; był jeden ksiądz z Gniezna od arcybiskupa posłany, a oprócz tego gromadka rycerska, jakem się dowiedział pana Jędrycha z Tęczyna, który dla pobożności do Loretu, Rzymu i miejsc świętych wędrował.

Z tymi zaraz dnia pierwszego przy gościnnym



stole, rozumie się ja z czeladzią tylko, bom do panów przystępu nie miał, zabrałem znajomość. Młodzieży było kilku, Krakowian i Sandomierzanów.

Szeroko się rozpisywać nie będę nad tem, jakośmy z ks. Janem, bo ten mnie z sobą wszędzie prowadził, obchodzili miejsca, w których relikwie złożone były, modląc się i oglądając. I nie tylko groby i kości męczenników, w każdym kościele i ołtarzu obficie, ale daleko droższe tu znajdowaliśmy pamiątki; drzewa krzyża świętego całe sztuki, słup przy którym Chrystus był biczowany, gwoździe jakimi go na krzyżu przybito, suknie i szaty, które On i Matka jego nosiła.

Anibym zliczyć mógł tych skarbów i świętości. Ukazywano nam też owe miejsca, w których się krew męczeńska lała, jak to stoi w złotej legendzie i żywotach; więzienie Piotra świętego głęboko w ziemi, jako studnia wykute, gdzie źródło od tych czasów się sączy; miejsce kędy Piotra z Rzymu uchodzącego Chrystus Pan spotkał i t. p.

Ale nade wszystko com w życiu kiedy widział, po dziwieniu i grozą mnie przejął ów niesłychanej wielkości gmach, w którym dziesiątki tysięcy ludzi mieścić mogły, niegdy służący do walk z dzikimi zwierzętami, którym chrześcijanie na łup bywali dawani. Mury to jakby nieludzką dźwigniętą ręką, piętrzące się do góry niby ze skały wykute, z głazów ogromnych spojone, już naówczas rozpadać się zaczynały, i tak jak z innych, z nich też kamienie wywożono na nowe kościoły i domy.

Po ulicach i pustych rynkach trawą pozarastałych, co leżących, pokruszonych i całych kolumn z marmurów, jakich u nas sztuczka mała drogo się płaci, wliczyć trudno. Można rzec, że tu stopa nie dotykała ziemi, nie potracając o coś świadczącego jaka to potęga w gruzy legła, aby chrześcijaństwu pole oczyścić.

W Krakowie, gdym tu poraz pierwszy przybył, zdumiewały mnie liczne konwenty, bractwa i mnichów siła, ale w porównanie to z Rzymem iść nie mogło,

gdzie tysiącami zakapturzonych, długimi szeregami ciągnących przez ulicę, spotykać było można. A kto modlić się chciał i trwać na modlitwie, choćby i noc całą, znalazł zawsze kościół lub kaplicę otwartą, lampę gorejącą, przed Najświętszym Sakramentem czuwających księży i pielgrzymów.

Niektórzy z nich, snadź grzesznicy wielcy, czy też świątobliwości wielkiej ludzie, na kolanach się czelgając od kościoła do kościoła wędrowali, innych krzyżem leżących po całych dniach na zimnej posadce spotykać było można.

Następnych dni zaraz, czeladź szlachecka pana Jędrycha z Tęczyna ze mną się pobratała i poznała. Starsi też nie śmiejąc ks. Jana wypytывать, bo ten próżnych rozmów unikał, u mnie się o niego i o Kraków dowiadywali.

Alem ja więcej słuchając rozmów ich nauczył się od nich, niż oni odemnie, bo u ks. Jana przy celi siedząc a do szkoły chadzając, po za ulicę św. Anny mało co wyjrzałem i co się działo w świecie niewielem się troszczył o to.

Nie wystrzegano się mnie w refektarzu, gdy się na jedzenie zbierali wszyscy, panowie u przedniego stołu, my w kacie; miałem więc zręczność nasłuchać się tu rzeczy o Polsce, o jakich wprzód wcale wyobrażenia nie miałem; o czem rozpowiem zaraz, bo dla mnie to dziwnem nad miarę i zdumiewajacem brzmiało.

W Wilnie wychowany byłem i nawykły żyć w pośród ludzi, którzy króla a W. księcia litewskiego miłowali i szanowali go, a nigdy słowa uwłaczającego mu nie słyszał. Ja też, choć mało widziałem Kaźmirza, czcilem go, a jakby wyższą jakąś istotę uważałem nad wszystkimi.

Jakież było osłupienie moje, gdy w pośród Polaków, którzy się tu gromadzili około pana Jędrycha, usłyszałem poraz pierwszy przeciwko królowi wyrzekania, odgróзки, zarzuty i takie słowa, z których gniew tryskał. W początkach mi to było wcale nie-



zrozumiałem i strasznie jak świętokradztwo, a z czego to płynęło i do czego dążyło, sędzę, że dopiero później pojąłem lepiej.

Nie ukrywali się z tem ci, co około pana z Tęczyna się obracali, a między nimi i duchownych było wielu, że króla Kaźmirza obawiali się i niechęć ku niemu mieli wielką. Co więcej, ja, którym się wychował wśród Litwy, ród swój książęcy czczący wiernie a miłością go otaczającą wielką, dowiedziałem się tu dopiero, iż znaczna część Polaków po swoich Piastach utulić się nie mogła, Jagiellowego rodu nie cierpiała, a nawet go się pozbyć zamierzała.

Duchowni też polscy wtórowali temu prawie wszyscy, na tem się opierając, iż Zbigniew biskup krakowski najgorzej o Kaźmirzu wróżył, wrogiem go kościół i władzy duchownej głosząc.

W Krakowie jeszcze częstą miewałem zrzeczność spotykania biskupa Zbyszka, który jako Akademii zwierzchni opiekun, czynnie się nią zajmował i często w niej ukazywał.

Widziałem ci też później następców jego na krakowskiej stolicy, ale żaden nigdy taką powagą i majestatem nie był okryty jak on. Stać mógł obok króla ze dworem swoim, z mnogą liczbą familiantów i klientów, a niekiedy wystawą i uroczystością wystąpień swych, króla gasił. Wszyscy Tęczyńscy, Oleśniccy z Sienna i z Dębna, Melsztynscy i inni krakowscy panowie za nim szli jako za wodzem.

Jakem się później przekonał, na sejmach i zjazdach panom i szlachcie nie tylko krakowskiej, ale wielu innych ziem on rozkazywał, przodował, dawał znaki co mówić i jak postępować mieli.

Nie miałem jednak przybywając tu ani pojęcia o tem, ażeby biskup przeciw królowi co knował i był mu przeciwnym. Tu się z tem nie tajono i mówiono głośno.

Mój też ks. Jan, o którym trzymałem, że stanie w obronie króla, wprawdzie nie potępiał go jak inni,

ale też niebardzo bronił. Wszystkich to oburzało, że Kaźmirz z potwierdzeniem przywilejów polskich bardzo się ociągał, a jawnie Litwie swej sprzyjał więcej. Posądzano go, że taką władzę Witoldową jaką miał w Wilnie, chciał i w Polsce zaprowadzić; najwięcej się zaś oburzano tem, że już w początkach panowania, gdy stolice biskupie zostały opróżnione, kapitułom nie dopuszczał wyboru pasterzy, ale posyłał do nich i swoich im narzucał ludzi, nalegając aby tych, a nie innych naznaczano.

Pan Jędrych z Tęczyna, owdowiały, bezdzietny, możny pan, człek już niemłody, pobożny bardzo, choć wędrówkę głównie odbywał dla poklonienia się miejscom świętym, nie taił się z tem, że od biskupa Zbyszka miał złeczone w Rzymie na króla się skarżyć.

Tu mu też, jak się zdaje, ucho dawano, bo papież albo kapitułom prawo wyboru biskupów chciał zachować, lub sobie mianowanie pasterzy wprost z Rzymu. W tem choć się może różniono w zdaniach w Krakowie i Rzymie, na teraz szli wszyscy zgodnie, byle króla nie dopuścić.

Tych wszystkich rozmów o sprawach Polski w początku ja słuchając, niewiele rozumiał, nierychło mi się oczy otwierać zaczęły.

Przyłożyło się do tego, iż w orszaku pana Jędrycha, Litwin mi się trafił, niejaki Sliziak, człek już letni, który się przez pobożność do niego przyłączył, choć sługą był innego Tęczyńskiego.

Ten mnie naprzd po moim sposobie mówienia przeciągłym i śpiewającym poznał, że na Litwie też chować się musiał.

Sliziak ten wcale osobiście wyglądał, i gdy się w ulicy lub w kościele pokazał, wszystkich oczy zwracał na siebie. Starzec był kościsty, silny, ogromny a tak włosem obrosły cały, że na twarzy mało co policzków, nosa i czoła z pośrodku ich wystawało. Na ustach nawet i na nosie, choć rzadkie włosy mu porastały. Z rąk tylko dłonie nagie były. Nad oczą-



mi brwi spuściście tak zwisały, że ich mało co z pod nich świeciło. Głos miał gruby i zachrypły. A choć tak dziko i strasznie wyglądał, złym nie był, a pobożności nadzwyczajnej; ale gdy się rozgadał, rozgrzał czuć było, że w nim w średzinie ogień musiał gorzeć wielki. Kiedy mileżał, to jak pień, oczy w ziemię wlepiwszy, a gdy począł mówić i rozruszał się, buchało z niego.

Sliziak ten, ledwie słowo z ust moich zasłyszawszy, gdy Litwina we mnie wytropił, spokoju nie miał, dopóki wziąwszy na spytki nie dobył ze mnie i tego com chciał i co nieraź zwierzyć byłem. Nie przyszło to od razu, ale zwolna mnie tak ugłaskiwał, po troszę wyciągał, a za serce chwycił tem, że moje Wilno, które ja wspominałem zawsze z miłością wielką, tak jak ja kochał, a znał lepiej odemnie.

Okazało się też, że i Gajdysów oboje widywał, wiedział o nich, a co dziwniej, o mnie nawet słyszeć musiał. Gdy się dowiedział kto byłem, że się tam na podzamczu wychowałem, nie wiem czemu, ale go to tak poruszyło, a do mnie uwiązało, że po całych dniach musiał z nim gwarzyć i rozpowiadać o sobie.

Nie porzuciał mnie już, czemu zresztą rad byłem.

Cale to niespodziane dla mnie sieroty spotkanie było dziwniejsze jeszcze, że się on mną tak bardzo zajmował. Sliziak zresztą choć Litwin, czemum się dziwował, tak jak Polacy króla nie lubił i z temi trzymał, którzy na niego rzeczy niebywałe i straszne wymyślali.

Jam mileżał lub bronić się starał. Sliziak mi tem gębę zatykał, iż gołowas jestem i rzeczy tych a spraw spełna nie rozumiem.

Moeno mnie to dziwiło, że stary się tak do mnie, chłopięcia obcego, przywiązał; a bardziej jeszcze zdziwilem się, gdy po jakimś czasie począł mnie do stanu duchownego namawiać mocno, dowodząc, że sierota najlepiejbym uczynił, gdybym dostawszy się do Rzymu, tu do nowicyatu wstąpił i nigdy do kraju nie powracał.

Wytłumaczyć sobie tegom naówczas nie umiał, dlaczego tak był rad się zaopiekować mną, od ks. Jana oderwać, i obiecywał nawet, iż pan Jędrych by mi powagą swą wyrobił u Dominikanów przyjęcie do nowicyatu.

Choć pobożny, nie miałem nigdy powołania szczególnego do zakonu, ani nawet do stanu duchownego, a wiek też mój zawczesnym był, aby o całym życiu rozstrzygać; opierałem się staremu, co nie przeszkadzało, że mi tem ustawicznie dokuczał.

Naówczas wyznałem mu, to com na sercu nosił, iż postanowiłem koniecznie nieznanym mi rodziców szukać i znaleźć.

Tu już cale opowiedzieć muszę, jak wyznanie owo moje przyjął. Zerwał się niem, jakby przerażony i oburzony, choć nie pojmowałem, co go mój los miał tak obchodzić, i począł zaklinać gniewnie, ostro, wyrzucając mi opór przeciwko woli Bożej, odwodząc od tego, abym głupią myśl tę porzucił.

Poruszonym był tak, jakby go to osobiście zabolalo i dotknęło, czem mnie bardzo zdumiał i niemal przestraszył. Nie rozumiałem bowiem jakaby to zbrodnią z mej strony być miało, że rodziców szukać chciałem.

— Przecież tyle rozsądku, choć młokos jesteś, mieć musisz — rzekł — iż rozumiesz to, że gdy rodzice ciebie nie szukają, śnać znać cię nie chcą, lub nie mogą! A i o tem wiedzieć powinieś, że kuszisz się o to, czego nigdy dokazać nie potrafisz, bo oni pewnie rozumu i siły więcej mają niż ty; poddać ci się więc trzeba woli Bożej, a na świecie rodziny nie mając, szukać jej w rodzinie świętych Dominika lub Franciszka, którzy radzi przygarniają sieroty. Matką ci będzie kościół, ojcem patron, braćmi współzakonnicy, a szczęśliwego żywota jak w zakonie nigdzie nie znajdziesz.

Ale nietylko mnie tak starał się nawrócić Sliziak, postrzegłem, że się umyślnie do ks. Jana z tem do-



stał i miał z nim długą rozmowę o mnie, usiłując go namówić, abym tu w nowicyacie był umieszczony.

Kto inny, nie ks. Jan mój, z tego pośrednictwa wnosiłby był mógł, że ja sam nie śmiejąc o to prosić, Sliziaka do niego posłałem, aby mi wyjednał czego sobie życzyłem.

Ale ten, osobliwy miał dar czytania w myślach ludzkich i coby innego w błąd pewnie wprowadziło, świętego człowieka obalamucić nie mogło.

Tegoż wieczora, gdy przyszedł po błogosławieństwo i rozkazy, a w rękę go całował, rzekł mi uśmiechając się.

— Cóż to ten Litwin stary opiekuje się tak waszcią, i chce was koniecznie do Dominikanów oddać? Gdybyś w istocie powołanie miał, o czem zgola wątpię, juści by lepiej przystało u nas u św. Trójcy, między swoimi szukać sobie braterstwa i przyjęcia.

Naówczas ja gorąco bardzo zaproteutowałem, że jako żywo do żadnego nowicyatu się nie napierałem, jak najdłużej pragnąc w usługach jego zostawać i do kraju powracać z nim, a tam czekać co mi Bóg natchnie.

I ks. Jan milcząc głową tylko dał znak, że nie był temu przeciwnym.

Nie poprzestawszy na tem Sliziak, innych jeszcze środków zażyć próbował, aby mnie Dominikanom oddać. Z pomocą więc pana Jędrycha samych tutejszych księży ujął, ażeby mnie ku sobie przygarniali.

Wszystko to jakieś dziwne we mnie obudziło podejrzenie, chociaż wytłumaczyć sobie nie umiałem wcale, jakieby pobudki Sliziaka czyniły tak gorliwym o mnie i przyszłość moją.

Gdy się nareszcie przekonał, iż wszelkie starania te na niczem spełznąć muszą, bo ks. Jan, któremu zdany byłem, nie sprzyjał im, Sliziak jedno mi już w głowę starał się wbijać, abym nierozsądnego tego poszukiwania rodziców wyrzekł się koniecznie.

Przyszło do tego w ostatku, że mi nawet grozić począł.

— Jasna rzecz, że rodzice twoi, jeżeli żyją, znać cię nie chcą; narzucać się im niebezpieczna, boć łatwo się pozbyć mogą.

Tego ja spełna nie rozumiałem, bo mi się w głowie pomieścić nie mogło, aby rodzice dobrowolnie dziecka i miłości jego się wyrzekali. Przypisywałem moje osierocenie jakiemuś wypadkowi, albo zabiegom nieprzyjaciół.

Sliziak jeżeli chciał mnie uspokoić i rozbroić, niezręcznie się wziął do tego, gdyć przeciwnie podrażnił mnie i zapomnieć nie dał com sobie przyrzekł.

Wśród tych rozmów z nim, ponieważ umiał dobywać ze mnie wszystko, mowa też była i o krzyżyku, który na piersiach nosilem. Sliziak mi inny, bodaj złoty i większy za niego ofiarował, chąc dostać ode mnie, alem mu go tknąć nie dał.

Wspomniałem mu i o tem, jakom z Wilna do Krakowa jadąc, po drodze matkę spotkał i poznał — czemu on najgwałtowniej zaprzeczał, wyśmiewał mnie i długo nie dawał pokoju, usiłując wmówić, że mi się to przywidziało, że osób do siebie podobnych nie mało bywało na świecie, a moja matka pewnie od dawna nie żyła.

W końcu temi naleganiami stary Sliziak tak mi się stał naprzykrzonym, że go unikał, uchodził zobaczywszy i zbywał milczeniem. Nic to nie pomogło, gonił za mną, łapał i pokoju mi nie dawał.

Z mowy mej mógł to wymiarkować, że ja z Wilna wywiózł miłość i cześć dla króla Kazimierza wielką. Z osobliwą też natarczywością usiłował mnie ku niemu zniechęcić, wszystko co najczarniejsze na niego wymyślając. Ani wiem jak to na młodociany i wrażliwy umysł mój nie podziało, alem to często w życiu mojem na sobie i drugih wypróbował, że gdy zbyt naciśniano w jedną stronę, serce i głowa w przeciwną się przerzucały.



Takim był ów pobyt mój z ks. Janem w Rzymie, który choć nie zbyt trwał długo, wpłynął wielce na młodzieniaszka, głowę mi otworzył i świat rozjaśnił.

Wcale innym powracać miałem, o samym kraju przywołując z zagranicy wyobrażenie nowe i wiadomości, których nie miałem wprzód.

Nawyki do szanowania duchowieństwa, ale razem i do czczenia króla, którego na Litwie niemal bałwochwaleczno wszyscy wielbili, znalazłem się w dziwnej sprzeczności z samym sobą, pogodzić tego nie umierając, czego duchowni wymagali, a król się przeciwiał i opierał.

Zrodziła się wątpliwość we mnie, czy w istocie Kaźmirz pan nasz miał słuszość, gdy przeciwko niemu Rzym był, ojciec święty, biskupi i niemal całe duchowieństwo.

Z drugiej strony okazywało się i to, że część duchownych z królem trzymała, jego popierała, i że w kościele też było rozdwojenie.

Na moją ciasną głowę wyrostka, wszystkiego tego za wiele było i powstał w niej zamęt wielki.

Sprawy to były mi obce, nie obchodzące mnie, ale zawczasu umysł miałem, już taki ciekaw i niespokojny, który szczęścia nie daje. Takim Pan Bóg mnie stworzył.

Ks. Jan cały czas nasz pobytu w Rzymie na nabożeństwach spędzał i na szukaniu ksiąg, których mu potrzeba było. Tych i tu we Włoszech, choć na kłerykach kopistach nie zbywało, za tanie pieniądze dostać było trudno. Sprzedawano rękopisma, przepisywano szybko, ukradkowo, dla zysku; gdy się w nich ks. Jan rozpatrywał, okazywały się tak błędnie i nieudbale kopiowanymi, iż z nich pożytku nie można się było spodziewać.

Naówczas to ks. Jan wzdychając i ukazując mi je, pierwszy raz myśl tę poddał, abym się kaligrafii uczył; ale nie miałem do tego ochoty wielkiej, cią-

gnęły mnie zawsze więcej rycerskie i dworskie sprawy, koń i zbroiczka, niż pulpit, pióro i pargamin.

Ks. Jan też dla nabożeństwa trafił do Rzymu w porę, bo go było dosyć każdego dnia, a nowych też relikwii siła się znajdowało, którym cześć oddawano; ale na kupowanie rękopismów nie był czas dobry.

Prawda, że ich ze wschodu Grecy uciekając przed Turkami przywozili do Rzymu bardzo wiele, ale Ojciec święty Mikołaj V, który na Stolicy Apostolskiej naówczas siedział, wszystko co się gdzie nasycało do nowej biblioteki watykańskiej zagarniał, zazdrosnym był i nikomu się podkupić nie dawał.

Znoszono też zewsząd co kto miał i składano Ojcu św., który po całych dniach, jak powiadano, w pismach tych się rozpatrywał i cieszył niemi. Nie broniono z nich i drugim spisywać kopii, ale o kaligrafów nawet po klasztorach ciężko było.

Grecy do Rzymu przybyli, jak Jerzy z Trebizondy, Teodor z Gazy, Demetrius i inni, których imiona zapamiętać mogę, pono więcej greckich manuskryptów z sobą przywieźli niż łacińskich; mało kto naówczas języka greckiego był świadomym, i żeby z nich korzystać, wprzód je tłumaczyć należało, co też papież nakazywał uczone, którzy go otaczali.

Mnie się to naówczas o uszy obijało dlatego, że ks. Jan wiele o tem mówił z księżmi, a troszczył się, inni też z powodu, że Ojciec święty miał tę wielką ksiąg miłość, także naśladować go w nich się kochali. A że niejedyn sowicie nagrodzony został za to, iż papieżowi w darze złożył rękopisma, poszukiwanie za niemi pilne było.

Wielkiego więc plonu mój opiekun z Rzymu wieść nie mógł, ale i z tego rad był co Bóg dał. Inne znowu zamówił sobie i dla kolegiów krakowskich, które ich potrzebowały.

Takeśmy czas najgorętszy przebywszy w Rzymie, wiele nabożeństwa zażywszy, wiele się nasłuchawszy,



ja szczególnie, który poraz pierwszy byłem na takich godach, poczęli się zbierać do wyjazdu.

O sobie to tylko powiedzieć mogę, że mi się tu na wiele rzeczy pierwszy raz otworzyły oczy. Rad-bym był wielce tej podróży, pomimo nie wygod i niewczasów jakich zażyliśmy, gdyby nie Sliziak i nie jego zbytne opiekowanie się. Dawało ono do myślenia i do domysławiania się wiele, a potwierdzało mnie w tem, że jakaś tajemnica do urodzenia mego i losu przywiązaną być musiała.

Nie darmo przecie, dowiedziawszy się kto byłem, Sliziak tak się do mnie przypił, tak nagle przystał do sieroty i w Rzymie go chciał na wieki za górami pomieścić, aby o nim więcej nie było ani wieści ani słychu. Pewnym byłem, że ten człowiek, który na Litwie bywał i Wilno znał, o Gajdysach wiedział, o mojem też pochodzeniu musiał coś mieć, a tał się z tem. Jawnem było, że mnie się ze świata, a przynajmniej z oczów pozbyć chciało. Serce mi gorczyłą zapływało, gdym myślał o tem, a choć mały i słaby mówiłem sobie, że mroki przebić muszę i dojść do rodziców, jeżeli żyją, a gdyby ich na świecie nie było, choć do świadomości o nich.

Utrapienie to moje myśli, z którymi się kryć musiałem, przyczyniły się do tego pewnie, że nad wiek mój spoważniał i dojrzewał.

Gdy się zbliżyła godzina, w której nareszcie Rzym opuścić było potrzeba, podwoił ks. Jan nabożeństwa, a ja z nim, alem podołać temu co on nie mógł. Choć we dnie skwar był okrutny, czasem taki, że w ulicy i psa nawet nie było widać, bo się wszystko chowało po kątach i w cieniu, nocami chłód przejmujący doskwierzał, a ks. Jan noce spędzał często na modlitwie krzyżem leżąc.

Z tego czy z wody, której się piło dosyć, fig i owoców dokładając, pod koniec febrzy dostałem srogiej, która mnie kilka dni w łóżku trzymała, a gdy aptekarz Dominikan jakimś gorzkim lekarstwem i krzy-

żem świętym ją przepędził, została mi po niej słabość taka wielka, iż zdawało się, że zostać będę musiał w Rzymie, bo nie wytrzymam podróży. A nieczegom się tak nie lękał jak tego, bom koniecznie do kraju pragnął powracać i modliłem się o to do ks. Jana, który miał litość nademną. Szczęściem dla mnie złożyło się tak, iż pan Jędrych z Tęczyna z Rzymu też do Polski powracał. Jął więc namawiać ks. Jana, aby wedle uczynionego ślubu pieszo podróż odprawivszy, z nim razem na wozie lub na koniu do Krakowa jechał; na co opiekun mój w końcu przystał, nie tak dla wygody jak dla pośpiechu, gdyż za Krakowem, kościołem swym i ulicą św. Anny tęsknił.

Mnie też na wozie miejsce przeznaczono, i Panu Bogu bym za to dziękował, bo mi się na nogach długo jeszcze utrzymać było trudno, ale mi strach było Sliziaka, który już namowami swemi srodze mi dojadł i dokuczył.

Nie zdoławszy mnie w Rzymie porzucić, teraz jedno kładł w uszy ciągle, żebym nadziei niedorzecznych i starania o wyszukanie rodziców wyrzekł się, bo inaczej zgubę sobie i gniew Boży zgotuję.

Opuściliśmy tedy Rzym, progi apostolskie ucałowawszy, a wyznać muszę, że choć mi z powrotem pilno było, przecież i za temi miejscami świętymi żał się zrodził. Słyszałem tam opowiadających, iż była woda jedna w Rzymie, która taką własność miała, iż kto się jej raz napił, wieczne jej miał pragnienie.

Oglądaliśmy się też z miasta wyciągnawszy długo za niem, choć prędko znikło nam z oczów i ta równina pustynna otoczyła nas, przez którą tylko szlak kamiennymi płytami wyłożony przed wieki prowadził, a po obu jej stronach jak pagórki stały rumowiska, które pogańskimi grobami opowiadano.

Drugiego dnia wieczór jużśmy z pustyni okalającej Rzym, w góry bardzo piękne a wąwozy wjechali, gdzie trzeba było jechać bacznie, a zbrojno, bo po



drogach rozbijano, a mijaliśmy niemało mogił i krzyżów, które o tem świadczyły.

Choć pan Jędrych z Tęczyna towarzyszył nam, w powrocie też nie mijaliśmy żadnego kościoła, miasta, klasztoru bez nabożeństwa; więcej po klasztorach stając na noclegi, niż po gospodach. Podróż wistocie mniej trwała, niż gdyśmy pieszo z ks. Janem te przestrzenie przebywali, a nie wiem czemu wydała mi się ona teraz dłuższą i przykrzejszą, choć na niczem nie zbywało.

Późną jesienią, nie wiem ile razy przez strome grzbiety gór się przedarłszy, za każdym coraz chłodniejsze znajdując powietrze, znaleźliśmy w kraju języka słowiańskiego, i czuć było, że się do Polski zbliżamy. Jam czuł radość wielką, choć w Krakowie oprócz kilku towarzyszków nie miałem ani brata, ani swata, ani żywej duszy, którąbym swoją mógł nazwać.

Ale człowiek, gdy nie może do ludzi, do kamieni się przywiązuje, taką ma serca potrzebę miłować coś.

W miarę jakieśmy się ku Krakowu zbliżali, już mi moja izdebina, kollegia, i ulica i towarzysze szkolni tak żywo w oczach stali, żem o nich snił nocami. Do granicy się zbliżywszy, pan Jędrych z Tęczyna nawrócić musiał do swoich majątności, nam zaś resztę drogi przyszło odbyć pieszo, ale mnie już sił wróciło trochę, a radość ich dodawała.

Gdy z noclegu rozstawać się trzeba było z Tęczyńskimi ludźmi Sliziak mnie wziął na stronę jeszcze. Wiedziałem co mi prawie będzie. W istocie począł stary od tego, iż ze łzami w oczach, gorąco bardzo naprzód usiłował mi dowieść, że dla mojego własnego dobra, tak się troszczy o mnie.

— Chceszli spokojnym być a życia sobie nie zatruć — rzekł mi — słuchaj rady mojej. Rzuć próżne starania o dochodzenie tego, czego wiedzieć nie powinienes. Masz przecie rozumu tyle, jeśli rodzice się

ciebie wyrzekli, to nie bez słusnych powodów. Zadałbyś im przykrość i boleść może odkrywając, co oni chcą mieć zatajonem.

— Miły panie—odpowiedziałem mu—mało rozumu mam, młody jestem, to pewna, ale tyle wiem, że rodziców obowiązkiem dziecko nie opuszczać. Nie obwiniam ja ich o to, by się mnie tak okrutnie pozbyli, sprawą to jest złych ludzi, ich nieprzyjaciół. Bóg wie! którażby matka dziecko własne mogła odtrącić?!

— Al! al! Jaszku mój — odparł Sliziak — zielono u ciebie w głowie, zielono. Świat ma wiele tajemnic, które dopiero później ci się odsłonią. Bądź baczny, jesteś na dobrej drodze przy wielce świętobliwym człowieku, do stanu duchownego powinienes się gotować i szukać szczęścia w Bogu.

— Tak—odparłem śmiejąc—jabym też nie pragnął nic, tylko powołania tego stać się godnym, alem nie winien temu, że mnie koń, zbroja i rycerstwo pociąga więcej, niż klasztor.

Oburzył się na to Sliziak.

— Roisz to sobie—krzyknął—a wmawiasz. Co cię czeka w rycerskiem rzemiośle? Pacholikiem i służką będziesz musiał być przez życie całe, tarcze lub miecz za drugimi nosząc, bo rodziców nie znając, szlachectwa nie masz.

— Albo się go to na polu bitwy dorobić nie można? — odparłem. — Słyszałem przecie nie o jednym, którego królowie w bitwie rycerzem pasowali. A bez szlachectwa—dodałem—wy to wiecie jako ja, i w stanie duchownym daleko zajść nie można. Dla szlachty tylko są dostępne beneficya i prelatury.

— A w klasztorze to źle? — zawołał Sliziak — prałaci i biskupi brzemia mają do niepozazdrosczenia.

Nie chciałem się sprzeczać z nim, alem przy swoim pozostał; tak rozstawszy się niemal u wrót Krakowa, szliśmy dalej, a nigdy ks. Jana tak wesołym i dobrej myśli nie widziałem, jak tych dni ostatnich.



Troszczył się tylko, żebym sakw nie pogubił, w których parę ksiąg nosłem, a oczy mu się śmiały w stronę ku miastu swojemu poglądając.

W Krakowie się nas pono tak rychło nie spodziewano. Szliśmy naprzód z dziękczynieniem do grobu Stanisława świętego, przy którym się pomodliwszy, ks. Jan z wesołą twarzą do swej celi pośpieszał.

Lecz już w ulicach, kto go ujrzał, biegł do ręki i do błogosławieństwa, a zobaczywszy radowali się wszyscy tak, że za nim szli i nimeśmy do kolegium podążyli, cały sznur ciągnął za nami.

Był już naówczas mój ks. Jan w takiej sławie światobliwości wielkiej, że go za życia błogosławionym uznawano, powracał z Rzymu uświęcony jeszcze pielgrzymką i błogosławieństwem apostolskiem, więc choć skraju sukni jego chciał każdy dotknąć, choć słowo z ust jego posłyszeć.

Przybywszy do kolegium ledwie miał czas ukłęknać przed obrazem Chrystusa, gdy wieść po Krakowie się rozchodząca o wracającym z podróży, zgromadziła do celi, do sieni, do drzwi profesorów, kanoników, kolegiatów i ludzi wszelkich tyle, że się ani docisnąć mogli do niego.

Całowali go wszyscy po rękach, witali, pytaniami zarzucali a cieszyli się, że cały i zdrów powracał tu, gdzie po nim tęsknili.

Łzy widziałem w oczach jego, bo mało co mówić zrazu mógł, tak był poruszony.

Mnie też dawni towarzysze opanowali, abym im prawił o podróży, dziwując się, że się opalił, schudł, a drudzy powiadali, że urosł. Chociaż z Rzymu pobłogosławionych medalików, paciorek i różnych świętości dosyć się przyniosło, ale niemi nastarczyć nie było sposobu.

Znużenie drogą, mnie się następnych dni mocno czuć dało tak, że pokładać się musiał, a na księdzu Janie nic nie było widać, krom wielkiej pociechy, że ślub swój spełniwszy do celi powrócił. Nazajutrz

dawny swój tryb życia rozpoczął, na jeden włos nie odstępując od niego.

Cieszyło to, że pytany o mnie świadczył, że w podróży zawada mu nie był i dobrze się sprawował.

Przez dość długi czas potem żadnej zmiany w życiu mojem nie było. Uczyłem się pilno, bo choć stan duchowny nigdy mi nie smakował, do nauki wstrętu nie miałem, i owszem ciekawość wielką.

I to mi ks. Jan przenikający myśli naganiał właśnie powiadając: że nauka dobrą tylko jest, gdy Bogu służy i dla niego się nabywa, a złą gdy próżną syci ciekawość i od Boga odwodzi.

Dnia jednego, gdy ulicą podle dworca biskupiego przechodził, około którego jak na zamku zawsze tłumno i gwarno, bo ks. Zbyszek wysoko stał i z królem na równi się niemal liczył, postrzegłem znajomych mi ludzi pana Jędrycha z Tęczyna, których w podróży mieliśmy z sobą. Ci mnie jednak nie widzieli czy nie poznali. Może przykre wspomnienie Sliziaka, czy nie wiem już co, tak mnie pognębiło, że do kolegium powróciłem z obawą jakąś i złem przeczuciem.

Samem to sobie wyrzucał, bo cóż był za związek między mną a ludźmi temi i czegom się miał lękać? Ale niejedną raz w życiu trafiało mi się już zło, którem groziło przeczucie. Aliści drugiego dnia ks. Jan powróciwszy do celi swej z miasta, zawołał mnie do siebie.

Znalazłem go z twarzą posępną przechadzającego się po izdebce.

Zobaczywszy u progu stojącego, podszedł naprzód ku mnie i po głowie pogłaskał. Niezwyczajna to była pieśczęta i uląkłem się jej trochę czując, że coś niedobrego złagodzić miała. Drżałem, rękę jego całując.

Ks. Jan stał. Stał z politowaniem jakimś patrząc na mnie, jakby mu do słowa ciężko przyjść było.



— Moje dziecko — począł zwolna — moje dziecko, woli Bożej a rozporządzeniom starszych opierać się nie potrzeba. Nie jesteś taką sierotą jak ci się zdaje, litościwi ludzie opiekują się tobą.

Słuchając serce mi biło jak młotem.

— Pasterz nasz, przewielebny a znaczny w kościele i Rzeczypospolitej mąż ks. Zbyszek, zasłyszał o tobie. Pochwalono cię przed nim, a młodzieży na dworze potrzebuje. Chce cię wziąć do siebie, odrzucić tego nie godzi się.

Stałem osłupiały.

— Niechętnie się z tobą rozstaje — dodał ks. Jan, uderzając mnie po głowie — ale rozkazowi biskupa opierać się nie mogę. Później, któż wie, zmienić się to może. Na dworze Pasterza, w jego kancelaryi wiele się nauczyć możesz i skorzystać, a gdy on zechce się zaopiekować, łatwo dojdiesz do wszystkiego.

Opierać się nie mogłem, ale łzy mi się puściły z oczów; oświadczyłem wreszcie, iż radym przy nim pozostać, i że nie pragnę teraz nic więcej.

— Posłusznym być powinienś — dodał ks. Jan — pierwsza we młodym cnota, a i w starych ona dobra. Składa się tak, musi w tem być wola Boża. Biskup mi polecił, abym cię przysłał i abyś się do marszałka dworu jego Doliwy starego zgłosił, który młodzież ma pod swym dozorem. Nie zamęczą cię tam pracą, bo biskup ma dwór i ludzi wielu.

Plakałem ciągle, lecz nie mogąc powstrzymać, w końcu nogi jego ucałowawszy, błogosławieństwo otrzymawszy, widząc że nie ma innej rady nad posłuszeństwo, węzelek mój wzięwszy, z oczyma jeszcze od łez zaczerwienionymi szedłem do dworca biskupiego.

Świat tu inny był, a po spokojnej celce ks. Jana, zrazu w tym gwarze rozpoznać się i oprzytomnieć było trudno.

Żaden z dawniejszych i późniejszych biskupów

nie dorównał Oleśnickiemu ani rozumem i powagą, ani splendorem i potęgą. Ci co go nie znali i za tych nie żyli czasów, z trudnością sobie o tem wyobrażenie jakie uczynić mogą.

Za panowania Jagielly i pierwszego syna jego, mocarzem był, drugim królem, przed którym sam on drżał nieraz. Nie lękał się nikogo i nikt mu się sprzeciwiać nie śmiał, a kto się porwał, ten był nielitościwie zgnieciony. Co miało Krakowskie i wszystkie kraje sąsiednie mężnych panów, słuchało Zbyszka i szło za nim. On wszystkim i wszystkimi kierował.

Okolo niego też zawsze gromadniej bywało, niż nieraz przy królu samym. Miał straż swoją zbrojną, tak odzianą i utrzymaną, że z królewską szła o lepszą, miał urzędników swych i kancelaryę, kanclerza, kapelanów, marszałka, podczaszego, urzędników siła, a całe duchowieństwo można powiedzieć wojskiem było pod jego rozkazami.

Po za granice dycecezyi przez rody możliwe, sięgał wpływ jego do skrajów Polski na obczyznę.

Słał król posłów do Rzymu, wyprawiał ich Zbyszek. Pienędzy mu nie zabrakło nigdy, bo ich nawet Warneńczykowi pożyczął w zastaw biorąc księstwo całe.

Słowem potęga to była, która nawet tronem zatrzęść mogła.

Jakem się tu znalazł wśród zupełnie obcych ludzi, z początku onieśmielony i drżący, jak mnie Doliwa stary przyjął, opisywać nie warto. Musiałem pod wieczór z nim razem iść biskupowi się przedstawić, który o losie moim miał stanowić.

Dworzec biskupi, choć na zewnątrz wspaniałym nie był i niewiele obiecywał, w środku po książęcemu był i wspaniale przybrany. Nigdy w życiu nie podobnego nie widziałem, a ten przepych i złoto w pierwszej chwili olśniły mnie tak, żem głupszym się wydać musiał, niż byłem w istocie.



Komnat było wiele, bo ks. Zbyszek zawsze przyjmował garnących się i codzień u niego stoły i izby przepelnione były.

Na ścianach obicia, na podłogach kobierce, stoły świecące, obrazy złociste, naczynia srebrne i wyłaczane, służba wszędzie czekająca rozkazów, uniżoność z jaką się do biskupa zbliżano na mnie chudzinie musiały wywrzeć przygniatające wrażenie.

Ujrzałem nagle przed sobą mężczyznę dosyć słusznego wzrostu, pełnego ciała, z twarzą piękną ale surową, z majestatem takim, iż nie na mnie tylko trwożę wrażał. Spojrzenie jego przeszywało.

Doświadczyłem tego, że i ks. Jan czytał w duszy, ale inaczej wzrok jego schodził w głąb człowieka jak promień słoneczny, grzejąc i żywiąc, biskup zdawał się człowieka w proch obracać.

Gdym wszedł ciągnąc powoli za Doliwą do izb, w których już było ciemno i woskowe tylko świece na stole mrok rozpraszały, ks. Zbyszek w milczeniu mi się jął przypatrywać długo. Kazał mi stanąć nawet tak do światła, aby twarz mógł widzieć. Zmarszczony groźnie, chmurny, ustami poruszając a nie mówiąc nic dumał długo.

Naostatek odezwał się głosem potężnym, powoli:

— Ty to jesteś coś się wychował w Wilnie, sierota?

Ledwie umiał coś przebaknąć.

— Tak, sierota jesteś—dodał z naciskiem—i dlatego ja się chcę losem twoim zająć, aleś na to zasłużyć powinien... nie cierpią u mnie krnąbrności.

— Nie odpowiadałem nic, dorzucił po chwili:

— Sukienkęby ci duchowną oblec należało? Umiesz co?...

Z moich słów niewiele się pewnie mógł biskup nauczyć, płatałem się i jakałem, wejrzenie jego przerażało mnie. Musiał widzieć, że drżał cały. Pomimo to kłamać nie chciałem i tłumaczyłem się, że sam siebie nie znałem jeszcze.

— A przecieżeś pobożną pielgrzymkę z ks. Janem odbył i chwalił cię—rzekł biskup.

Nie mogę już dziś spełna przypomnieć rozmowy tej, wiem tylko, że Doliwa się też do niej mieszał i że koniec końcem biskup mnie do kancelaryi swej kazał przyłączyć, dodając:

— A co później będzie, i do czego się okaże przydatnym, zobaczymy.

Podał mi odchodzącemu rękę do pocałowania i błogosławił. Nie groził mi, nie straszył, nie rzekł złego nic; przecież gdym z Doliwą z tego posłuchania powracał, pot mi się z czoła lał i czułem niewypowiedzianą trwożę.

Tak się rozpoczął pobyt mój i służba na dworze ks. Zbyszka. W kancelaryi, gdzie nas było kilku, gdy mi się popisywać kazano z kaligrafią, okazało się, że jak kura grzebał i omyłki robił, nie zdałem się na nic.

Po kilku dniach przesadzono mnie do służby bocznej w izbie i przy biskupie. Nie gniewałem się za to, bom wolał być pod władzą Doliwy i za stołem a pulpitem nie siedzieć, a miałem też zrzeczność przypatrywać się tu wszystkiemu, gdy z kancelaryi niewiele widać było.

Zaprawdę nie do wiary to być może co powiem, że na tak wielkim a poważnym dworze, jakim był Oleśnickiego, błaznów i trefnisiów lub obowiązków pełniących było więcej, niż gdzieindziej.

Prawda, że ani na królewskim, ani na możnych dworach innych ich nie brakło, lecz po surowym a poważnym biskupie trudno się domyślać było, ażeby on takimi swawolnemi słowy, a ladajakimi wymysły wartogłowów mógł się zabawiać.

Przecież powszechnie to było znanem i wyrzucano nawet biskupowi Zbyszkowi, iż się błaznami radotać. Ale bliżej poznając życie jego, dziwić się temu nie było można.

Większą część dnia spędzał on na naradach, w księ-



gach, na poważnych rozmowach, często na nużących sporach, bo codziennie sprawy, a nieraz gorzkie przychodziły; pod koniec więc dnia, przy jedzeniu, gdy błaznowano około niego a trefnisie do śmiechu pobudzali, choć tem się mógł cokolwiek rozweselić i wypocząć.

Niejeden poważny człek, choć niebardzo mu się śmiać chciało, znając to usposobienie biskupa, silił się aby błaznować; ale na dworze było dwu i obaj szlachcice, tylko że się do swych szczytów i nazwisk nie przyznawali, którzy obowiązki dworzan pełniąc, choć błazeńskich cepów i dzwonek nie nosili, pełnili funkcje ich.

Zwano jednego kołkiem a drugiego Sroka, ale to były przezwiska nie imiona, o które nawet Kołkowie z Czeluśnicy, szlachta, gniewali się na pierwszego.

Kołek był mężczyzna słuszny, chudy, gibki, zrzeczny, średnich lat, i nie do wiary ale prawda, z natury swej człek ponury, tetryk, który gdy sam na sam z sobą pozostał, siedział mało nie płacząc, a gdy błaznował równego mu nie było.

Potem się zamknawszy w izbie, gdy służba przeszła, przystępu do siebie nie dawał. Zły bywał. A czasu obiadu lub wiececzy przed biskupem i słowem i ruchami i twarzą, którą wykrzywiać umiał jak nikt, najsmutniejszych do śmiechu serdecznego pobudzał.

Sroka mały, okrągły jak baryłka, ani rozumu tyle co pierwszy, ani dowcipu jak on nie miał, ale złość i zgryźliwość okrutną. Nie darował nikomu.

Podpatrywał wszystkich, szpiegował, tropił i miał największą przyjemność, gdy mógł publicznie zawstydzić i upokorzyć; ale wiedział kogo zażyć, nie zaczepił nigdy tych, co u biskupa w łaskach byli, a jeżeli się im dostało, to tak lekko, że gniewać się nie mieli za co... niemiłych zaś panu ścigał nielitośnie, a i swoim osobistym nieprzyjaciółom nie przebacał.

Oprócz Kołka i Sroki, których już wszyscyśmy znali, że od tego byli na dworze, aby zabawiali ks. Zbyszka, ponieważ cały świat wiedział o tem, że podczas go błazeństwa zabawiali, inni też ważyli się często u stołu i po stole występować z konceptami i takimi płocchościami, które rozśmieszyć mogły.

Zaprawdę naszemu dworowi i obyczajowi dawało to osobliwszą cechę, bo pół dnia ważyły się tu sprawy największego znaczenia, rozstrzygały losy Rzeczypospolitej, składały narady, na które zjeżdżali się najwyżsi urzędnicy i głowy rodów, schodziło się duchowieństwo po rozkazy, rozstrzygały kościelne interesy... a gdy to wszystko się skończyło, biskup w rozrywce dziecinnej szukał wytechnienia i tak się śmiał trzymając za boki, jak gdyby rano nie piorunował i nie był najsurowszym z sędziów.

Ludzie tacy, jak Oleśnicki był, nie rodzą się na kamieniu i nie wiem, czy Polska rychło ujrzy drugiego mu podobnego. Stworzony bowiem był do panowania nad umysłami, a miał w sobie przekonanie o tem, że nie do czego innego był przeznaczony, szedł więc śmiało a butnie niczego się nie lękając.

Za Jagiełły jeszcze kiedy się z Hussytami zadarł, grozili mu śmiercią; przestrzegano go, że na ranną mszę zimą idącego do katedry napadną i zabić się sprzysięgli. Za nic to sobie ważył i jak chodził z jednym klerykiem wprzód, który przed nim latarkę nosił, tak i potem więcej nikogo nie brał. Nie ważył się na niego nikt.

Na dworze biskupim, jakem już mówił, panował ruch i zajęcie takie, że chwili spoczynku nie miał nikt, a on sam najmniej.

Do dnia wstawał zaraz na modlitwę, mszy świętej słuchał, potem sam ją odprawiał, a ledwie się nabożeństwo skończyło, czekali już księży, dowiadawali się panowie i senatorowie, kiedy przypuszczono memi być mogą.

Nie od czego innego się poczynają czynności, tyl-



ko od spraw kościelnych, bo Zbyszek mówić był nawykł: — Naprzód jestem sługą Bożym i pasterzem w kościele, potem dopiero senatorem i radą.

Więc księża, klerycy, akademia, duchowni, zakonnicy cisnęli się tu z różnemi potrzeby i prośbami. Biskup też budował, fundował, starał się o pomnożenie liczby domów Bożych, i o tem więc nawet wiedzieć musiał, gdzie cegły zabrakło, albo drzewa na wiązanie.

Później dopiero schodzili się panowie rady, senatorowie, liczna rodzina biskupa, brat, bratanki, powinowaci, których miał między krakowskimi pierwszymi rodami. Tych on był prawdziwą głową i wodzem, a co on rzekł, to się lepiej spełniało, niż rozkaz królewski.

Mnie, żem między pokojowemi był, jak i innych domowników wcale się nie wystrzegano; jako też biskup nie lubił i z niczego tajemnic nie czynił. Szedł jawnie przebojem. Dla mnie, który z Wilna wyniosłem wielką cześć i miłość dla panów naszych a szczególnie dla króla Kaźmirza, poraziło to jak piorunem, gdy się znalazł na tym dworze, na którym inaczej jak ze wzgardą, gniewem, z pogrozkami, z lekceważaniem nie mówiono o nim.

Nie mieściło się w mej młodej głowie, jak ważyć się mogli ludzie na tego, który panem był, nastawać tak jawnie, zemsty się jego nie lękając.

Po raz pierwszy poczęły się odbijać o uszy moje wszelkiego rodzaju wyrzuty przeciw Kaźmirzowi. Ile go na Litwie kochano i szczeno, tu nienawidzono... a naprzód mu to zadawano, że sercem z Litwą był, że Litwie sprzyjał i przezywał go Litwinem. Ks. biskup Zbyszek, choć na tron synów króla Jagiełły prowadził i królowej matce pomagał do tego, ażeby się utrzymali na nim, teraz głośno mówił, że źle uczynił, że potrzeba było naówczas gdy Kaźmirz się opierał, gdy już Bolesława Mazowieckiego okrzyknęto królem, Piasta utrzymać, bodaj przyszło Litwę stracić.

Ja się w sercu Litwinem czując, choć naówczas mało co rozumiałem tych spraw, bolałem i burzyłem się słuchając tego.

Nigdy mi w głowie nawet nie powstało to, o czem się teraz tu dowadywałem. Biskup wprost zbierał około siebie ludzi, z którymi miał na króla przy pierwszych zjazdach napadać, gotował się go tak znękać i do posłuszeństwa zmusić jak nieboszczyka Jagiełłę.

Wieczorami nieraz słuchałem, jak śmiejąc się i tryumfując opowiadał te swoje zwycięstwa, jak Jagiełło poczynił od stawienia mu czoła, od pogroźek, od dąsania, od buntu i jak potem w kilka dni pokornie go przeproszać musiał, a czynił to, co mu Zbyszek nakazał. Toż samo sobie obiecywał z nowym panem, skarżąc się tylko na zauszników, na zdrajców duchownych, którzy Kaźmirza młodego i nieodświadczonego do oporu podżegali.

Z przetrachem przekonałem się, że się tu na formalną wojnę przeciwko królowi gotowano.

Biskup już w małych rzeczach oporem Kaźmirza rozdrażniony, odgrażał się, że go nazad na Litwę odeśle i z tronu obali, jeżeli kościoła praw szanować nie zechce.

Zadawano młodemu królowi, że choć nieśmiało, ale stolice biskupie opróżnione wedle swej myśli chciał obsadzać. Biskup Zbyszek na samą myśl tę się wzdrigał.

— W Polsce nie król, ale rada i duchowieństwo panują!—wolał—a my, jak chłopska Litwa, samowoli nie ścierpiemy. Niech o tem Kaźmirz pamięta.

Przyznaję się, że słuchając tego wszystkiego niemal codziennie, przerażony byłem, a nie wiem, co się działo z sercem mojem, bo ono brało stronę króla, choć ja go nie znałem prawie.

Żał mi było biednego i lękałem się o niego.

Każdego prawie dnia któryś z Tęczyńskich, z Mel-sztyńskich, z Oleśnickich, przynosił nowe jakieś obwi-



nienie króla, nową plotkę i wszystko się burzyło, a biskup piorunował.

W Krakowie podówczas z początku Kaźmirza nie było, bo na Litwie przebywać i polować lubił—ale, chociaż się na zamku zjawił, nie odmieniało się nic. Tak samo głośno i jawnie nastawano na niego.

Króla Kaźmirza dotąd mało co widywałem, chociaż twarz jego z Wilna dobrze mi się w pamięć wbiła... rad więc byłem, gdy po powrocie jego do Krakowa, Zbyszek naradziwszy się ze swemi, dnia jednego z katedry na zamek się udał, a my też jako dwór z nim ciągnęliśmy.

Ks. Zbyszek miał z sobą Jana z Tęczyna starego i Dobka z Oleśnicy, a że na zamku chciał się pokazać w całym blasku swoim i potęgze, dnia tego urzędnicy, czeladź, dwór postrojony z nim ciągnął. On sam w biskupich sukniach uroczystych, poprzedzany krucyferem, otoczony tą świetną gromadą, poszedł z katedry na zamek, gdzie się śnać nas spodziewano.

Wyszli urzędnicy królewscy na powitanie biskupa aż do przedniego ganku, ale król dopiero w sali u progu na niego czekał. Dwór pański był też wspańiały i liczny, a tego dnia z szat nowych widać było, że się chciał nie dać zaćmić.

Król Kaźmirz, przystojny, poważnego oblicza mężczyzna, młody jeszcze, z włosiem długim, płci śniadawej, stawiał się z poszanowaniem, ale jak na pana przystało... Choć w młodym widać było majestat, który i przed biskupim się nie ugiął.

Ks. Zbyszek tem śmielej a można powiedzieć zachwalej poczynął sobie z królem, niewiele mu okazując uszanowania. Prawda, że od dziecka go znał i w pieluchach widział, ale dziś on starym był, a król w sile wieku i władzy.

W drugiej izbie oczekiwała królowa matka, która się tam znalazła pewnie, aby między biskupem a synem nie dopuścić waśni. Widziałem ją tylko zdala... Nie młoda już, osiwiiała, strojna bogato, miała jeszcze

czarne oczy prawie królewskie... Drzwi się potem za nią zamknęły, i tylko z za nich czasem głośniejsze wywoływania słyszeć było, które Zbyszka zdradzały.

Trwało to posłuchanie przeszło godzinę, w czasie której dwór też królewski z dworem biskupim tak na siebie w antykamerze spoglądali, jakby się na rękę wyzywać chcieli. Nikt jednak nikogo zaczepiać nie śmiał inaczej, jak oczyma i postawą, bośmy mieli rozkazy, aby do żadnego sporu nie dawać powodu. Królewscy też, choć szeptali drwili, chyba tylko domyślać się mogliśmy, że z nas.

Wystawszy tak czas niemały, gdy biskup zimno przez króla pożegnany nazad ruszył, my za nim w porządku poszliśmy i w milczeniu.

W podwórzcu dopiero ks. Zbyszkowi i nam się usta otworzyły.

Nikt się tam pewnie naówczas tak pilno królowi nie przypatrywał, jak ja, bom czułem się ku niemu połączonym wielce; ale z twarzy jego mało co mogłem wyczytać, krom powagi nad wiek i siły wielkiej, a twardego zamkniętego w sobie charakteru.

Wszyscy o nim lekceważąco powiadali, że do ojca Jagiełły podobnym był bardzo, jak on rozrzutnym, jak on zapalonym łowcem, a z tego pono ciągnęli wniosek, że słabym być musiał jak ojciec.

Ale mnie się to nie zdawało.

Boże mi przebac, iż go posądzam, a zda mi się, że właśnie biskup Zbyszek za to na niego gniewnym był i niechętnym, że spodziewając go mieć sobie posłusznym i słabym, twardym go znalazł.

U nas dobrego słowa o królu posłyszeć nie było można. Słuchałem i milczałem nie śmiejąc bronić, bo i tak mnie Litwakiem dla mowy przeciąglej przezywali. Ale com czuł i jak bolałem, sam nie wiem czemu wypowiedzieć mi trudno.

Teraz biskup między innemi zawczasu zapowiadał, że Kaźmirz pewnie z Krzyżakami wojować zechce, że na to szlachta mu poboru, akcyzy nie da... i że



pewnie sięgnie do dóbr a nawet do skarbców i sreber kościelnych.

Tu gotowano mu się ostateczny stawić opór.

Niewiele naówczas rozeznania miałem i rozumu, ale mi na myśl przychodziło, iż biskup radby był śmiało wystąpieniu króla, aby z nim wojnę rozpocząć.

Słyszałem niejedną raz wieczorami, gdy sam na sam ze starym Tęczyńskim byli, jak ks. Zbyszek powiedział wyraźnie:

— Nałamać go potrzeba koniecznie, inaczej na kiel weźmie i ani rady, ani nas, duchowieństwa nie poszanuje. Tak było w początku ze starym Jagiełłą, gdy tylko co przybywszy do Polski, chciał się tu rzadzić po litewsku i mazowieckiemu szwagrowi swemu, nadał ziemię, nie pytając o to nikogo. Aleśmy naówczas wnet zahamowali go i później na pasku chodzić musiał. Opiera się i ten młokos, a no złamać go musimy, i póty walczyć z nim, aż się podda. Pókim ja żyw nie ustąpię mu kroku; gdy mnie nie stanie, pamiętajcie wy naówczas, żebyście sobie jarzma litewskiego na szyję włożyć nie dali.

Naówczas stary Tęczyński wywodzić zawsze począł, jak to oni stali na straży swobód duchowieństwa i przywilejów rycerstwa, i wiedzieli, że powinni byli strzedz ich jak oka w głowie.

— Pamiętajcie to—dodawał biskup—że podbijali nas, a kościół sobie poddają, mianując biskupów... wówczas i rycerstwu się swoboda skończy, a niewola zacznie. Wyście powinni duchowieństwa bronić, a duchowni was; inaczej zaprzęgą i orać będą wami jak zechcą, tak jak na Litwie i Rusi.

Przez długi czas w mojem położeniu na dworze tym wcale się nie zmieniło. Mnie tu za obcego i przybłądę uważano; jam do nikogo przystać nie mógł, ale miałem tę ślimaczą naówczas naturę, żem czując niebezpieczeństwo rogi chował i zamykał się w skorupie mojej. Służba nie była ciężka, choć nie-

ustannie na nogach, pilnowałem się, aby mi nie zadać nie mogli; zresztą mało kto na mnie zważał i dbał o mnie.

Dworzanie biskupa wszyscy niemal Krakowianie lub Sandomierzanie, Litwinem mnie prześladowając, za coś pośledniego mając, odstręczali od siebie tak, że z nikim nawet przyjaźni nie zawiązałem.

Ks. Jana zrzadkam widywałem. Stawał dobry mój opiekun, spotkawszy się ze mną w ulicy, uśmiechał mi się, wypytywał, pocieszał, bo czuł to dobrze, on co w duszach ludzkich tak czytać umiał, że mi na dworze tym nie szło po myśli.

Skarżyć mi się nie dawał, bo jak sam był zawsze uśmiechnięty i anielskiej cierpliwości, tak i drugich w tę cnotę rad wdrażał.

Tego czasu, jakem już pisał, wielka pobożność i życia świątobliwość nie tylko w Krakowie, lecz pono i po całym panowała świecie. Wyprzedzali się ludzie w służbie Bożej, zapominając o sobie... Nie zbywało u nas na takich mężach, o których kilku już rozpowiadałem, jako o księciu Michale i szewcu Świętosławie, aliści gruchnęła nagle wieść, że się zjawił mąż taki święty, który ogniem słowem tłumy i rzeszę nawracał a prowadził kędy chciał.

Święty ten człek w prostej odzieży sznurem przepasany, przechodził kraje, a wszędzie po sobie jakby drogę ognistą zostawiał... Biegli ludzie na głos jego do nowych klasztorów reguły św. Franciszka, do której i on należał, szli na wojnę przeciw poganom, odprawiali pokuty publiczne.

Z papieskimi listami polecającymi go przebiegał on tak różne kraje, a jednego dnia biskupowi doniesiono, iż na Morawie miał gościć.

Naówczas Zbyszek uniósł się bardzo, ręce składając i wołając, że trzeba go koniecznie do Krakowa sprowadzić, że listy on pisać będzie i u króla je wyprosi, a chce mieć świętego męża tu, gdzie wiara słabła i rozbudzić ją było powinnością.



W istocie cuda o tym włoskim mnichu, Sycylijczyku, którego zwano Janem Kapistranem, rozpowiadano.

Pomnę, że gdy się o tem rozmowa wzięła, a biskup unosił się bardzo, Kołek, który na pokojach był, ośmielił się te uczynić uwagę, że języka naszego nie znając, choćby najwymowniejszym był, u nas tylko niewielkiej liczbie wybranych będzie zrozumiała.

Zgromił go ks. Zbyszek.

— Daje Duch święty — rzekł — dar języków apostołom, ale i ludziom też, gdy na to zasługują, dar poimowania nawet niezrozumiałej im mowy. Cuda czyni gdzieindziej, jeśliśmy warci, staną się i u nas cuda.

Nie miał tedy pokoju biskup, obawiając się, aby Jan Kapistran nie wyminął Polski, aż w kancelaryi list do niego wystosować kazał, którego sam dopilnował, a potem do króla zbiegł, domagając się też pisma. A wyrobił to przez królową matkę, która rada była biskupa zjednać i przejednać, więc póty syna namawiała, aż posłuchał jej i list zapraszający wyprawiono, który ulubiony biskupowi kapelan jego powiózł, a zalecono mu było z największą pokorą stanąć przed mężem świątobliwym i błagać go a nakłaniać, ażeby nie omijał Polski.

Był też, jakem się dowiedział później, Kapistran przez papieża mianowanym wielkim inkwizytorem, i wszelkie kacerstwo miał prawo dochodzić i karać. Biskup rad był postrach rzucić na tu i owdzie jeszcze w Polsce błakających się Husytów, o których i w Krakowie rozpowiadano, że się potajemnie zbierali na jakieś świętokradzkie nabożeństwa i komunie pod obydwooma postaciami swoim wiernym rozdawali.

Długo żyjąc na świecie, wiele widziałem i świadkiem byłem różnych przygód, wszelakiego w tłumach poruszenia, gorączki, która się w nich tak jak choroba z jednego do drugiego przeszczeplia, takich nagłych

rozgorzeń w umysłach, że z dnia na dzień tysiące ludzi się nawraca i napętnia trwogą albo nadzieją.

Jaka tego przyczyna, czy to sprawuje siła Boża czy pod czas siła nieczysta? któż to może zbadać i powiedzieć. Patrzymy się jednak oczyma własnymi na to, jak czasem dosyć słowa, technienia, powiedziałbym wiatru jakiegoś, aby w szalę wprawić ludzi tysiące, a im więcej ich nim rozgorzeje, tem potem coraz łatwiej inni upojenia doznają, i z tym prądem lecą wszyscy.

Otóż tak było, nie już gdy Jan Kapistran przybywał do Polski, ale gdy o nim dopiero zasłyszano.

Rozpowiadano o nim cuda, iż słowo jego miało taką potęgę, wzrok taką siłę, iż najzatwardzialszego nawracał grzesznika, że gdy mówił do zbiegających się do słuchania go tysięcy, ci nawet, których głos jego niedochodził na twarz patrząc, czuli w sobie moc jakąś, która w nich wechodziła i miękczyła ich, a utapiała jako wosk.

Jeszcześmy nie wiedzieli czy na prośby króla i biskupa skłoni się mąż święty do tego, aby Kraków odwiedził, gdy już wszyscy byli jakby gorączką jakąś opanowani. Nie mówiono tylko o nim, nie myślano tylko o tym nowym apostołe, nie oczekiwano nie tylko jego przybycia.

W klasztorach na intencję tę, aby nie minął Polski, nabożeństwa odprawiano. We dworze biskupim od rana do nocy o nim tylko słyhać było. Rozpowiadano, że gdziekolwiek był dłużej, wszędzie tytu mu się do jego zakonu i reguły wpraszało ludzi, iż nowe klasztory powstawały jako grzyby.

Słyszałem jak biskup mówił:

— Daj Boże, aby się u nas też znaleźli ochotnicy, natychmiast plac do brata mego należący pochwycę, choć mocy do tego nie mam, i klasztor im w mgnieniu oka wystawię.

Niepewność była wielka zrazu, zachcieli przybyć, bo go na wsze strony rozrywano. Kapelan posłany



nie powracał. Wyglądano, czekano, aż na ostatek przyjechał i radość była nie do opisanego, gdy się zaraz po mieście rozeszło, że Jan Kapistran przybycie swe obiecywał rychło.

Było to zwycięstwo biskupa, które go tak na chwilę uszczęśliwiło, że o niechęci swej dla króla zapomniiał. Jużciż zaprzeczyć nie można, że o chwałę Bożą troskliwym był jak mało kto, ale i to go cieszyło, że on pierwszy zażądał tego i sprowadził.

Król też, choć do Litwy miał jechać, uczynił to, że się wstrzymał i na przyjazd świętego męża chciał czekać, aby go z królową matką razem przywitać.

Wnet się poczęły zawczasu przygotowania. Po kościołach i klasztorach ruch, porządkowanie jak nigdy na uroczystość największą.

Ale mało tego wszystkiego było, bo co znaczył kościół szczupły głoszącemu dla tysięcy słowo Boże!

Kapelan powracający z Brna opowiadał, że wszędzie, gdzie Kapistran kazał do ludu, kazalnica stawiana przy murze zewnątrz, aby lud na placach i rynkach się gromadząc mógł go słuchać. Dodawano zaś świętemu mężowi mówiącemu po łacinie tłumacza, który natychmiast od kazalnicy słowa jego tłumaczył i głosił. Kapelan, który po dwakroć słyszał Kapistrana, ze łzami rozповідаł, że kamienieby gorąca wymowa jego zmiękczyć mogła.

Na Morawie młodzieży też wiele natychmiast siermięgi oblokło zakonne i sznurami się popodpasywało. Krążyły wieści o cudach, iż ręki dotknięciem, błogosławieństwem i modlitwą chorych uzdrawiał, a najczęściej zatwardziały bezbożników do pokuty skłaniał.

Jeszcześmy nie wiedzieli na pewno, kiedy do nas przybędzie, a już Kraków ogromnem zbiegowiskiem pobożnych i ciekawych napelniać się zaczął.

W dworcu też biskupim ciasno być poczynano, bo z rodziny i powinowatych coraz to ktoś przybywał,

którym ks. Zbyszek gościć u siebie dawał. W mieście o nią trudno było tak, że Tęczyńscy, co kilka swoich dworów mieli, u mieszczan najmowali.

Duchownych zjeżdżało mnóstwo, a stół biskupi większą część ich żywić musiał, alem pomimo to, nigdy ks. Zbyszka naszego nie widział tak rozpromienionym, wesołym i dobrej myśli.

Na przyjęcie Kapistrana on tu był gospodarzem i król przy nim malał a znikał, on rządził i rozporządzał wszystkim.

Gdyśmy tak z dnia na dzień oczekiwali oznajmienia, a gości się coraz więcej ściągało, wieczoru, jednego stojąc w antykamerze, posłyszałem pokojowych, którzy mówili, że Tęczyńska Nawojowa przybyła się biskupowi pokłonić.

Tknęło mnie nazwisko, wyrzalem.

Wistocie kolebka pańska stała u ganku ze służbą, a z niej właśnie wysiadała niewiasta lat średnich, którą ledwie postrzegłszy, rażony zostałem jak piorunem, bo w niej poznałem tę, którą miałem za matkę moją, tę samą, com ją raz ostatni na drodze z Częstochowy spotkał.

Niewiele była zmieniona od tego czasu i jeszcze piękną, a bardzo bogato przystrojoną; ale twarz jej okryta była smutkiem jakimś i jakby tajonym a tłumionym gniewem, a patrząc na nią zdawało się, że chyba nigdy uśmiechnąć się nie mogła i rozjaśnić. Szła dumna, obojętna, zamyślona, a za nią dwu Tęczyńskich postępowało. Mnie na drodze jej stać przyszło, a takem drżał, iż myślałem, że się z nóg zwale.

Wśród dworu Nawojowej, w sieni u drzwi zobaczyłem — Sliziaka... Już nie wiem wcale co się ze mną działo, jak mnie idąca pani pominęła. Czy widziała... w oczach mi się zaćmiło i nie rozjaśniło aż poczułem, że ktoś mnie gwałtownie za rękaw ciągnie.

Zobaczyłem zdala Sliziaka, który stał w progu znaki mi dając.



Choć z zarosłej jego twarzy mało co widać było, czytałem na niej zadziwienie i pomieszanie wielkie.

Sam nie wiem, kto mię popchnął ku niemu. Pociągnął zaraz do kąta... Z głosu pomiarkowałem, iż poruszony był mocno, bo ledwie mógł mówić.

— Zkądże ty tu! Boże miłosierny! Zkąd ty tu się wziąć mogłeś i po co??

Odpowiedziałem mu, że nierad opuściłem ks. Jana, ale gwałtem mnie oddano biskupowi. Zadumał się zdziwiony i zafrasowany, a po chwili uspokoił nieco.

Cheiał wiedzieć kto to sprawił, że mnie na dwór ten przeniesiono, ale tego mu powiedzieć nie umiałem, bom sam nie wiedział.

Badać się mnie zdawał, jak się domyślałem, czym poznał w przybywającej pani tę, o której mówiłem mu, ale spytać o to nie śmiał. Ja też nie miałem mu się zwierzać ochoty, bom w nim czuł jakby nieprzyjaciela.

Poruszony był mocno, usta mu dygotały, oczy biegały, a choć sam mnie na rozmowę wywołał, wrędcie mówić nie miał co.

Ja też milczałem i pożegnałem go nie strzymując, zapytawszy tylko czy w Krakowie długo bawić mieli.

— Albo ja wiem! — odparł z niechęcią — wszyscyśmy się tu zbiegli dla tego świętego człeka, któregośmy mieli oglądać, a słyszę że niepewna jeszcze rzec, czy przybędzie i kiedy...

Pobiegłem się rozpytać, bom o tem nie nie słyszał jeszcze i dowiedziałem się, że tego dnia właśnie przyniesiono wiadomości, że Kapistran zamiast do Polski, pochwycony został przez niemieckich książąt, którzy go sobie wyrwali i miał wprzód Sasom kazać, potem na Szlązku, a niewiedzieć kiedy potem przybyć do Krakowa.

Biskup nasz wielce był tem przybity i umartwiony, ale nie poprzestał zabiegów i listy za listami słał do Kapistrana, nalegając, aby Polskę i Ruś nawiedził.

Wyprawił też, mówiono, do papieża listy, aby on po wagą swą nakłonił apostoła przybyć do Polski.

Niepewność wielkie w mieście uczyniła wrażenie, bo wszyscy byli gorączkowo cheiwi oglądać cudotwórcę i słowa jego posłyszeć. Biskup Zbyszek pocieszał jak mógł i ręczył, że starań doloży a skłoni i ubłaga świętego męża.

Z tych tłumów, które się już były zbiegły na odgłos o Kapistranie, wiele się potem rozproszyło i do domów popowracało, ale inni zostali ufając słowu Zbyszka, który do tego ludzi wdroył, że co raz postanowił, stać się nieochybnie musiał.

Tom wiedział, że z kancelaryi biskupa listy za listami wyprawiano do różnych miejsc, w których apostoł mógł pod czas przebywać: do Meissen, Drezna, Lipska i na Szlązko.

Sliziaka potem już tak jak nie widziałem, a panią też jego tylko zdaleka, bo ta zaraz pono, gdy o zwłocce oznajmiono, nazad na swój gród w górach powróciła.

Nie wiem czy jakimś potajemnemu staraniu tego Sliziaka, czy innym jakim niezrozumiałym przyczynom przypisać to miałem, że wkrótce potem Doliwa mi półgębkiem zapowiedział, — iż biskup może mnie do Sandomierza wyprawi, bo dwór swój chce zmniejszyć, a czasby też abym ja do seminaryum wstąpił i suknię obłókl.

Gorąco bardzo odparłem mu, że ja do tego powołania nie czuję i do stanu duchownego się sposobię nie myślę.

Spojrzał na mnie ukosem Doliwa i rozśmiał się.

— Cóż ty myślisz! że ciebie się o to pytać będą? Dzieckiem jesteś, słuchać powinienes, a ty sam nie wiesz i rozsądzać o tem nie masz prawa co z ciebie będzie.

Gdym się jednak rozplakał i wypraszać zaczął, a po nogach go całować, aby mnie obronił, poruszył się stary, machnął ręką i poszedł.



Nie wiem co i jak uczynił, ale potem przez czas jakiś spokojnym zostałem, i o Sandomierzu mowy nie było.

Unikałem o ile mogłem, aby się na oczy biskupowi nie nastroć i nie przypominać mu się żem tu był, tuliłem po kątach, i gdy inni starali o to, aby ich ks. Zbyszek widział a przysługiwali mu się, jam się wcale nie dobijał o to.

Tymczasem sprawa przybycia do Krakowa Jana Kapistrana ciągle jeszcze gorąco wszystkich zajmowała, tak, że nawet o blizkiem małżeństwie królewskim, o którym się rozeszły wieści, nie mówiono prawie.

Słyszałem tylko, iż ludzie się dziwili temu niepomatu, że małżeństwo to z Elżbietą przyjść miało do skutku, które już raz, lat dziesięć temu, zaswatanem było i rozchwiało się... Teraz sądzono je — przeznaczonem i nieuchronnem.

Lecz mało kogo ono obchodziło, bo tylko o Kapistranie słyhać było, i każdy jego krok, słowo, po Krakowie sobie rozpowiadano, rozbierano, coś z nich wrócono.

Na usilne bardzo nalegania biskupa, skończyło się na tem, że ks. Jan Kapistran, sam dając się zaciągnąć do Sasów a ztamtąd na Szlązko, dla pocieszenia ks. biskupa naszego wyprawił mu tymczasem Władysława Węgrzyna, mnicha swojego zakonu i dwóch z nim towarzyszków do Krakowa.

Przybyli oni tu, i biskup ich przyjął wdzięcznie, a król na żądanie jego wyznaczył im klasztor przy św. Krzyżu tymczasowo, ale prawdę rzekłszy, nie wszyscy im radzi byli. Wrócono z tego, że Kapistran sam do Polski przybyć nie zechce i zbędzie ją temi pomocnikami, którzy choć ludzie światobliwi, ale ani jego ducha, ani powagi, ani tej łaski z nieba co on nie mieli.

Drudzy w tem upatrywali przeciwnie, porękę, że za swemi towarzyszami i Ojciec Jan przybędzie. Roz-

bijały się zdania. Biskup miał mocną wiarę, że Kapistrana sprowadzi, ale też i krzątał się około tego z troskliwością, z gorliwością nadzwyczajną. Gdy kto przy nim wątpliwość wyraził — przerywał gorąco:

— Przybędzie! nie może to być... Polska nasza tak pokrzywdzoną nie zostanie, aby ją pomiął; choćbym sam miał jechać po niego... ściągniemy go tu.

Tymczasem, choć nie z wielkim do zbytku rozgłossem, czyniły się powoli przygotowania do małżeństwa króla z Elżbietą. Mówiono o wyprawionych posłach, o rozpoczętych układach.

Biskup niebardzo sprzyjał temu małżeństwu, bo i do króla serca nie miał, a zarzucał mu to, że uchowaj Boże wciągnąć ono Polskę może w zatargi kiedys o węgierską i czeską koronę.

Słyszałem to naówczas z ust jego, co jakby wieszczym przepowiadał duchem.

— Udało się Jagiellonom Polskę pochwycić, łakną teraz coraz większych zaborów — nienasyćeni. Przyplacili już życiem jednego koronę węgierską, starej królowej śni się ciągle i Praga i Buda dla synów, a młody król radby i zakon krzyżacki precz ztąd na jaką wyspę wysadził. Chciwi są niepomierne coraz większych ziem, gdy i tych co są utrzymać trudno... Daj Boże, by chciwości tej drogo nie przypłacili.

Naówczas tego nie rozumiałem tak dobrze, choć słowa jego zapamiętałem. Na zamku, w którym dotąd dosyć bywało cicho, bo i stara królowa rzadko tu przebywała i młody król częściej na Litwie, w Wilnie lub Grodnie, albo li po lasach przesiadywał — zaczęło się teraz poruszać i zaludniać.

Codziennie prawie za biskupem chodząc na Wawel, mogliśmy się temu przypatrzeć zdaleka. Mury w niektórych miejscach z tynków obnażone, na nowo bielono, podwórca oczyszczano, w stajniach i dworcach przybyło koni i ludzi.



Jednego dnia, kiedym przypadkiem w podwórzu biskupiego dworu stał u ganku z drugimi pacholikami, spostrzegłem u bramy człeka, który ostrożnie wewnątrz zaglądał, wniść nie śmiejąc. Wszyscy wraz ze mną widzieli to, a na odzież jego spojrzawszy, przyczyny się łatwo domyślili.

Naówczas już tak królewskiego dworu ludzie, jak i biskupiego i innych możnych panów łącznie się po tak zwanej barwie rozpoznawali. Prosta tego była przyczyna, że tak król jak biskup i inni swoją służbę odziewając, zakupywali u sukienników sukno flamskie jedno dla wszystkich, jedni krawce suknie im szyli. Królewscy ludzie mieli barwę granatową a bramowanie przy niej czerwone, po czem ich każdy poznawał.

Długą też kapturkiem opończę taką miał na sobie człek we wrotach stojący, który w dziedziniec wniść nie śmiał. Z królewskich ludzi do biskupa naówczas mało się kto ważył, chyba był posłany, bo między służbą zamkową i biskupią tak jak między dworem naszym a Wawelem, jakby obrus rozrzesany był. Ciekawym będąc człeka tego, sam nie wiem jak, pchnięty chemś, podbiegłem ku wrotom, a nie dochodząc do nich, małym nie krzyknął z radości wielkiej.

Poznałem w tym człeku Gajdysa mojego, a wątpić nie mogłem, że się on tu nie do kogo skradał tylko do mnie. Byłbym się mu na szyję rzucił zaraz, ale i on mi dał znak i ja się uląknem, że na nas ludzkich oczu tyle patrzyło, podszedłem więc spokojnie i miałem tyle mocy nad sobą, że mu po południu przy kościele św. Anny czekać na siebie polecił. Poczem Gajdys się śpiesznie oddalił, a ja powróciwszy do służby biskupiej, na zapytania jej powiedziałem, że nie znajomy ten pytał o kogoś, ale na dworze biskupim niebywałego.

Poczęli się wszyscy z królewskiego sługi wyśmiewać, drwić i na tem się skończyło.

Mnie piekło już co naprędzej na ulicę św. Anny

zbiedz i z Gajdysem się zobaczyć. Nie pojmo wałem co on tu robił, jak i po co się do Krakowa dostał, a widok jego tak mnie poruszył, tyle przypomniał, iż serce z piersi zdawało się dobywać.

Przyszły mi na myśl owe czasy, których inaczej jak szczęśliwemi nazywać nie mogłem, gdy matkę miał, gdy mi tak było dobrze i swobodnie w ubogim dworku ich.

Wprawdzie teraz byłem niby na szerokiem gościńcu żywota, lecz szedłem sam nie wiedząc dokąd, gnany jakąś siłą niewidzialną, popychany... celu nie mogąc przewidzieć.

Wprędem się potem wyrwać potrafił i wyprosić, i strzałą pobiegłem pod kościół. Gajdys tam już na wschodach siedząc czekał na mnie, a pochwyciwszy w silne swe objęcie, splotał się całując, jakby wstocie własne dziecko odzyskał.

Dowiedziałem się od niego, iż z Wilna sprowadzono ich ze stajen wielkopsiężnych wielu, gdyż na weselu królewskie i koni i ludzi było potrzeba.

Gajdys się, choć stary, nastęrczył z drugimi, pomysławszy że mnie też zobaczy.

Pytałem go o matkę i o Marychnę, i o tych których w Wilnie znałem. Żyli wszyscy, ale się skarżył, iż miasto teraz bardzo opustoszało, na zamku rzadko kto przebywał; a wszyscy się domagali i pragnęli, aby mieć swojego wielkiego księcia, którego im król nie dawał.

Gajdys po raz pono pierwszy był w Krakowie, miasto wielkie i ludne w podziwienie i strach niemal go wprawiało.

Poszliśmy od kościoła precz za miasto, gdzie nie tak łatwo kto nas mógł podpatrzeć i siedliśmy na kłodzie pod płotem w małej uliczce... dopiero Gajdys powiadać zaczął, jakie go tu szczęście spotkało, że dni temu dwa, gdy z końmi przyprowadzonymi okolo stajen się zajmował, sam król nadszedł z koniuszym i marszałkiem, a zobaczywszy go poznał zaraz,



głową mu dał znak, potem na bok go odprowadził wpytując się o Wilno.

— Myślisz — dodał — że on o tem zapomniał, iż ty u nas byłeś na wychowku?

— Jakto? — przerwałem z radością — alboż król wie o mnie i pamięta?

A jużci — rzekł Gajdys gładząc wąsa. — Począł mnie rozpytywać, co z tobą teraz się dzieje i czy ja widziałem wychowanka. Musi być u któregoś z księży przy collegium na naukach. Pójdźże do niego, zobacz, rozpytaj go, a potem mi powiesz co z chłopięciem się stało. Rad li temu?

Oślupiałem z podziwienia i radości słysząc to, bo mi w myśli nie powstało żeby król o mnie miał wiedzieć i pamiętać. Gajdys się tem cieszył więcej może niż ja.

— Cóż mam powiedzieć? — zapytał...

Musiałem długo i szeroko Gajdysowi wszystko co tu ze mną zaszło rozpowiadać, jakem się do ks. Jana dostał, jak z nim do Rzymu wędrowałem i szczęśliwiem powrócił, i że mi przy pobożnym człowieku dobrze było, a radbym był z nim pozostać, gdy nagle biskup zażądał i musiałem iść na dwór jego.

Nie tailem tego przed Gajdysem, że tu mi było nie tak dobrze, nadewszystko przez to, iż między nieprzyjaciół króla dostałem się.

Skarżąc się aż mi lzy z oczów się puściły.

— Król co zechce, to czyni — rzekłem — gdyby mnie na swój dwór wziął, szczęśliwym bym był Ale się to stać nie może.

Gajdys też głową potrząsał i milczał. Takieśmy sobie rozpowiadając wzajem co nam dolegało, zasiadzieli się do wieczora, i bieciami później musiałem wracać na dwór biskupi, aby mnie nie karano.

Obiecaliśmy sobie zejść się na Wawelu, gdy na nabożeństwo z biskupem tam przybyć się trafi, a Gajdys mi stajnię opowiedział, około której go mogłem znaleźć.

Całą noc potem i dnie następne o tem tylko myślałem, że sam król wiedział o mnie i pamiętał, a obiecywałem sobie w razie ostatecznym, gdyby mi bardzo źle na świecie było, uciec się pod jego opiekę.

W dziecinnej głowie, co się na takim wątku mogło utkać łatwo się domysleć. Miłość też, którą dla króla miałem zawsze, wzmogła się tem jeszcze, a niechęć jaką ku niemu wszyscy biskupi słudzy okazywali, jeszcze ją wzmacniała.

Kilka dni upłynęło, nim się mogłem wysunąć z kościoła do stajen królewskich dla widzenia z Gajdysem. A chociaż mi rozpovedział dobrze gdzie go szukać, gdy wpadł pomiędzy szopy, stajnie, odryny, spichrze, których tam moc była, zupełnie się zbłąkał i ledwie dopytałem Litwina.

Poszliśmy z nim na ubocze ku wałom.

— Widziałeś króla? — spytałem go.

— A jakże — odparł Gajdys — mało nie codzień go spotykam, Bóg łaskaw, dobrym jest dla mnie. Gdyby nie to, między Lachami, którzy nas wyśmiewają i nie lubią, przepadałoby przyszło, ale widzą że król dla nas życzliwy, boją się więc zadzierać.

— No — dodał uśmiechając się Gajdys — nie tytkom widział króla i mówił z nim, alem się sprawił z tego co mi polecił, bo o tobie mu rozpovedziałem.

— Cóż król? — zapytałem.

— Nie wiem sam co to ma znaczyć — mówił dalej Litwin. — Gdy się dowiedział, że was do biskupa wzięto, twarz mu się zmieniła i jakby gniewem zapłonęła... Namarszczył się, nogą tupnął, ale wnet się pomiarkował. Mówiłem królowi, że radbyś jemu służył. Głową potrząsał pomysławszy. Poczekawszy rzekł, niechaj cierpliwy będzie. Teraz nie można... później. Kto wie?

Pytał nawet jak wyglądasz i czy na pacholę do dworu przystałbyś?... Mówiłem, żeś wyrósł niezgo, na chłopaka przystojnego.



Wszystko to co mi Gajdys rozповідаł, choć z jednej strony pociechą było dla mnie, z drugiej bolało, bo nie obiecywano mi nic tak rychło, a mógłże król o mnie biedaku pamiętać później, i któżby mu miał przypomnieć?

A tu groźba wyprawy do Sandomierza wisiała nademną.

Szczęściem wszyscy byli naówczas tak zaprzęgnięci: jedni Janem Kapistranem, na którego oczekiwano, drudzy królewskim weselem, do którego się przypodobano, że o mnie nikt nie pomyślał, ani kto spojrział na mnie.

Biskup znowu tryumfował, choć z królem wojna na dobre trwała.

Zajątrzyło ją to, że król, jak postanowił był, tak po śmierci biskupa przemyskiego kapitule wybierać następcy nie dopuścił, a sam nazaczył nowego.

Widział dobrze Zbyszek, iż gdy raz się ten obyczaj utrzyma, wtedy biskupów swoich mając król, w kościele się tak rządzić będzie jak w kraju... Zarządził biskup zjazd w Sandomierzu, gdzie miał swego Oleśnickiego wojewodę, podburzając rycerstwo i duchowieństwo aby królowi posłuszeństwo wypowiedziało.

Król miał po sobie tylko Wielkopolan... W Krakowie na radzie, gdy Zbigniew ponowił przeciw niemu wyrzuty i groźby, mówiono, że ją zimną krwią zniósł, ale nie ustąpił.

Słyszałem sam, gdy biskup nieraz powtarzał:

— Nie dożyję ja tego, ale wy z tym królem tak łatwo jak z ojcem jego nie dojdziecie do końca. Milczy a uparty jest... Choć ustąpi na pozór, co postanowił, to w sercu chowa. Biada nam, żeśmy Piaśta nie wzięli i królowej matce ubłagać się dali, gdy już Bolesław mazowiecki był okrzyknięty.

Na tem się nie skończyło, bo tak samo jak w Przemysłu król biskupa mianował, tak teraz po śmierci

arcybiskupa w Gnieźnie, posłał do kapituły, nakazując aby Jana ze Sprowy wybrała.

Nasz biskup widząc, że go nie zmógł, ani zastraszył, nienawiścią pałał ku niemu. Nie nawykł był do tego, aby mu taki zacięty opór stawiono.

Miedzy zamkiem więc a naszym dworem gorzej stało wszystko niż kiedykolwiek było. Jedno tylko spodziewane przybycie Jana Kapistrana zdawało się jakąś słabą czynić nadzieję, że wpływ tego świętobliwego męża króla może zmiękczy, a wspólne z biskupem staranie o przyjęcie go w Krakowie, zbliży ich ku sobie.

Ks. Zbyszek jednak na zamku nie bywał wcale, posyłał tylko, króla unikał, dwa razy gwałtownie a napróżno przeciwko niemu wystąpiwszy — już więcej nie chciał się narażać na walkę z tym, jak go zwał, młokosem.

Małom ja naówczas Kaźmirza znał, a tylko z tego co u nas we dworze o nim prawiono, wyobrażałem sobie jakim był. Przecież nawet w moim niedojrzałym umyśle, król się przedstawił jako mocy wielkiej mąż, gdy ze Zbyszkim występował do walki, z tym, którego ani Jagiełło, ani nawet Witold zmóźdz nie potrafił.

Zarzucał mu stary Tęczyński krakowski wojewoda, że milczący był, w sobie zamknięty, a żelaznego uporu. Mówiono, iż królowa matka zaklinała go i prosiła, aby z biskupem się pojednał, a choć nad nim wielką władzę miała — nie potrafiła nic.

Tyle wymogła, że król Polakom potwierdzenie ich przywilejów zapewnił, chcąc sobie rycerstwo pozyskać, ale w sprawie biskupstw na jeden włos nie ustąpił.

Dwu już swoich miał na biskupich stolicach, a u Zbyszka powtarzano to codzień, jakoby się miał przed Lutkiem z Brzeziany wygadać z tem, iż ani jednego na przyszłość kapitułom nie da wybierać, ani sobie z Rzymu narzucić.

Myśmy tedy czekali na obiecanego Kapistrana,



który podczas się miał na Szlázku znajdować. W biskupie niecierpliwość rosła... aby go koniecznie ściągnąć do Polski, tak, że nawet spór z królem został na pozór zawieszony.

Małżeństwem króla nie zajmował się wcale ks. Zbyszek, ale, nie przykładając się do niego, rokował złe następstwa. Zbliżyły się ostateczne układy. Król do nich nieprzyjaznego sobie Oleśnickiego nie wzwalał... Jan biskup wrocławski i Jędrzej poznański, i z panów kilku było wyznaczonych, a z tych, co Zbyszkowi sprzyjali i z nim szli, wojewoda krakowski tylko.

W wigilię tego dnia, gdy wojewoda do Wrocławia miał wyjeżdżać dla zawarcia kontraktu, na wieczerzę przybył do dworca biskupiego.

Byłem na służbie w izbie, gdy ku wchodzącemu Zbyszek pośpieszył głośno wołając:

— Wojewodo mój, czy królowę nam sprowadzicie czy nie, czy posag jej sto tysięcy czerwonych złotych czy połowę tylko wynosić będzie, dla mnie to marna rzecz... ale, jeżeli wy mi z sobą Kapistrana tu nie przyprowadzicie, chyba mi się nie pokazujecie na oczy.

We Wrocławiu jest, dosyć już Szlázaków nawracał; zaklinajcie go, uproście, wymódlcie aby z wami razem przybywał... Zabierzcie go z sobą, a gdy będziecie pewni, że się da wziąć, gońca mi przyslijcie, abyśmy świętego męża godnie przyjęli!!

— Król mi i królowa matka toż samo zlecili — odparł wojewoda. — Mam w Bogu nadzieję.

— Niech Jan z Czyżowa, Jan z Koniecpola i Dzierżek z Rytwian nad kontraktem i umową ślubną siedzą, a Kapistrana mi pozyskajcie — dodał biskup. — Powiedzcie mu, z jaką my go tu poządliwością oczekujemy. Dusze się rwią ku niemu... Chcę dożyć tego dnia.

A po chwili dorzucił wzruszony.

— Król im dał przytułek u św. Krzyża... ale ja

klasztor wystawię, kościół mu zbuduję... Niech tylko przybywa.

Z takim zleceniem wyjechał pan wojewoda do Wrocławia i wziął je do serca. Dziesiątek dni nie upłynęło, gdy goniec nadbiegł do biskupa z doniesieniem od wojewody, iż Jan Kapistran z posłami razem na pewno do Krakowa przybędzie.

Znowu tedy też sama, a może większa jeszcze gorączka i niecierpliwość oglądania tak długo oczekiwanego, opanowała wszystkich. A że od miesięcy już dwu gościli w Krakowie towarzysze Kapistrana, z Władysławem Węgrzynem, którzy siła o nim opowiadali, że się rozgłosily cuda, rozeszły powieści o wielkiej mocy z niebios mu danej — więc jeszcze z większym upragnieniem czekano dnia tego szczęśliwego i godziny, kiedy stopa jego dotknie naszej ziemi.

Na zamku, w mieście, we dworcu u nas, po klasztorach wszędzie sposobiono się na uroczyste przyjęcie Kapistrana, szczególnie zaś zakony św. Franciszka, do których reguły należał, chociaż ją obostrzył i ściślejszą uczynił.

Dominikanie, którzy zawsze byli we współzawodnictwie z synami św. Franciszka, bo jeden i drugi zakon patrona swego sławił i wynosił, także się przygotowywali witać Kapistrana jako wielkiego inkwizytora, którego obowiązki dotąd spadkiem do ich zakonu należały. Nie wyłączał się nikt, bo w nim i błogosławionego męża i jakby legata a misyonarza apostolskiego widziano. Sława taka go poprzedzała, iż nikt obojętnym być nie mógł.

Nadszedł nareszcie dzień ten pamiętny, we wtorek, w samo święto Augustynowe, gdy całe miasto od rana się poruszyło i można powiedzieć, że krom tych co w łózkach leżeli, ruszyć się nie mogli, nikt z chrześcijan w domu nie został. Jedni za miasto i bramy, drudzy na rynki i ulice powychodzili — mieścił się każdy jako mógł.



Żydzi z obawy, aby przy tem umysłów rozkołysaniu, jak się to nieraz trafiało, szkolna młodzież i swawolne czeladzie na nich się nie rzuciły, zawczasie się po swych domostwach pozamykali. Jednego z nich nigdzie najrzeć nie było można.

Dzień był jesienny, ponury i pochmurny, ale spokojny.

Wszystkie zakony z chorągwiami, z krzyżami, cechy miejskie, duchowieństwo świeckie, akademie, kapituła, biskup z całym dworem swym, w uroczystych szatach wyszły ku bramom na spotkanie.

Królowa też stara i król wyjechali dosyć okazale i dworno.

My z biskupem Zbyszkim czekaliśmy nań na Kleparzu.

Choć oznajmiono było, iż na pewno przybywał, czekało się dosyć długo; a starzy ludzie powiadali, że nie pamiętali tylko wjazdy królewskie tak urozyste i tłumne.

Ale na twarzach wszystkich radości dojrzeć nie było można, i jakby trwogę, gdy sędzia na winowajców przybywa.

Cicho było, oczy się zwracały na gościniec, którym przybycia oczekiwano, aż poszedł szmer, podniosły się głowy, królowa z siedzenia w kolebce wstała, młody król z konia zsiadł. Pokazał się wóz czterema końmi zaprzęzony pana Jana z Tęczyna, bo jemu się dostała cześć towarzyszenia świętemu mężowi. Za nim jechali inni posłowie ze dworami swemi.

Zobaczywszy króla i królowę, wojewoda woźnicy dał znak aby stanął, i z wozu postrzegłem szybko wysiadającego człowieka średnich lat, ciemnej płci, z długą szyją obnażoną, w sukni prostej, grubej, brunatnej, z kapturem, powrozem podpasanej, u którego prosty drewniany, z dużym krzyżem wisiał różaniec. Nogi miał bose w trepkach drewnianych, a ręce niemal do kolan długie.

Inaczej ja sobie go wyobrażałem, ale takim jakim

był, wydał mi się do innych ludzi wcale niepodobnym. Przynajmniej od naszych różnił się bardzo i widać było, że z innych krajów pochodził, bo i rysy twarzy i oczy i postawa osobliwe były i dziwne. Poruszał się prędko, wejrzenie miał śmiałe i ogniste, ale obejście się z ludźmi pokorne.

Królowę i króla pozdrowiwszy, którzy go w rękę całować chcieli, obie ręce na piersiach złożył i pokłonił się nisko. Ale gdy potem podniósł głowę a spojrział dokoła, kogo oczy trafiły, ciarki po nim przeszły. Coś takiego przejmującego miał we wzroku.

Cisnęli się wszyscy do rąk, do nóg, a on błogosławił podniósłszy potem prawą rękę do góry i modlitwę szeptał.

W tej sierniedze prostej, z twarzą niepiękną, surową, czarną, wychudłą, bosi, biedny, stał w tej chwili po nad tłumami jako król i wódz. A nie go to nie strwożyło, nie pomięszało, ani orszak ów wspinały, ani ludu tysiące, ani oznaki czci, które odbierał. Pozostał nieporuszony zupełnie, i gdy biskup przy nim idący dał znak, ruszyło się wszystko w procesyi do kościoła, księża pieśń śpiewać poczęli i wszyscy pieszo za Kapistranem i biskupem poszli do Panny Maryi.

Dla niego i dla towarzyszków, których z sobą miał, bo mu nietylko na nich nie zbywało, ale mu co chwila nowi przybywali, opróżniono umyślnie w rynku kamienicę Jerzego Sworca, z której można po-  
wiedzieć, że klasztor zrobiono.

Wygód ci nowi zakonnicy nie potrzebowali wcale, bo na gołej ziemi sypiali, posty bardzo surowe zachowywali mało nie codziennie, w piecach sobie nawet opałać nie pozwalali, a zaraz oratorium urządzili i kłauzurę. Izba pierwsza, przy której służbę postawić musiano, bo ludzie się jęcząc i płacząc cisnęli, służyła do przyjmowania tych, których do Kapistrana przypuszczano.

Ponieważ biskup go przyjmował, a jam służbę



u niego pełnił, mogłem i miałem zręczność się przypatrzyć życiu i obyczajowi świętobliwego męża.

Nawykliśmy byli wszyscy do niezmordowanej pracy naszego biskupa, który od rana do nocy prawie nie spoczywał, ale czem to było w miarę żywota tego człowieka, który wszystek czas swój trawił jakby w pobożnej gorączce.

W nocy ledwie parę godzin zasypiał, odpowiadając w różnych terminach modlitwy z braćmi, a przez cały dzień kazał, spowiadał, nauczał, przyjmował ludzi, każdą chwilę wolną wnet obracając na modlitwę.

Czasu modlitwy mienił się zupełnie człowiekiem, twarz wyjaśniała, oczy zdawały powiększać, drżał w uniesieniu jakimś i zdawało się, że zapominał porwany duchem do niebios, iż był jeszcze na tym świecie.

Nawyklm będąc do mojego świętobliwego ks. Jana Kantego, zdumiewałem się jak dwaj ludzie pobożni równie, tak mogli być do siebie niepodobni. Albowiem mój Jan spokojny był, łagodny jak baranek, i w modlitwie zatapiał się, nie upajał nią,—Kapistran zaś jakby uniesiony, rozgorzały, przybierał postać wrzającą grozę i trwogę.

Następnych dni postawiono przy kościele św. Wojciecha, na tem miejscu, gdzie wedle podania apostoł też ten do ludu przemawiał, ambonę drewnianą, którą obwieszono kobiercami i oponami kosztownymi, ale Kapistran te ozdoby wszystkie pościagać kazał.

Tuż przy nim stał jeden z kolegiatów naszych i w miarę gdy mówił, tłómaczył nam słowa jego.

Bliżej ambony były uczynione siedzenia i klęczniki dla królowej, króla, dworu, duchowieństwa i panów. Dalej rynek, jak zajrzeć, był pełniusienki, a panowała wśród tych nabitych i ściśniętych ludzi taka cisza, iż zdawało się, że muchąby przelatującą posłyszeć można.

Mamże się ja kusić o to, abym opowiedział jak

słowo jego działało, i w jaki sposób? Tego ani ja, ani nikt nie potrafi.

Działo się bowiem coś cudownego. Mało ludzi mogło dosłyszeć co mówił, inni niespełna rozumieli, przecież mowa jego poruszała serca, wyciskała łzy, nawracała, pociągała.

Nie widziałem kaznodziei tak mówiącego jak on: rzucił się niespokojny, ręce ku niebu wyciągał, padał, chodził, zniżał do ziemi, bił w piersi; sam dźwięk jego mowy brzmiał tak, że się robiło około serca trwożno, łzy cisnęły się do oczów.

Ci co wcale go nie rozumieli nawet, przejęci, przestraszeni łkali i mdleli.

Postannik to był Boży i mocą Jego obdarzony, ale nie przynosił miłosierdzia i pokoju, tylko groźby straszne, pomsty za grzechy wołanie, katuszy piekielnych odgłosy. Ja to przynajmniej tak czułem, a ze mną drugich wielu.

Dopóki mówił, trzymał tak na uwieży wszystkich i tylko łkania i wykrzyki boleści czasem mu przerywały, potem gdy kończąc zwrócił się do krzyża i padł przed nim, ręce wyciągając ku Chrystusowi, padało z jękiem na ziemię w proch co żyło.

Nie było człowieka, coby zimnym odszedł z oczyma suchemi.

I działały się cuda. Szli ludzie do spowiedzi grotnadami, młodzież rzucała szaty rycerskie i przywdziewała odzież zakonną. Od pierwszego dnia poczęli się jawnie do zakonu ludzie, padając do nóg Kapistranowi i O. Władysławowi, aby ich przyjęto.

Lecz nie dziwnemby to było może, iż pospolity lud tak czuł to słowo Boże, którego z ust natchnionych a płomienistych jak te nie słyszał nigdy. Patrzałem stojąc na biskupów, naszego pana i innych, na starszych duchownych, na tych co kaznodziejów wielu w życiu słuchali, nie było jednego, któryby tego nie doznał co prostaczkowie. Płakali i oni. Mąż



był w tych chwilach natchniony, tak jak tylko apostoł namaszczoney przez Boga być może.

Od pierwszego tego dnia poczęło się takie wszego ludu uniesienie pobożne, iż można było powiedzieć, że niemal spraw powszednich zapominano. Gdzieś przyszedł, coś usłyszał, wszędzie tylko kaznodzieja i apostoł był przedmiotem rozmów i podziwu.

Wyniść w ulicę nie mógł, żeby tłumy nie ciągnęły za nim. Znoszono mu do drzwi chorych, przywożono chorych, czatowano aby dotknąć kraju szaty jego.

Zaraz tedy z młodzieży co było pobożniejszych pobrało sukienki zakonne. Jednym z pierwszych był młodzieuchny Szymon z Lipnicy, który później wślawił się życia świętobliwością i pokorą.

Razem z tym wstąpił do zakonu Rafał z Proszowic i Stanisław Kaźmirezyk, a wielu i wielu innych, nie licząc panów takich jak Melsztyński. W samym Krakowie stu i trzydziestu ich naliczono, którzy sukienki wdziali i po całym kraju potem regułę tę rozsiłali.

Wieczora jednego już późną jesienią, gdy kazał Kapistran, począł przeciw kosterstwu, płochym grom i zabawom mówić, stratę czasu, obrazę Bożą, zgorzenie ludzkie ukazując z tych igrzysk, które często mężobójstwa i krwią się kończyły.

Poruszył i przeraził tak słuchaczy, iż nazajutrz od świtu też pod kazalnice znosić poczęli ludzie, kto co miał do gry jakiej służącego; warcaby, kości, kubki, karty, kule i kręgle, niektórzy nawet cytry i narzędzia muzyczne, choć one i do chwały Bożej służyć mogły.

Gdy potem apostoł wszed na kazalnice, a ujrzał ogromną tę kupę, bo nie do wiary się tego nazbierała gromada, gdyby góra w pośród rynku, dał znak, aby te narzędzia szatańskich pokus zapalono.

Rzucili się posłuszni z pochodniami i natychmiast ogień podłożono. Ogromnym płomieniem zajął się

stos suchy we mgnieniu oka, a że Kapistran kazał i na niego się wszyscy patrzali a płakali, nie postrzegł się nikt, gdy ów stos buchnął ogniem, i zrywając się wiatr żarzewie i węgle a iskry począł unosić na najbliższe dachy, tak, że się na kamienicach gonty już zajmowały. Rzucili się dopiero ludzie na ratunek, uderzono w pożarny dzwon u Panny Maryi, a święty mąż żegnać zaczął ów pożar poczynający się, który szczęśliwie natychmiast ugaszono.

Wołał jednak, iż tylko miłosierdzie Boże grzesznemu miastu jak Sodomie i Gomorze spopielić nie dało, pokuty i poprawy oczekując.

W takiej gorącości to przebyliśmy, powiedzieć można, cały ów czas kilkomiesięczny, który Kapistran u nas spędził. Dla zakonników jego i nowej reguły, pod zawołaniem Bernardyna świętego, biskup na gruntach brata klasztorów i kościoł założył, nie dopuszczając, aby z królewskiej łaski przy świętym Krzyżu zostali.

Budowano tymczasowo z pośpiechem takim, że żadne pono domostwo za pamięci ludzkiej tak prędko nie stanęło, jak ta fundacya biskupia.

Ks. Jan z Krakowa z biskupem i innemi duchownymi do miast też bliższych czynił wycieczki, a gdziekolwiek się ukazywał, wszędzie toż samo działo się co w Krakowie.

Jam też dusznie pewnie korzystał z tego wzmożenia się pobożności, bo nie byłem ostyglym ani obojętnym, a oprócz tego rad byłem, że o mnie zapomniano trochę wśród tego zajęcia nabożeństwa.

Mogłem niepostrzeżony czasem się wyrwać do mojego Gajdysa i z nim chwilę swobodniej pomówić. Spotkało mnie też szczęście to, że gdym raz z nim stał na poufnej rozmowie, a nie bardzośmy zważali co się około nas działo, aniśmy się spostrzegli, gdy król nadszedł.

Zrazum uciekać chciał, ale mi nogi w ziemię wrosły.



Tymczasem zbliżył się miłościwy pan szybkimi krokami, nawołując Gajdysa.

— Toż syn twój?—spytał.

A gdy Litwin się skłonił milezący, król jeczczę podszedł ku mnie i czulem jak mi się przypatrywał; głowę miałem spuszczoną. Kazał mi ją podnieść i patrzeć śmiało. Choć z trwogą wielką byłem posłusznym.

Ujrzałem naówczas wielce dobrotliwe spojrzenie królewskie skierowane ku mnie, patrzył Kaźmirz i mileżał. Spytał potem jak mi u biskupa było, na co mileżeniem odpowiedziałem i nie nalegał już.

— Ucz się a sprawuj uczciwie — rzekł potem — ja o dzieciach sług moich nie zapominam, i o tobie też pamiętać będę.

Padłem mu do nóg. Zdał się mocno poruszony, i sięgnawszy do kaletki, którą zawsze u pasa nosił (był to obyczaj ojca jego), dobył garść pieniędzy i wsunął mi je w rękę. Mnie ona tak drżała, że poupadały na ziemię i Gajdys je podnieść musiał, a teraz dopiero postrzegłem, iż były sztuki złota. Król się prędko bardzo oddalił.

Było tego daru pańskiego sztuk dziesięć i chciałem się niemi podzielić z Gajdysem, ale się obruszył, pogniwał, złoto w węzełek zawiązał i kazał mi go nie ruszając strzedz jak oka w głowie.

Ale fraszką było złoto owe, mnie wejrzenie królewskie niewypowiedzianie miłosierne droższem nad nie było. Zdawało mi się czytać w nim, że istotnie litość mieć będzie nademną i wyrwie mnie z tej niedoli i niebezpieczeństwa w jakim byłem.

Obawiałem się bowiem bardzo, aby mnie siłą do seminaryum nie wzięto i w suknię kleryków nie obleczono.

Dlaczego do tego stanu ochoty w sobie nie czułem, sam zaprawdę nie wiem, ale Bóg snąc powołać mnie nie chciał do siebie, inne gotując mi losy.

Tak rok się ten skończył, który żalobą okrył całe chrześcijaństwo, bo poganie owładali Konstantynopo-

lem i moc ich urosła a krzyżowi świętemu zagrażała. Przeto i Jan Kapistran tę klęskę ukazując jako karę Boską, nie tylko do pokuty wzywał, ale i do zbrojenia się i do ciągnięcia przeciwko poganom, a połączenia wszystkich sił narodów chrześcijańskich.

Pomiędzy biskupem a królem nie przyszło pod ten czas do żadnego porozumienia i zgody. Stały przeciwko sobie dwa nieprzyjacielskie obozy jako przedtem, a gdy następnego roku przybyli po słowie pięćdziesięciu sześciu miast pruskich z prośbą do króla, aby ich z pod jarzma krzyżackiego wyzwolił i pruskie kraje, które niegdy do Polski należały, zajął w moc swoją, biskup nasz zamiast królowi do tego być pomocą, wystąpił przeciwko połączeniu Prus. Rokował z tego wojnę długą, kosztowną, wycieńczającą a bezskuteczną, w czem na poły miał tylko słuszość, wojna bowiem wistocie utrapioną była i długą, ale szczęśliwie się odzyskaniem Prus choć w części skończyła.

Dawniej nieprzyjaciel zakonowi biskup Zbyszek, czy to, że za niemi z Rzymu się wstawiono, czy na przekór królowi, teraz prawie za niemi przemawiał.

Nie pomogło to wszakże nic, gdyż i królowa matka i król i znaczna część panów rady za tem była, aby na garnących się nie odpychać Prusaków.

Tymczasem zbliżał się naznaczony termin weselny króla, a na zamku pomimo największego pośpiechu jeszcze nie wszystko było gotowem.

Królowa matka i młody król zarówno nie chcieli młodej pani ładajako przyjmować, ani się okazać nieprzysposobionemi. Wesele chciano z wielką obchodźcą okazałością, a zamek tych czasów dosyć był opuszczony i wszystko w nim odnawiać musiano.

Za Jagiellowych czasów król w nim mało przebywał, później też królowa Sonka po innych zamkach mniejszych, w Sanoku i na swych posiadłościach częściej przebywała. Kaźmirz także na Litwie rad polował i mieszkał. A choć byli urzędnicy, którzy



murów i izb a wszelkiego ochędostwa w nich doglądać byli powinni, zaniedbano się wielce i teraz dopiero okazało się, iż na przyjęcie dostojnych gości, miejsca i sprzętu brakło.

Pracowano więc dniami i nocami, com na oczy swe widział do Gajdysa zaglądać.

Przed dniem nawrócenia św. Pawła, król już był w Krakowie, gdzie najprzedniejszej młodzieży rycerskiej dwa tysiące koni sposobiono, które naprzeciw młodej pani wyjechać miały i towarzyszyć jej do Krakowa.

Mnie się serce rwało patrząc na nich, tak im zazdrościłem pięknej postawy i swobody jakiej zażywali.

Jeszcze królowa nie przybyła do Krakowa, a nawet posły po nią nie wyjechały, gdy ta stłumiona wojna między kardynałem Zbyszkiem a królem, na innym polu znowu się zajęła.

Choć król na pozór się wcale nie miewał do tego, między arcybiskupem gnieźnieńskim wiernym i miłym Kaźmirzowi a naszym Zbyszkiem spór się wytoczył o to, kto będzie koronował królowę.

Składał się odwiecznem prawem swoim arcybiskup, a nasz pan jako księżę kościoła, po papieżu najwyższą dostojność kardynalską piastujący, nikomu się nie chciał dać posiąść.

Król stał na uboczu, nie rozstrzygając tego, bo sprawa była kościelna.

Kardynał za sobą miał świętego męża Kapistrana, a naówczas zdanie jego nad wszystkie przeważało. Przewidzieć więc było można, kto zwycięży. Sami nawet przyjaciele kardynała naówczas przyznawali to, że podchodząc w lata, a czując, że nie miał tego co za Jagiełły zachowania i przewagi, coraz zgryźliwszym, popędliwszym był i dumniejszym.

Gdy przed weselem listów mnóstwo różnych i pisanie wszelkiego w kancelaryi kardynała namnożyło się, a skrybentów zewsząd ściągano, ktoś niepoczci-

wy, niech mu Bóg nie pamięta, i mnie nastęczył, zem musiał za stół sięść i do pióra się brać, do którego podówczas nie miałem ni chęci, ni wprawy.

Przewodził tu nad nami wszystkimi ulubiony kardynał, prawa ręka jego, ks. kanonik Jan Długosz, który się wstawił pismami swemi, pracowitością i pobożnością. Przy biskupie Zbyszku mało nie od dzieciństwa ciągle zostając, najlepiej ze wszystkich rozumiał go, odgadywał i tak myślał a czuł jak on.

Więcej tylko może jeszcze miał do króla Kaźmirza niechęci i wstrętu, a do wszystkich Jagiellonów tak samo i królowej matki nie cierpiał, na nią się krzywił, a słyszałem go naówczas prorokującego, że król Kaźmirz na tyrana urośnie. Lecz mąż to był niepospolity, choć namiętny, żywy, gorączka i ludzi czarno widzący, a podejrzywający łatwo. Pracowitszego nad niego trudno było znaleźć, bo i dziesięciu razem rozpoczętych robót się nie uląkł.

W kancelaryi miał jeden stół, w izbie biskupiej drugi, a u siebie w domu całe izby zarzucone księgami i pargaminami tak, że przejść nie było można i u drzwi stać musiał, kto tu do niego przybywał.

Wszystkie te folianty porozkładane, ponaciskane kamieniami, zakładkami poznaczone, stosami się dookoła pulpitu i kupami wznosiły, z których on potem swoje kroniki wybierając spisywał. Śpieszył się zawsze, niecierpliwił, gdy go kto dla marnej sprawy zatrzymywał.

— Nie znasz to wartość czasu! — wołał. — Cóż nad niego droższe, a ty mi go marnujesz i wydzierasz!

To też on i chwilki nie stracił.

Przybywszy do domu, gdy miał ćwierć godziny wolnej nie spoczął i szedł do pulpitu, albo pisać dalej lub napisane poprawiać. W ulicy nigdy powoli go nie widziałem idącym, biegł mimo wieku i ciała



swego zdyszany, rzadko z próżnemi idąc rękami, bo książkę albo papier jakiś zawsze prawie niósł z sobą.

Dla akademii wielce wylanym, gorliwym był i młodzieży opiekunem troskliwym, lecz zarazem srogim dla niej, surowym i nieprzebaczającym.

Z urzędu i położenia przy biskupie, często mu wypadło na zamku się znajdować, ale unikał tego, wymawiał się i od króla a dworu uciekał. Kochali go razem ludzie i obawiali się, gdyż słowo i pióro miał ostre, a nie szczędził nikogo i prawdy w sobie zamknąć nie umiał.

Ja u niego łaski naówczas nie miałem, chociaż nie zawiniłem mu w niczem. Wyrzucał mi to ciągle, że sukienki wdziąć nie chciałem, choć kardynał tego sobie życzył, o czem wiedział Długosz, bo dla niego biskup tajemnic nie miał żadnych. Był to może jedyny człowiek, który całe jego zaufanie posiadał.

Oprócz innych zalet kardynał go z tego wynosił, że była to chodząca biblioteka.

Pamięć bowiem wistocie miał nadzwyczajną i rzadko go ona zawodziła.

Szczęściem, że przy obrzędach ślubnych i koronacyjnych, kardynał musiał występować z całym dworem i wobec przybywających książąt, nie chciał pośledniejszym od nich się okazać, odebrano mnie więc z kancelaryi do pokojów. Książęta szlążkie z Raciborza i Oświęcimia na wesele przybyć mieli, spodziewano się i innych dostojnych panów.

Naostatek owe dwa tysiące rycerstwa tak ślicznie uzbrojone i przyodziane, że na nich jak na kwiatki patrzeć a patrzeć było można, wyciągnęli po królowę. Wszyscyśmy powychodzili im się przyglądać, a było na co! Wziął każdy co miał najlepszego i najdroższego, żeby się przed Niemcami w Cieszynie pochwalić, więc konie jak najśliczniejsze, zbroje szmelcowane i złoczone, szyszaki z piórami farbowanemi, które na ramiona spadały, ladrowania przy koniach osobliwe, a kity, tarcze sadzone kamieniami, kołczany szy-

te srebrem i złotem, szable świecące od opraw bogatych. Mógł król z dumą na nich spojrzeć, bo mało który panujący dwa tysiące takiej młodzieży by postawił, chłop w chłopa.

Jechał z niemi po królowę, choć królowi krzywy był, wojewoda krakowski Jan z Tęczyna, bo z kardynałem trzymał on i inni z rodu jego, którego był głową. Ten się nigdy od posług nie wymawiał, boć jako wojewoda pierwszy był też do nich obowiązany, i ubiegać siebie nie chciał dać drugim. Z nim byli Stanisław Ostroróg kaliski i Piotr z Szamotuł poznański wojewoda, ludzie, jak ich zwano, królewscy, bo ci zawsze z panem byli i Jan z Tarnowa z żoną, aby była niewiasta do towarzystwa młodej pani.

Pomnę dobrze te dni, które poprzedziły przybycie Elżbiety, co później tak długo i szczęśliwie z panem naszym żyła; i muszę tu zapisać, że naówczas, jako było we zwyczaju ze wszystkiego prorokować, we wszystkim widzieć znaki przyszłości, u nas na biskupim dworze duchowni, astrologowie, kto żył głosił najsmutniejsze dla małżeństwa królewskiego horoskopy.

Kardynał też, Kaźmirza nie lubiąc, przewidywał to, co mu życzył.

I to prawda, że wszystko się jakoś składało na opak, utrudniało, nie szło. Królowa już, już na granicach była i jechać a przybywać miała, a na zamku jeszcze w dwu przednich izbach podłogi nie były poкладzione, w innych tynki nie poosychały.

Nikt się pewnie tem tak nie poruszał do gniewu i nie narzekał więcej, nad starą królową matkę Sonkę. Pani ta zawsze była do gniewów skłonna i bardzo zapalczywą, a gdy o jej dzieci i rodu godność szło, gotowa była poświęcić co miała. Król Kaźmirz znosił zwłoki po swojemu, mileząco i cierpliwie, pani matka krzyczała, biegała i oskarżała winnych i niewinnych, że naumyślnie na przekór czyniono jej i synowi.



Królowę młodą wieziono odebrawszy w Cieszynie przez Pszczyn, Oświęcim i Skawinę i już jechała, gdy z Krakowa posłać musiano do pana wojewody, aby trzy dni jeszcze w drodze zmarudził, bo na zamku gotowości nie było.

A tu, złym wróżbitom na pociechę zawzięła się plucha, słota, wicher, jakby naumyślnie aby drogi popsuć, miasto błotem napęlić i uroczystemu wjazdowi całą świetność odebrać.

Kardynał przypisywał to też gniewowi Bożemu przeciwko króla, który porywał się na kościół i przywłaszczał sobie władzę nad biskupami.

Stało się jak przepowiadano, bo gdy młoda królowa przybyła we czwartek po świętej Dorocie, a na przeciw niej król młody wyjechał na koniu, którego rząd cały drogami kamieniami sadzony, od złota i szmelców różnobarwnych, na czterdzieści tysięcy złotych szacowano, on i drużyna w złotogłowach, w jedwabiach, królowa matka w kolebce pozłocistej — deszcz lał jak z cebra. Nie ustał ani na chwilę, gdy młoda pani się do kolebki matki przesiadała i gdy potem powoli z procesją, z muzyką, przy odgłosie trąb i kotłów na zamek powoli ciągniono.

Obmokło wszystko, oślizło, a kolebka, choć w osiem koni zaprzężona, chwilami musiała stawać, tak koła głęboko zapadały.

Król i dwór, któremu szat bardzo kosztownych żał było, wszyscy jechali gniewni, źli, smutni, a owo wesele przy ulewie do rozpaczki niemal starszą panią przyprowadziło.

My z kardynałem czekaliśmy do późna na przybywającą w kościele na Wawelu; czekali i czekali, bo orszak, który miał tu stanąć z południa, nie przywłókł się po błocie aż o dobrym mroku.

Zaraz nazajutrz rozeszła się u nas pogłoska, że przyszła królowa Elżbieta bardzo była niepiękną, że król zobaczywszy ją, okazał niechęć wielką ku niej,

aż go matka musiała zaklinać, aby jej nie objawiał i nieprzyjaciółom pociechy tej nie czynił.

Prawdą - li to było czy nie, nie wiem tego, alem później od tych słyszał co patrzali na dni pierwsze pożycia państwa młodych, że choć król zrazu się chłodnym okazywał, Elżbieta umiała swą weselością, wymową, obejściem się tak go ująć bardzo prędko, iż sercem i duszą do niej przystał.

Patrzyłem potem na długie obojga królestwa pożycie i nie wiem czy kiedy spotkałem dwoje ludzi, coby tak jak oni dla siebie stworzeni byli. Król miał serce dobre i rozumu niemało, ale królowej to przyznać należy, iż nietylko mu nie ustępowała, ale umiejętnością obejścia się z nim, przypodobania się, o wiele go przechodziła.

Poznali się na niej ludzie wkrótce. Pani była acz młoda, rozumu i nauki niemałej, niepiękna ale miła, przenikająca ludzi, bystra i obchodząca się z każdym tak, że go sobie ująć musiała.

Poważna, baczna na siebie, nigdy się z pochmurnem czołem ani królowi, ani dworowi nie pokazywała. Twarz miała zawsze jasną, myśl swobodną, uśmiech na ustach, a im król zakłopotany chmurniej wyglądał, tem ona starała się być weselszą, aby te chmury z czoła jego rozpędziła.

Jakom rzekł, że się to małżeństwo w początku nie wiodło i przychodziło z trudnością, tak aż do końca tych obrzędów i uczt a uroczystości ciągle coś je mąciło.

Gdy przyszło do koronacji, a arcybiskup z kardynałem, ani jeden ani drugi ustępować nie chcieli, postanowiono, aby ślub dawał Kapistran, a bodaj i koronę wkładał. Ale to nie mogło być. Przy ślubie nieumiejący języka mnich, musiał kardynała wezwąć na pomoc. Przeciągnęły się nabożeństwa i koronacja dopiero w nocy się odbyła.

Nie mówię już o tysiącu pomniejszych przekorach i kłopotach, które króla na każdym kroku spotykały.



Po nim, jak on zawsze bywał surowego i spokojnego oblicza, niewiele poznać było można, ale ludzie na dwór biskupi przynosili każdą plotkę, wiedząc, że kardynał się tem cieszyć będzie.

A co Kolek i Sroka i inni nadrwili się z młodej pani, z jej służby, ze strojów, z obyczajów, tego na wołowej skórze bym nie spisał.

Musiałem słuchać usta przygryzając, gdy mnie to w mojej miłości dla króla więcej jeszcze umocniało, widząc go niemal prześladowanym i zagrożonym.

Bo kardynał jak był nieprzyjacielem, tak pozostał nim, a im więcej się przekonywał, że króla nie zmoże, tym zapalczywszym się stawał.

Jednego wieczora u drzwi stojąc na straży, słyszałem gdy do Tęczyńskiego mówił:

— Bóg mi więcej dał niż zasłużyłem, wyniósł mnie łaską swoją do najwyższej dostojności kościelnej, przez długie lata władzę mi nad królem nieboszczykiem złą, panem uczynił tego królestwa i wszystko to dziś na starość u schyłku zatrute tem, że jednego młokosa, któremu sam na tron ten wyniósł, pożyć nie mogę i dziś upokorzony, patrzeć jestem zmuszony jako po swej głupiej myśli rządzi się.

Pocieszał go wojewoda tem, że godnie walczył, że nie ustępował, że zwyciężyć się nie dał, ale pociecha była mała, bo kardynał nietylko sam panować chciał, ale rodzinie swej, synowcowi też panowanie chciał zapewnić.

Ze wszystkiego co mówił wnosić było można, iż występując przeciw królowi biskup Zbyszek tak gwałtownie, miał na celu do niecierpliwości go przyprowadzić, do wybuchu, do porwania się jakiegoś zachwałego przeciwko sobie i duchowieństwu. Rachował na gorącą krew młodego pana, ale się omylił, bo Kaźmirz ponał i bladł, jak ludzie mówili, ale taką zimną krew zachowywał, iż nią kardynała w pasyę wprawiał.

Postanowiono w tym roku poddanie się Prusaków

przyjąć, do Prus ciągnąć, czemu kardynał także był przeciwnym i opierał się całą siłą napróżno.

Mało tego, że sam królowi na zawadzie stawał, ale z nieustannego publicznego narzekania na króla, iż Bóg za niego i grzechy jego Polskę klęskami nawiedza, w umysłach ludzi przekonanie się to ugruntowało.

Przyszeli mór na bydło, na ludzi, nieurodzaj, głód, wszystko to na króla składano.

Kaźmirz winien był wszystkiemu. Od przybycia Kapistrana już w umysłach niepokój się wziął, trwoga opanowała ludzi.

Święty mąż w rynku Krakowa każąc przepowiadał Polsce, że Turcy ją najadą, zajmą i że na tym samym rynku wielbłądy ich stać będą wkrótce. Zdobyć Konstancyńską świeżo, o którym opowiadano, bo Greków dużo się naówczas po świecie roproszyło, co na szturmów i na śmierć pobożną Konstancyńską patrzyli, i na Polskę trwogę rzucali.

Więc przepowiadali i inni straszny koniec a pomstę Bożą. Pobożny mąż Sędziwoj Sadek, modląc się przed obrazem Męki Pańskiej z wielką gorącością ducha, nagle widzenie miał straszne przyszłości i pieśzo we włosiennicy poszedł do Brześcia, gdzie król podczas był, a tam w kościele wobec Kaźmirza po polsku kazanie prawil, nie wahając się królowi czynić wyrzutów, karcić go jak najwinniejszego i okrutną pomstę Bożą jemu zapowiadając, a z nim krajowi całemu.

Nietylko panu, ale potomstwu jego groził, a kazanie to gdy się po kraju rozeszło, że mąż był świętobliwy, przeciwko królowi ludzi podniosło.

Zdawało się, że tak ściśnięty i prześladowany ustąpi Kaźmirz, zwłaszcza iż pobożnym był zawsze a bogobojnym, przecież nie się nie zmieniło. Sędziwoj Sadek powrócił do Krakowa płacząc nad zatwardziałością.



Zbyszek kardynał, coraz więcej czując na tem, iż złamać uporą Kaźmirza nie mógł, choć mu się w Prusiech nie wiodło i długa wojna zapowiadała, począł chorzeć, niedomagać i na siłach upadać.

Już go nawet blaznowanie owo Kołka i Sroki nie zabawiało, zadumany siadywał, jakby nie słyszał co się wkoło działo.

Jakby umyślnie aby go rozdrażnić więcej, król naówczas żydom, którzy prosili o potwierdzenie dawnych swoich przywilejów, a jak mówiono znaczny za to podarek ofiarowali, w istocie dawne ich wolności na nowo przypieczętować kazał.

Znowu więc na niego urosła wrzawa i przepowiadano pomstę Bożą.

W wielkim poście, jak często był zwykł od zgiełku dla nabożeństwa się usuwać kardynał, i w Sandomierzu cichszym, czas jakiś na modlitwie spędzać, tak i teraz się tam wybrał. Brał ze sobą zwykle dwór niewielki, i jam też spodziewał się, że mnie podróż ta ominie, o co Pana Boga prosiłem. Stało się inaczej.

Strwożyłem się wielce, gdy stary Doliwa posławszy po mnie wyraźnie mi zwiastował, iż wola była kardynała samego, abym ja z nim do Sandomierza jechał.

Strach mnie ogarnął nie bez przyczyny, bo mi do seminarium w Sandomierzu zapowiadaniem było. Jeśli więc wieziono mnie tam, myślałem sobie, to nie dla czego innego, tylko aby zamknąć i do przyobleczenia sukienki zmusić.

Ani chorobą, ani niczem w świecie od wyraźnego rozkazu takiego wymówić się nie było można.

Posłusznym być musiałem, ałem sobie w duchu rzekł, że gdy do ostateczności przyjdzie, raczej ucieknę w świat, niż się dam zamknąć do niewoli.

Dokąd mogłem się schronić, nie wiedziałem sam. Do Wilna bodaj, na dwór króla, któryby mi może opieki swej nie odmówił? Zresztą świat był szeroki,

a ja w węzélku zaszytych miałem na piersi owych dziesięć sztuk złota, które mi się wydawały skarbem tak wielkim, jakby na całe życie starczyć mogły.

Zaczynało puszczać gdyśmy z Krakowa wyruszyli do Sandomierza, małemi dniami, po złych drogach, a jak to naówczas na najmniejszą rzecz zwracano uwagę, widząc w niej prognostyk jakiś, tak i przed tą podróżą dosyć nieszczęśliwych wróżb było.

Gdy kolebka biskupa z wrót podwórza wyciągała, padł koń jeden, a tylne koła o próg zawadziwszy wstrzymały wóz tak, że ludzie go podnosić musieli.

Dalej czasu podróży wszyscy widzieli, że stado kruków po prawej ręce naszej leciało ciągle i jakby towarzyszyło pochodowi.

Kardynał w drodze milczący był i niedomagał. Przybyliśmy dniem później niż naznaczono do Sandomierza, bo w kolebce pasy się porwały, koło rozsypało.

Mnie, com nigdy tu nie bywał, miasta i okolicy nie znał i nie widział, wydał się Sandomierz niewymownie smutnym i pustym. Mało co wypocząwszy, poczęliśmy przygotowywać się do spowiedzi wielkanocej, gdyż do palmowej niedzieli tydzień tylko pozostawał.

Więcej czasu na służbie Bożej schodziło, niż na posłudze około kardynała, który też niemal cały dzień spędzał w kościele. Zrana msza po mszy wychodziły do południa. Potem śpiewanie pieśni i nieszpory do wieczora starczyły.

Ks. biskup choć widocznie cierpiący, smutny, słaby nie uwalniał się od kościoła. Wstawał zrana do modlitwy i trwał na niej do nocy, przed niedzielą palmową jednak zaniemógł tak, że doktor powołany, w łóżku mu kazał pozostać. Siły go nagle opuszczały.

Do ostatniej chwili jednakże nie zaniedbał swych kapłańskich obowiązków. Msza się odprawiała w drugiej izbie tak, że jej z łóżka mógł słuchać. Posłano



po synowców i brata, dano znać do Krakowa. Lekarz mileżał, ale z twarzy jego wyczytać było można, iż się strwożył. Wiek sam, a wielkie trudy jakie podejmował ks. Zbyszek siły wyczerpały.

Już się z łóżka nie ruszał, gdy Doliwa z rozkazu wyraźnego pana mnie do niego przyprowadził. Szedłem jak na ścięcie.

Odwrócił się ku mnie, popatrzył długo i odezwał się głosem zmienionym:

— Przywiozłem cię tu, abyś do szkoły duchownej wszedł i sukienkę wdział. Sierotą jesteś, bez ojca i matki, bez rodziny, nie masz nic lepszego do uczynienia, a Bogu podziękować powinienś, że cię do siebie powołuje. Co na świecie lepszego spodziewać się możesz? W opiekę cię zdam, ucz się i módl.

To mówiąc i ani słuchać chcąc, czym co miał odpowiedzieć, rękę podniósł, pobłogosławił i snadź dał znak Doliwie, bo ten mnie natychmiast wziął pod pachę i uprowadził. Za progiem łzy mi się puściły dopiero.

Doliwa zaraz chciał do regensa mnie odprowadzić, ale po rękach go całując i prosząc wyjednałem to, ażeby do Wielkiejnocy przy dworze pozostał, na co choć niechętnie wreszcie zezwolił.

Nie zostawało mi nic nad jedną ucieczkę i najmocniejsze uczyniłem postanowienie uchodzić.

Tymczasem pogrzeb się przygotowywał zmarłego Koniecpolskiego, ludzie i duchowieństwo byli nim zajęci, choroba kardynała niepokoiła też i zaprzętała. Mało na nas zwracano uwagi.

Opatrywałem i obmyślałem środki, jakby się wymknąć ztąd niepostrzeżonym i ująć pogoni, którą nieochybnie wysłać za mną musiano. Nie znałem ani ludzi, ani kraju, anim najmniejszego nie miał doświadczenia. Bogu się potrzeba było polecić.

W niedzielę kwietnią zachorzał mocniej kardynał, okazało się jawne niebezpieczeństwo. W poniedziałek

nie polepszyło się, owszem doktor znalazł, że ostatnia zbliżała się godzina.

We wtorek po kwietniej niedzieli, gdyśmy w kościele byli, i właśnie passyę śpiewano, postrzegłem wchodzących tych kilku co przy kardynale byli i z zakrystyi krzyż i lichtarze biorących szybko, a żywo coś między sobą szepczących.

W kościele, gdzieśmy stali, z ust do ust podawano sobie: kardynał nie żyje.

Gdy to usłyszał, zabrzmiało mi ono w uszach jakby wyrok na mnie wydany. Nigdy się lepsza zręczność nastęrczyć nie mogła do ucieczki, jakby wszyscy żalem zdjęci przygotowaniami do pogrzebu wielkim żalem jakby ogłuszeni, na mnie zważać nie mieli czasu.

Upadłszy przed wielkim ołtarzem na kolana i pomodliwszy się gorąco do Boga, a rozplakawszy nad losem moim, wymknąłem się z kościoła przez zakrystyę i wprost do izbym szedł, którą nas trzech zajmowało razem.

Tu jedną opończę tylko na siebie narzuciwszy, innej odzieży nie biorąc, bom się obciążać lękał, wśród zamieszania i gwaru jaki w podwórzu powstał, bo się już ludzie cisnęli posłyszawszy, że w dzwony pogrzebowe bito, wysunąłem się w ulicę i sam wcale nie wiedząc dokąd idę, na miasto się puściłem. Nieprędko ochłonałem tak, żem myśli mógł zebrać.

Pieszko ucieczka wydawała mi się trudniejszą jeszcze, niż gdybym konia miał, ale do niego potrzeba było kulbaki uzdy i rzędu jakiegoś, a potem karmić go też po drodze. Chętnieby był jedną lub dwie sztuki złota z węzelka gdzieś pokryjomu dobył, aby mojego skarbu nie pokazywać i ważyłbym na kupno konia, alem ceny jego nie znał i nie wiedział gdzie go szukać.

Gdy tak pośpiesznie ulicą jeszcze szedł, nastęrczył mi się mieszczanin, człek letni o kiju, z zapytaniem czy nie z zamku idę.



Odpowiedziałem potakująco.

— Prawda to, że kardynał zmarł?—zawołał przystępując do mnie.

Błysnęła mi myśl jakaś i odpowiedziałem prędko:

— Tak jest, a ja właśnie z tą wiadomością posłany do Krakowa, ale konia ani podwoły mi nie dali i szukać ich muszę. Za podwoję najętą bym zapłacił, a no mi jej śpieszno bardzo potrzeba.

Zawrócił się skinąwszy na mnie stary i rzekł:

— Chodźcie za mną.

Tak na kłamstwo się odważywszy, dalej już w niem brnąłem, nie zważając na to, że choćbym podwoję do Krakowa dostał, na gościńcu wielkim łatwo mnie ułapić mogą. Ale mi się w głupiej głowie przewracało.

Mieszczanin w drugą uliczkę zawróciwszy do dworka mnie zaprowadził, głośno wołając w podwórzu:

— Kulas! Kulas!

Ze stajni wyszedł na głos ten człek mały, z głową ostrzyżoną krótko, nakulewając na jedną nogę. Twarz miał plamistą, niedobłą, oczy niespokojne i wargę obwisłą, która go straszliwie brzydkim czyniła.

Począł mu mój mieszczanin o podwodzie prawić, a ja tylko jedno powtarzałem.

— Składałem się tem, że o śmierci biskupa dać znać było zaraz potrzeba.

Kulas tymczasem konie swe chwalił i powiadał, że niemi bez popasu gotów po najgorszej drodze pięć mil robić.

— Na gościńcu—dodał—puściło do gruntu, alem nie głupi nim jechać. Ruszymy małemi dróżynami, które ja znam, gdzie jeszcze zamróz trzyma i droga twarda. Ani się opatrzycie gdy w Krakowie lotem staniemy.

Przyszło do targu, a ja ceny pieniędzy i podwoły wcale nie znałem. Spróbowałem tylko cenę zniżyć.

Wdał się mój mieszczanin jako pośrednik, zgodziłem się na to co postanowił, alem wnet zaprzęgać kazał.

Miałem groszy kilka białych, które dałem zadatku. Wóz zaraz wyciągnięto i smarować go wziął się Kulas, a ja pod pozorem, że nocnem czuwaniem strudzony był, siana sobie nasławszy, rzuciłem się na wóz, opończą nakryłem i... czekałem już co Bóg da.

Kulas mój, wnet parę koni wyprowadził, a mało poczekawszy, ruszyliśmy.

Gdym się znalazł w polu, na gościńcu, sam jeden, na łasce Bożej, nie wiedziałem czy się radować, trwożyć czy rozpaczać.

Kulas popędzał, ja choć leżałem sen mnie wcale nie brał. W początku wozy, ludzie, konni pomijali nas, a że w głowie pogoń miał i strach okrutny, przypadałem na wozie, aby mnie jak najmniej widzieć było.

Strach to był próżny, gdyż jakem się później dowiedział, nie opatrzone się o mojej ucieczce, aż późno w noc, gdy się i nabożeństwo skończyło i wyczera postna, do której mnie nie stało.

A nawet gdy hukano, wołano i szukano mnie na próżno, sądzono że się gdzie w miasteczku obłąkał wybiegłszy, nie przypuszczając nawet, bym mógł uciekać. Jeden Doliwa, jak mi mówiono, głową potrząsał znacząco, ale jak gdyby nie miał ochoty zbytnej ścigać mnie, nie mówił nic.

Kulas tymczasem wiózł ku Krakowu bocznemi drogami, i pierwsze trzy mile konie szły dosyć rażno, ale ujechawszy je, popasać już musieliśmy, a dalej, choć woźnica krzyczał, poganiał, wiele obiecywał, wlekliśmy się bardzo powoli.

Obwiniął o to drogę i porę, bo według niego konie były zawsze najsłabsze na wiosnę, przez to, że leniały, a i ludzie też słabli w tych miesiącach, dla czego im krew puszczano.

Jechał powoli, ale za to mówił dużo, i gdybym



był słuchał, wielebym się mógł nauczyć od niego, alem w głowie co innego miał.

Słowo się rzekło—do Krakowa, a dopiero teraz rozmyślanie przyszło: gdzie ja się tam podzieję, co z sobą pocznę, jak się ukryję, kto mnie przyjmie?

Jakby głos jakiś wewnętrzny naówczas szepnął mi, żebym się na dwór królewski i pod opiekę pańską się udał.

Jeśli nie sam, przez Gajdysa mogłem się przypomnieć, a gotówem był bodaj w stajniach przy koniach królowi służyć, niż gwałtem klerykiem zostać, coby mi wszelką nadzieję znalezienia rodziców odejęło.

Wiedziałem dobrze, iż suknię duchowną wdziawszy, posłuszeństwo ślubowawszy, już panem siebie być nie mogłem. Wreszcie, dlaczego to uczynił, co mnie popychało, sam pono dobrze wówczas nie wiedziałem. Zrządzenie to było Opatrzności i losu mojego!

Com się nasłuchał Kulasa opowiadań przeróżnych, bo mu się gęba nie zamykała, tego nie spamiętam dziś, a no wiem, że śmiertelnie mi się długą wydała droga, z temi końmi co tak miały być nieznużone, a potem co chwila dla nich stawać było potrzeba, to żeby coś naprawić, to poić, to wytehnąć, to nakarmić, to by jakąś wątpliwość w uprząży wyrozumieć.

Naostatek ukazał się, Bogu niech będą najwyższemu dzięki, Kraków, a jam ręce do modlitwy złożył. Zdawało mi się, żem już ocalony.

Kulas zajechał do gospody na Kleparzu, gdzie zwykle stawał i tu go opłacić przyszło, a z owej sztuki złota, którą osobno miałem nagotowaną mało co zostało.

Przybyliśmy późno wieczorem tak, że wątpliwem było, czy na zamku bram nie zastanę zamkniętych; przenocowałem więc na wozie w gospodzie, a jak dzień, nimby się ruch począł w mieście, wyszedłem

postanowiwszy wprost się udać na zamek do Gajdysa.

W ulicach jeszcze ledwie się zaczynało ożywiać, gdym bramy przeszedłszy, naprzód do kościoła wstąpił, aby Bogu podziękować i prosić go o opiekę.

Wiedziałem, że o tej porze zwykle księży i wikaryusze, którzy na zamku nie mieszkali, udawali się na nabożeństwo, musiałem pilno się oglądać, aby który z nich nie zobaczył i zawczasu nie wydał. Udało się szczęśliwie wrota przebyć i wprost podążyłem ku stajniom, ale z sercem bijącym, bom nie był pewien, czy Gajdysa tam znajdę.

Znali mnie już tam niektórzy woźnice i od nich się dowiedziałem, że Gajdys wprawdzie był na miejscu, ale od wielu już dni leżał chory i źle o nim wrócono. Wskazano mi izbę małą, ciemną, gdzie na sianie wołokami obwinieły biedaczysko wybladły i wynędzniały stękał.

Poznawszy mnie, z radością wielką się poruszył. Naówczas, gdy na twarz mu światło od drzwi padło, przestraszyłem się zobaczywszy tak zmienionym, że ledwie go poznałem. Żółty był jak воск, skóra mu się pomarszczyła i oczy tylko strasznie połyskiwały. Nie dając mi mówić, począł jak w gorące prawić, jak był nieszczęśliwy, że mu tu przyszło między obcymi chorzeć, a może i umierać. Płakał za Litwą swoją i Wilnem, za dworkiem, a tu mu wszystko się wydawało złe: powietrze, chleb, woda, ludzie. Mówił, że gdyby tylko mógł tam powrócić, na pewno by wyzdrowiał.

Nierychło mi pozwolił przyjść do słowa i z kolei opowiedzieć, co się ze mną stało. Przestraszył się bardzo i załamał ręce.

Wstać i do króla iść prosić za mną nie mógł ani myśleć, bo się na nogach nie trzymał, użyć kogo za pośrednika powiadał, że nie było można, że on sam musiał mówić o tem z panem.



— Trzeba czekać—dokończył wzdychając.—Jeżeli Bóg da, że on tu zajrzy do koni i stajen, bo codzień chodzi do psów swoich, może się zwłokę do drzwi. Tymczasem siedź tu i czekaj rady innej nie ma.

Zostałem więc na usługę przy chorym i w jego izbie sobie kul słomy położyłem, na co nikt nie zważał. Gajdysowi przy jakim takim dozorze, gdy było komu przynieść wody, ciepłej strawy, posłanie poprawić, okryć go ciepło, zrobiło się lepiej. I to pewnie pomogło, że miał z kim o Litwie mówić, bo teraz tylko o niej myślał, a Boga prosił, żeby tu nie umierać.

Po mojej podróży i strachu, jakiego doznałem, dwa dni leżałem u Gajdysa jak kłoda, gdy on mnie nie potrzebował.

Króla widać jakoś nie było. Chodził wistocie myśliwskie swe ogary patrzeć, bo te bardzo lubił, a do naszych stajni nie wstępował.

Sądziłem już, że mi przyjdzie ważyć się samemu zastąpić mu drogę, paść do nóg i prosić, aby wziął mnie w swoją opiekę, aż czwartego dnia... Gajdys, który głos jego dobrze znał, posłyszawszy, zerwał się i ku drzwiom pobiegł w samą chwilę gdy król przechodził.

Zobaczywszy go tak okropnie wymizerowanym król stanął. Gajdys się powłókł ku niemu i ostatkiem sił począł coś szybko mówić, do kolan się schylając. Poczciwy człek prosił tak za mną. Z za drzwi uważałem jak Kaźmirz się zarumienił mocno, zadumał, poruszył ramionami, stał jakby niepewny, co postanowi. Naostatek ręką zamachnął.

— Gdzie on jest?—spytał.

Gajdys zawołał mnie. Przybiegłem płacząc do nóg jego. Nie dał mi mówić, twarz przybrała wyraz surowy.

— Chodź za mną—rzekł krótko.

Wprost od stajen odszedłszy ku zamkowi, król skinął na stojące pacholę w barwie.

— Burezaka mi tu daj!—zawołał.

Staliśmy w pośrodku podwórca, król oglądając się do koła, obojętnie, ja za nim.

Z zamku wybiegł z siwą głową mężczyzna, starszy nad pokojowemi króla Burezak, z twarzą czerwoną, która od włosów posrebrzonych odbijała dziwnie.

Wskazał król mu na mnie.

— Wezmiesz to chłopię—rzekł—do moich pacholąt, pod szczególną opiekę. Sierota jest, którego ojciec mi niegdy służył.

Burezak się skłonił.

— Nie daj mu krzywdy czynić—dodał król—pamiętaj.

Burezak spytał na wpół mnie, wpół jakby woli królewskiej, pod jakim imieniem ma mnie zapisać. Odwrócił się pan do mnie.

— Jazkiem mnie zwano—zamruczałem — więcej nie wiem.

Na tem się skończyło, bo już król, jakby mu tego dosyć było, odwrócił się, a Burezak mnie z sobą ciągnął.

Do rejestru mnie wpisali nadając imię Orfana, co miało znaczyć sierotę.

Tu jakie były początki mej służby dworskiej, opisywać nie warto. Wszędzie człowiek, nim się z nim oswoją i nim się on z ludźmi obędzie, musi przebyć wiele; tak też było i ze mną. Chłopcy w usługach króla, którzy tu już dawniej byli na dworze, obyczaj znali, kazali mi się wkupić różnemi posługami we względy swoje. Z początku nawet szło ciężko, aż gdy Burezak za mną się parę razy ujął, a i król dobre słowo rzucił, powoli się poprawiło.

Z królem a czasem za królową młodą chodziliśmy do kościoła, gdzie mnie z biskupiego dworu klerycy i księża poznali. Moja ucieczka była już głośną, a gdy



się okazało, że do dworu został przyjęty, nie dochodzono jak się to dokonało.

Obawiać się nie było już czego. Kardynał nie żył, nikomu, jak się mnie zdawało, nie szło o to, czem ja będę i gdzie się pomieszczę.

Roić więc sobie mogłem, że się dostanę choć za giermka później pomiędzy rycerstwo, do którego naówczas serce mnie ciągnęło.

Na dworze pańskim mogłem się przypatrzeć lepiej wszystkiemu, na co dawniej spoglądając z daleka, znalazłem więcej ze słuchu niż z własnego sądu.

Zdawało mi się, iż ze śmiercią kardynała skończy się ta wojna, którą on prowadził przeciw królowi, ale duch jego, który tak długo przewodził kościołowi, przeżył go. Tęczyńscy, Melsztyńscy, wielu z panów, wielu prałatów i kanoników tak samo się opornie stawili, nieufnie i zacięcie, jak za życia biskupa Zbyszka.

Oleśnicy, rodzina jego połączona z niemi wzięły mnogiemi, przejednać się dać nie chcieli.

Król tak samo jak i w Gnieźnie i Przemyśle, na biskupów zalecił wybierać po swojej myśli, a po śmierci kardynała też do krakowskiej kapituły słał, aby Strzępińskiego obwołała. Stało się tak, ale na tym Kaźmirz się zawiódł.

Gdyby i śmielszy od niego po kardynale wziął krakowskie biskupstwo, kyłoby mu je dźwigać ciężko. Kapituła była Zbyszkowska, w niej opór już się narowem stał. Biskup nowych dróg sobie torować nie mógł. Dlatego później trochę, gdy król od wszystkich kościołów zażądał sreber na wojnę przeciw Prusakom, Strzępiński choćby je był może rad dał jak inni, oprzeć się musiał, stanął twardo i wydania sreber odmówił.

Samo zaś to żądanie królewskie, aby duchowieństwo i kościoły przyczyniły się do obrony kraju, nowych mu nieprzyjaciół tylko przyczyniło. Poszło już we zwyczaj wszystko na króla zwalać, obwiniać go

o każdą klęskę i co się złego stało przypisywać jemu.

Po śmierci kardynała gdy dzwon zwany Zbyszkem urwał się i spadł, zaraz to wzięto za wróżbę pomsty Bożej, a gdy potem ów pożar, co się począł z domu platnerza Tomasza, w popiół obrócił ulicę Grodzką i Kanonną, kościoły św. Piotra, Jędrzeja, Marcina i Magdaleny, kolegium jurystów i z górą sto domostw, powiadano, iż król był temu winien, bo żydom nadał przywileje.

Czasu tego pożaru mieliśmy i my na zamku strach niemały, bo gorzało silnie, a wicher niósł na zamek pozrywane dachów kawałki, i pilności trzeba było wielkiej, aby uchronić drewniane budynki, od którychby i inne się zajęły.

Trudno to spisać i opowiedzieć, na co się owych czasów patrzyło i jak młody król miał wiele do przeniesienia, a z jaką on mocą ducha i cierpliwością wszystko pokonywał, nigdy się nie skarżąc.

Miał przy sobie małą wiernych gromadkę, która szła posłuszna mu gdzie wskazał, ale przeciwko sobie możnych panów, rycerstwa i duchownych daleko więcej.

Podporą i pociechą dlań była ta pani właśnie, o której czasu wesela głoszone, że król jej nie podobał sobie i narzekał, iż mu ją wyswatano.

Trzeba na nią patrzeć było, jak ona umiała nie rozdrażniając go, nie jątrząc ku nikomu, pocieszać, rozweselać, odwagi dodawać i jaki na umysł jego wpływ wywierała.

Gdyśmy z królem podróżowali nieraz, jeździli na zgromadzenia szlachty do Piotrkowa, do Brześcia, na Litwę, a napojono go zółcią i octem, aż litość brała, dopiero gdy się z królową połączył i ona mu otuchy dodała swem mężstwem, odzyskiwał weselsze usposobienie. Pani była może uczeńsza niż niejeden kleryk, księgi czytywała chętnie, z ludźmi mądrymi rozma-



wiać lubiła, a miała dar taki ujęcia sobie wszystkich, iż jej nikt nie był nieprzyjacielem.

Do spraw krajowych nie mieszała się wcale na pozór, nie mówiła o nich, choć pono więcej warzyło jej milezenie, niż starej królowej matki namowy i prośby.

Ta bowiem pokoju synowi nie dawała, gorąco wszystko biorąc do serca, plotki wszelkie zbierając, podejrzewając ludzi, budząc trwogi, nakłaniając to do zgody, to do pomsty. Umysł miała taki i krew gorącą, która jej nigdy nie dawała spocząć. A ponieważ swojego czasu wiele czyniła i nawet kardynała umiała nakłonić na swą stronę, zdawało się jej, iż i teraz powinna królowi przewodzić. Szanował ją Kaźmirz i słuchał gdy mógł, ale był człowiek taki, którego przeciw jego przekonaniu nikt nie popchnął.

Zmłczał a swoje zrobił.

Zręczniejsza daleko młoda królowa wiedziała co można i trzeba, a że kochała męża, myśli też jego podzielała.

Król jednego dnia nie spróchnował nigdy, a jeśli miał spocząć, jechał na łowy zaraz, bo je bardzo lubił. Najmilszem mu było, gdy się mógł na Litwę dostać, ale go ztamtąd zaraz zazdrośni Polacy odwoływali. Wyrrywano go sobie, bo Litwa już oskarżała, że nadto Polsce się oddawał, a tu znajdowano, że za mało.

W tym roku po zjeździe w Korczynie, gdyśmy z królem i z królową na Litwę jechali, przyszła wiadomość, że pobożny Jan Kapistran zmarł na Węgrzech, po którym żal był wielki, ale go zaraz świętym okrzyknięto.

W Krakowie potwarz na króla nową rzucono za sprawę, do której on się nie mieszał wcale: Mikołaj z Turska, który się zwał scholastykiem krakowskim, z bratem swym stryjecznym Mikołajem z Gnojnik, też kanonikiem, zadarli się z kupcami tutejszemi. Mie-

szczenie im dowodzili, że sobie potajemnie aksamit i pieniądze jakieś przywłaszczyli.

Sprawa się stała głośną; mieszczanie wiedząc może, iż król z duchownymi w wojnie był, więcej sobie pozwalali niż kiedy. To być może. Odgrążano się na duchownych tych, a zamiast się udać z niemi do sądu duchownego, postanowiono obu obwinionych ułapić.

Oba Mikołajowie ci w klasztorze św. Franciszka przebywający, zasłyszawszy o tem, uciekli. Poczęto ich szukać, śledzić i 14 lutego w poniedziałek ująwszy w kryjówce, publicznie na ratusz zaprowadzono.

Zuchwali sędziowie na stan i suknię nie zważając, wnet na męki ich dali, aż się do pieniędzy i aksamitów przywłaszczonych przyznali.

Dowiedziała się kapituła, gwałt uczyniono ogromny, aby ich odzyskać. Króla w mieście nie było.

Mieszczanie ani słuchać chcieli posłańców kapituły. Zbyli ich ni tem, ni owem.

Ani się śniło nikomu, ażeby się ważono karę domierzyć. Tymczasem gdy kapituła woła i protestuje, rajcy nazajutrz rano do bramy Florjańskiej wyprowadzić kazali obu i mistrzowi ich ściąć, a tamże w miejscu pogrzebać.

Nigdy tak zburzonego miasta nie widział, jak tego dnia, gdy się to dokonało. Zuchwalstwo mieszczan było bezprzykładne, zmyślono więc, że król sam rozkazał ściąć winowajców, choć się on do tej sprawy nie mieszał, a mieszczanie się tak zawinęli żywo, że czasu nie było coś począć.

Nikt też nie przypuszczał, ażeby się na to ważyli.

Zaledwie się to stało, pod wieczór już kościoły wszystkie na mieście zamknąć kazał biskup, popieczętować, dzwony umilkły, nabożeństwa ustały.

Na rajców, ławników i mieszczan klątwę rzucono.

Dopiero się oni pomiarkowali ochłodniejszy, iż pełnili przestępstwo wielkie i że duchowieństwo przebłagać należało. Osobliwie niewiasty pobożne, chorzy, do których spowiednika nie można było uprosić, ani



chrztu, ani wesela, ani na śmierć wiatyku, poczęli lamentować.

Miasto przybrało żalobną postać. Gdy król potem powrócił, a rajcy szli do niego z prośbą, aby się przyczynił za niemi, rzekł im krótko.

— Samiście piwa tego nawarzyli, musicie go wypić. Ja jakom o tem nie wiedział wcale, tak i wiedzieć nie chcę. Wiem, iż mnie też oskarżają o współnictwo z wami, nie chcę, aby się ta potwarz potwierdziła.

Musieli więc mieszczenie sami do biskupa iść, ale ten z niemi mówić nie chciał. Dopiero nierychło w poście, gdy panów i króla sobie zjednali rajcy, a duchownych ujęli i skruczę okazali, interdykt zdjęto i kościoły otworzono.

Dnia tego, choć w poście, radość była wielka i świątynie wszystkie ludem się przepełniały.

Pod koniec roku jechaliśmy na Litwę z królem i królową, już po narodzinach pierwszego syna Kazimierzowego, z którego przyjscia na świat radość była wielka.

Piękniejszego dziewczęcia, jak powiadali wszysej, oczy ludzkie nie oglądały, a gwiazdziarze, którzy zaraz wróżyli z tego w jakim się znaku i konjunkturach narodził, powiadali, że miał panować szczęśliwie nad wielu krajami, co się po części sprawdziło. Dano mu imię Władysław, tak dla dziada, jak dla brata.

Odprowadziwszy na Litwę króla, gdy do Gdańska miał jechać, nas dwór swój większy nazad do Krakowa wyprawił. Jam był tak szczęśliwy, że m udrzwionego Gajdysa odwiózł i znowu ten dworek zobaczył, w którym mi moje dzieciństwo upłynęło.

Tak mi ono żywo przed oczyma stańło, i ta matka, która mnie tu dzieckiem do łona swego przyciskała, iż z Gajdysem mało nie codzień mówiłem o niej, twierdząc, iż jeśli żywa jest, nie mogła tej miłości dla dziecka się wyrzec i upomni się o mnie pewno.

Pamiętam, że stary naówczas głową potrząsając, odpowiedział mi:

— Zawiedziesz się na tem... Nie ja nie wiem, ale, jeśli żywa jest, więcej się ona dziś może lęka ciebie i radaby pozbyć, niż myśli miłować... Ale ty tego rozumieć nie możesz... Tyle ci powiem, abys jej nigdy nie szukał i o nią nie pytał... Nawet macierzyńska miłość może się zmienić w nienawiść.

Nie czując się winnym w niczem, zakrzyknąłem, iż to być nie może, a nie przeczuwałem tego, co mnie wkrótce czekać miało i spotkać.

Tu ze smutkiem i boleścią przychodzi mi przystąpić do opowiadania terminu życia mojego, który gdyby nie był prawdziwym, wydałby się mnie samemu do prawdy niepodobnym.

Wszystko to jednak, co mam spisać o owych czasach, nietylko zmyślonem nie jest, ale w pamięci mej słabiej się dziś maluje niż było.

Z Wilna część dworu odprawiwszy król, nas też pacholał kilku wysłał z Burezakiem. Pilno nam w powrocie nie było, więc małemi dniami ciągnęliśmy, niekiedy przystając i odpoczywając.

A że Burezak wcale dla nas surowym nie był, nam zaś w głowach młodych szalało, całą więc drogę tak przebyliśmy wesoło, ochoczo, przy porze pięknej, że rozkosz była o niej wspomnieć, a gdyśmy się ku Krakowu zbliżyli, niemal się serce ścisnęło.

Na zamku pustki wielkie znaleźliśmy, robić też nie było co, mogliśmy się zabawiać w podworceach uganając, dziryty rzucając, z łuku strzelając, koni próbując, a swawole młode wyprawiając.

Burezak pod czas i na miasto nas puszczał, z tem tylko, abyśmy powracali nim wrota zaprą, z czego ja korzystałem znajomych meich odwiedzając, czasem do ks. Jana zachodząc, bom go jak ojca miłowałem.

Dnia jednego gdym powracał już na zamek pod wieczór, patrząc naprzeciw mnie kroczy Sliziak, któ-



rego już dla niedźwiedziego zarostu byłbym w piekle poznał, a wstąpić miałem do niego.

Byłbym go rad uniknął i minął, ale zobaczywszy mnie drogę zaparł.

— Jam was już na zamku szukał! — odezwał się witając mnie i przypatrując mi.

— Dziękuję wam za to — rzekłem wesoło — jeżeliście się chcieli dowiedzieć jak mi się powodzi, pochwalić się wam mogę, że Bogu dzięki do najlepszego pana się na dwór dostał i mam trochę łaski u niego.

Slizak namarszczywszy się począł mnie badać, a ja tak głupi był, że powoli chwając się wyśpiewał przed nim wszystko, bardzo się tem czwaniąc, że król mi szczególną okazywał łaskę.

Jeszcze nie dokończył opowiadania, gdy na zamku otrąbywać zaczęto zamykanie wrót, pożegnawszy go więc pobiegłem co żywo.

Nazajutrz Slizak na zamek się przywłókł do mnie jakoś pod wieczór. Zasiadział się, zagadał i gdy już mrok padał, namawiał mnie począł, abym go do gospody odprowadził i wina się z nim osłodzonego napił.

Tak natrętnym był i nalegającym, że się w końcu zgodził na to, nie zważając na późną godzinę. Zeszliśmy na miasto do jakiejś gospody aż na Kleparzu, do której przybywszy, to tylko dostrzegłem, iż wóz kryty jeden stał zaprzężony, a konie posiadłane, jakby Slizak się wybierał pod noc w drogę.

Weszliśmy do izby, gdzie nam wina zasłodzonego wistocie podano we dwu kubkach. Choć słodycz czułem w nim, ale z jakimś smakiem takim zmieszaną, że mi nie szło przez gardło. Slizak pił i mnie konieczne zmuszał. Wychyliłem prędko kubek mój, nalał mi drugi, próżnom się wypraszał.

Jeszcze go nie dokończył, gdy poczułem w głowie zawrót jakiś i senność, aż mi się wstyd zrobiło. Czoło pocierałem rękami, oczy otwierałem siłą, kleiły mi się dziwnie.

W końcu straciłem przytomność zupełnie i ani już wiedział, co się zemną działo. Kamiennym jakimś snem usnąłem.

Gdy mi znowu zmysły powracać zaczęły, dziwnem mi się to wydało, że czułem iż leżę, a łożę ze mną na różne strony się przewala i waży. Z trudnością powieki nieco otworzyłem, ciemność panowała dokoła. Chciałem ręce podnieść i uczułem, że mocno były skrepowane.

Strach nadzwyczajny mnie ogarnął, nie wiedziałem co się dzieje ze mną, ani gdzie jestem. Nie mogłem przypomnieć sobie, jak się tu dostałem. Powoli do przytomności powracając, dorozumiewałem się, że mnie wieziono skrepowanego na wozie, a i usta miałem zawiązane tak, abym oddychać tylko mógł, nie krzyczeć...

Wóz zewsząd szczelnie zamknięty nie dopuszczał widzieć nic... przy mnie nie było nikogo. Słyszałem tylko tentent kilku koni, które zdawały się tuż iść, dokoła otaczając kolebkę.

Przypominałem sobie, okrutny ból głowy czując coraz mocniej, jak mnie niepocziwy ten Slizak ściągnął z zamku do swej gospody i winem poił.

Co ze mną potem uczynił i dla czego związał i wioził... tego pojąć nie mogłem. Byłem pewnym, że na śmierć wieziono mnie... aby się pozbyć... i przyszły na myśl przepowiednie starych Gajdysów.

Na odwadze i sile mi nie zbywało aby się ratować, lecz popróbowawszy więzy targać, przekonałem się, iż tego nie dokażę. Byłbym może je zębami rozgryźć się starał, ale usta miałem zawiązane.

Krzyknąć chciałem, a chusta głos mój tłumiała.

Jak dawno wywieziono mnie z Krakowa i jak długo podróż ta trwała — wyobrażenia nie miałem. Przez skóry, które wóz zewsząd osłaniały, przeciskało się bledsze, jakby wieczorne albo ranne dnia światelko. Głowę miałem rozbolalą i ciężką, ale sen już mnie nie brał, a łzy się z oczów lały.



Po niejakiem czasie stanął wóz, rozsunęły się skóry nieco, doszło mnie powietrze świeże i głowa w żelaznym hełmie pochyliła się nademną. Nie był to Slizak, ale człek nieznany mi zupełnie. Zobaczywszy, że oczy mam otwarte i twarz od krwi nabrzęklą, pogroził mi naprzód, zmarszczywszy brwi, a potem chustę mi od ust odjął.

— Milczeć! — rzekł groźnie — a nie, to cię ubiję.

Zawołałem prosząc wody, ale głos miałem tak słaby, że ledwie dosłyszał. Zasunął skóry znowu, powtórzywszy mi, abym milczał i poszedł. Wkrótce powrócił z kubkiem wody i napił mnie, nie rozwiązując. Zacząłem jęczeć i narzekać... kazał milczeć. Ulitowawszy się jednak, na rękach mi cokolwiek sznurów popuścił.

Wóz stał, snąc konie popasały. Zdało mi się, że nad ranem być musiało. Ludzi kilku krzątało się dokoła, słyszałem rżenie koni.

Po niejakiem czasie ten sam, który mi wodę podawał, wrócił... zajrzał znowu do mnie i spytał, czy jeść nie chciałem. Nie myślałem wcale o jedzeniu, czułem się chory i znękany, nie pojmując, co się stało ze mną i co mnie czekało.

Zacząłem go pytać... ale wnet mi usta zamknął, nakazując milczeć i grożąc.

Po krótkim wypoczynku usłyszałem, jak zaprzęgano znowu konie i wóz ruszył. Jechaliśmy tak cały dzień następujący, a ja ze zmęczenia, strachu i smutku uczułem się tak chorym, że pod wieczór stracił przytomność. Przypominam sobie tylko, że ludzie się około mnie krzątali, rozwiązyli, położyli wygodniej, mówili coś do mnie, poili wodą, podnosili głowę, która straszliwie bolała, a w końcu jeden z nich na wóz siadłszy, trzymać mnie musiał, bom się w gorączce rzucał i wyrzywał.

Jak przez sen, widziałem nieznane twarze wasate, ludzi jakichś... potem ciemności tylko i bólesci pamiętam wielkie.

Gdy przytomność odzyskiwać poczyniał i otworzywszy oczy mógł rozpoznać co się ze mną działo, znalazłem się na łóżku w małej izbie sklepionej. Stara kobieta z kądzielą w ręku, przedąc i drzemiąc, siedziała nademną.

Izba, w której się znajdowałem, dosyć czysta, otoczona ławami, w ścianach murowanych miała mnóstwo szaf i półek. Przy łóżku mojem był stół a na nim miski, kubki i garnuszki. Naprzeciw spostrzegłem kilka wychodów idących w górę ku drzwiom głęboko w mur wpuszczonym. Jedno okno zakratowane, wysoko wpuszczało światło.

Dokoła cisza była grobowa, tylko wrzeciono w rękach staruszki siedzącej przy mnie chwilami warczało. Zwolna zaczęło mi się w głowie wyjaśniać, przypomniało coś... porwanie, podróż, Kraków. Westchnąłem mocno.

Natychmiast baba siedząca przy mnie odstawiała kądziel, wzięła kubek i chciała mnie poić... ale odepchnąłem napój.

Schylona przypatrywała mi się długo, mruczając coś. Po chwili zapytała, czy głodu nie czułem. Ja sam jeszcze nie wiedziałem w tem przebudzeniu, do życia czego mi było potrzeba.

Zacząłem od pytania — gdzie byłem, co się ze mną działo, bo to najpilniejszym było. Nie dała mi mówić nic, a odpowiadać wcale nie chciała. Z kolei podawała kubek, przyniosła z komina w kącie miskę z polewką mięsną i chleb, pokazując mi je... a widząc, że nie chcę nic, siadła spokojnie prząść, nie spuszczając mnie z oczów.

Po krótkim namyśle jednak, postawiwszy kądziel, wdrapała się na wschodki ku drzwiom i wyszła, zamykając je za sobą. Zostawszy sam, śmieiej się począłem rozpatrywać po izbie, spróbowałem podnieść się nieco, ale był tak osłabły i zbolący, że zaraz nazad na łóżko opadłem.



Baba po jakimś czasie wróciła i przyszła kusić mnie znowu jedzeniem tak, że nareszcie polewki się napiłem trochę, co mnie pokrzepiło; ale potem sen przypadł znowu, i nie wiem, jak spałem długo.

Zdawało mi się, że czasu tego snu szeptało nademną i pochylano się, alem przebudzić się nie mógł.

Nieruchło dopiero otworzyłem oczy, czując się silniejszym nieco i głodnym. Stara baba owinięta w płachtę opodal siedząc, spała w kącie, a przy niej garnek stał z łyżką. Przez okno otwarte wchodziło świeże powietrze i promień wesoły słońca. Za niem słyszałem świergotanie ptaszków.

Podniosłem się na łóżku. Wtem i stara się przebudziła, oczy przetarła, a zobaczywszy mnie siedzącym, przyszła pośpiesznie. Nie opierałem się już teraz jedzeniu i przyjąłem miskę mi podaną z polewką i trochę mięsa. Chleb też mi smakował.

Stara pogłaskała mnie po głowie, wskazała, ażebym leżał, i na moich kilka pytań tylko niezrozumiałem odpowiedziała mruczeniem.

Siły mi teraz jakby cudem powracały, ale straszny niepokój i nieświadomość mojego losu dręczyła.

Ani tego dnia, ani następnego, oprócz starej, co mnie pilnowała, nikt nie przychodził. Od baby nie się dopytać nie było można. Służyła, karmiła, poila, pilnowała... ale na pytanie odwracała głowę i niecierpliwie nakazywała milczenie.

Po tych dwu dniach zapragnąłem z łóżka wstać. Baba się nie sprzeciwiała, sama zaś wyszła precz i słyszałem, jak drzwi za sobą na zamek spuściła.

Przyodziałem się pośpiesznie, chcąc wyrzeć, aby zmiarkować gdzie się znajdowałem... okno jednak tak było wysoko, że do niego się dostać nie mogłem. Izba choć nie tak była nędzną, jak więzienia, ale czyniła mi więzienne wrażenie.

Za co mnie tu zamknięto! jak to długo trwać miało? Bóg jeden wiedział. Siadłem płakać na wschod-

kach do drzwi zamkniętych wiodących, gdy te się otworzyły i w nich się Sliziak pokazał.

Wstałem wpuszczając go i rzuciłem się nań, wybuchnąwszy płaczem.

— Coś ty zrobił ze mną? za coś ty mnie niewolnikiem uczynił? Co ja ci winienem?

We wzburzeniu tem począłem mu nawet grozić.

— Ty nie wiesz, że sam król się mną opiekował, że miał u niego łaskę wielką. Szukać będą za mną i nie ujdzie bezkarnie.

Sliziak moich wymówek słuchał zupełnie spokojnie.

— Hm — rzekł — tyś sobie sam tego nawarzył, ty sam. Więcej ci nie powiem, bo to do mnie nie należy. Sługą jestem, robię co mi kazano. Nie burz się nadaremnie i nie zrywaj, bo to nic nie pomoże. Siedzieć tu musisz, taka twoja dola.

A po chwili dodał szyderczo, jakby na wpół sam do siebie.

— Kto to wie? może dlatego właśnie, że król na ciebie łaskaw, spotkała cię ta niewola. A no... siedź i nie rwij się darmo, bo wyjść nie możesz. Mury grube.

Zacząłem płakać, rzuciwszy się na ławę. Nic to nie pomogło, Sliziak obojętnie patrzył i powtarzał.

— Głupi.

Wyszedł w końcu, ale za sobą drzwi nie zasunął. Zmiarkowawszy to, zaledwie miał się czas oddalić, rzuciłem się ku nim. Otwarty się. Za niemi był korytarz pół-ciemny z małemi okienkami, jak strzelnice, a obok izby, w której ja siedziałem, dwie do mojej podobne. Z korytarza wyjście znalazłem zaryglowane i to mi wytłómaczyło, dlaczego drzwi moich Sliziak na klucz nie spuścił.

Z tych izb sklepionych, jak moja, jedna wyżej leżała, niżej druga. W pośrodku znajdowała się ta, w której mnie osadzono. Z wyższej, pustej, że okno w niej niższe było, wychyliwszy się mogłem zobaczyć cokolwiek. Mur był z kamieni i cegły bardzo



wysoki, spadający w głąb' zarosłą krzakami, między którymi woda przeblyskiwała.

Głębina ta ciągnęła się szeroko, a naprzeciw widać było brzeg kamienisty, odarty, nagi góry jakiejś drzewami zarosłej. W prawo i w lewo mur tego zamku, gdyż poznałem, że to było zamczysko wielkie... rozciągał się daleko, a potem zaginał i na rogu sterczała jakby wieżyca, której tylko stopy mogłem dojrzeć.

Pod oknem, jak przepaść czarna, wydawał się ów przekop, w którym mruczenie płynącej wśród krzaków rzeczki dosłyszeć było można.

Na brzegu przeciwnym gęsty las, piękny, stary, nie ukazywał ani śladu ludzkiej stopy. Puszcza jakaś była dzika. Gdy oknem wydobywszy głowę przysłuchiwałem się, czy na tym zamku nie pochwycę jakiego głosu, znaku życia, ruchu... oprócz szmeru rzeczulki w dole, nic nie mogłem usłyszeć. Głuche, straszne milczenie panowało dokoła.

Ponieważ z mojej izby do okna nie było przystępu, a tu przynajmniej choć drzewa mogłem widzieć i kawałek nieba, nie chciało mi się oderwać od tego widoku.

Tu mnie zwieszono w oknie otwartem zastała baba i gwałtem prawie do izby pierwszej odprowadziła, choć prosiłem się jej, abym tu mógł pozostać.

Ten tylko pojmie, co to jest niewola w młodych leciach, gdy człowiek ruchu, swobody, powietrza potrzebuje, kto był jej w tym wieku pozbawiony.

Skazany być na bezczynność i milczenie, na półdziecku, nawykłemu do biegania i do wesołych towarzyszeń, śmierci się równa.

Stara pilnująca mnie, czy z natury była milczącą, czy też miała sobie nakazane, aby nie rozmawiała ze mną, na natrętne pytania odpowiadała znakami niecierpliwości, gniewu i groźbami.

Służyła chętnie, ale potem zatapiała się w swej

kądzieli i wpatrzona w nią, zdawała się do niej coś szeptać, z nią się pieścić. To jej starczyło.

Sliziak też nie przychodził; siedząc po całych dniach, drzemiąc i płacząc, zdawało mi się, że tak marnie zezeznę w tem więzieniu. Miałem nożyk u pasa, który się znalazł, począłem z drzewa przynoszonego do komina strugać, ale com wyrzeźbił, tom ze złości kruszył. Baba nawet do drugiej izby, do okna; gdy się jej prosił, nie puszczała.

Przeszły tak dni kilka. Przyszedł wręście Sliziak. Mnie z tej rozpaczmyśli najróżniejsze po głowie się snuły. Z nudów mi się przypominało, jakem w Rzymie u Dominikanów widział braciszków kaligrafujących i malujących rękopisma. Naówczas patrzałem na to ich zatrudnienie z politowaniem; ale teraz zdawało mi się, że szczęśliwym byłbym, gdybym choć to mógł robić, a czemkolwiek dni długie jak wieki skrócić.

Wpadłem na Sliziaka zaraz, że jeżeli mnie uśmiercić nie chcą, choć oknem na świat powinni mi pozwolić wyglądać z dzugiej izby, a potem zażądałem inkaustu i choć papieru, aby z nudów nie zdechnąć. Stary mruk wysłuchał tych moich próśb cierpliwie, nie odpowiedział nic, popatrzył na mnie, znajdując, że mi zdrowiej z oczów patrzyło... i poszedł, nie nie przyrzekając. Znowu dzień upłynął jak pierwsze. Sliziak dopiero trzeciego nadszedł. Izby zamienić nie chciał, ale czasem do okna pójść pozwolił. Nie było niebezpieczeństwa, bo pod nim głębina okrutna się znajdowała, a w niem krata wmurowana w kamienie, gruba i mocna sterczała. Najwięcej mnie jednak uradowało, że inkaust i papier obiecywał, a nawet księgę jakąś do przepisywania. Ale kiedy to miało przyjść, nie mówił.

Nigdy wielkiego ani do ksiąg, ani do pisania, ani do siedzenia za stołem pociągu nie miał... ale teraz com mógł czynić??

Na tę obietnicę Sliziaka bardzo czekać musiałem...



ani skutek jej; ani on się nie pokazał. Natomiast przygodziło mi się coś takiego, co mnie i strachem i ciekawością o mało znów nie przyprawiło o chorobę.

Nie mając co czynić, po całych dniach na ławie siedząc, to na łóżku polegiwając, często drzemałem godzinami, a gdy przyszła noc, sen albo mnie odbiegał, albo był tak niespokojny, że lada najlżejszy szelest rozbudzał.

Wśród tych milczących murów pustych, gdy przyszły ciemności, nadeszła noc, trwogi się budziły czasem nieopisane, jakichś zjawisk, o których się nieraz nasłuchało. Przywidywało mi się, że słyszał jęki, że mnie dochodził dźwięk kajdan z głębi tego parowu, który widziałem z okna. Budziłem się, krzycząc i lękając jakichś widm, szatanów i upiórów. Dopiero nad ranem, gdy świtało, zasypiałem snem twardym.

Jednej nocy, kiedym leżał w tych męczarniach; zdawało mi się, że w istocie w korytarzu chód słyszę, potem u drzwi szelest widzę i światelko. Otwierają się one. Na wschodkach postrzegam wysoką, całą obwieszoną zasłoną postać, w sukni długiej, z lampką w ręku.

Krzyknąłem przeraźliwie, baba się zbudziła i zerwała; postrzegła wchodzącą i przybiegłszy do mnie, zasłoniła mi usta ręką.

— Milcz! milcz! — poczęła groźnie.

Wolnym krokiem widmo to zaczęło się zbliżać ku mnie. Lampkę postawiło na stole.

Nie mogłem rozpoznać ani twarzy, ani nawet postawy, bo cała była owinięta chustami, a głowę miała tak osłoniętą, iż rysów wcale widać nie było.

Drżałem cały ze strachu. Baba dawała mi znaki a sama stała, jakby na straży. Widząc, że ta stróżka moja w zjawisku nie nadzwyczajnego nie widziała i ja się uspokoiłem nieco. Zwróciłem oczy na zakwefioną niewiastę, gdyż ze wszystkiego widać było, iż nią być musiała.

Nic nie mówiąc, podniosła ona lampkę ze stołu

i oświeciła nią twarz moją, popatrzyła długo i zerwała się z jakąś grozą i oburzeniem. Wstała z ławy i odeszła zadumana. Chwilę trwało to... widziałem ją jakby w osłupieniu stojącą.

Ochłonawszy nieco, dopiero teraz zmiarkowałem, że może ta niewiasta straszna los mój miała w swym ręku.

Nie odzywała się do mnie.

Wyciągnąłem ręce i począłem jęczeć.

— Za co mnie więzicie? za co zabijacie? Nikomum w życiu złego nie uczynił nic. Com wam winien!

Tupnęła na to niecierpliwie nogą. Nagle jakby jej myśl przyszła jakaś, rzuciła się ku mnie, na mnie. Chwyciła za gardło i nim się mogłem zasłonić rękami, porwała na szyi wiszący krzyż, dany mi przez matkę, usiłując go zerwać.

Był to największy w świecie skarb dla mnie, którego bodaj życiem bronił. Zaledwie się domyślił, czego chciała, gdy tak gwałtownie oparłem się jej i począłem odpychać ją, że nareszcie ustąpić musiała.

W czasie tego krótkiego pasowania się ze mną, na które przestraszona baba patrzyła z załamanemi rękami, słowo się jej z ust nie wyrwało. Czulem tylko oddech gorący i jakby zębów zgrzytanie.

Wyrwawszy się z rąk jej, uciekłem w przeciwny kąt izby. Popatrzyła na mnie, chwyciła lampkę i wyszła, trzaskając drzwiami.

Długo potem przelekleć uspokoić się nie mogąc, nie szedłem do łóżka. Obawiałem się jakiej zdrady, podstęp, gwałtu, a krzyżyka mego postanowiłem bronić, choćby życie stracić przyszło.

Rozedniało jednak, nie zjawił się nikt i nocna owa przygoda wydała mi się po dniu jak zmora jakaś senna.

Następnego dnia przyszedł Sliziak. Niósł z sobą co przybiecał: papier, inkausty, pióra i gruby rękopism, do którego poskoczyłem ciekawością zdjęty.



Były to objawienia św. Brygitty, które już u ks. Jana widywałem.

Ledwie począł się skarżyć Sliziakowi na napaść nocną, gdy mi wnet zamknął usta.

— Sniło ci się — rzekł — milez.

Nie dał mi mówić nic, wyszedł precz.

Następnej nocy anim się kładł, anim myślał spać; na kominku przyłożyłem ognia, aby się cokolwiek świeciło i siedziałem w trwodze, czy to straszne widmo znowu mi krzyżyka nie przyjdzie odbierać. Ale noc długa przeszła spokojnie. Wrażenie strachu tego zwolna się zacierało zaczęło.

Wziąłem się do czytania naprzód objawienia św. Brygitty. Nie szło to łatwo, bo rękopism był drobnymi głoskami pisany ze skróceniami, a jam wprawdy wielkiej nie miał. Ale już po kilku dniach postrzegłem, że mi coraz zaczynało iść lepiej.

Z papieru miałem tę korzyść tylko, że zamiast pisać na nim, przypomniałszy sobie widziane w Rzymie rysunki, które młodzi mnisi na marginesach barwami różnymi i złotem wykonywali, choć nie miałem innych farb oprócz rubrum i inkaustu, i ja też próbować począłem piórem nakreślać. Niezgrabnie to szło, ale ptaszki i kwiatki po dziecinnemu mazać próbowałem. Czas przechodził. W rękopiśmie objawień było kilka liter wielkich malowanych, a każda księga w nagłówkach miała malatury i marginesy. Siedziały też na nich ptaszki na gałęziach i kwiaty różne się plątały, razem z godłami Męki Pańskiej. Wziąłem się do naśladowania tych rysunków.

Ja, com się tak dawniej wszelką kancelaryjną robotą brzydził, teraz Panu Bogu za nią dziękowałem. Czytanie też św. Brygitty przeniosło mnie jakby w świat inny. Uczułem się lichym i maluczkim, choć nieszczęśliwym, lecz gdybym najwięcej cierpiać, nie godziło mi się narzekać na doleg moją, porównując ją z męczennictwem samego Boga. Poznałem naówczas, jak wielkiem dobrodziejstwem księga być może. Sliziak

dawszy mi raz, o co prosiłem, ani się pokazywał więcej. Zjawisko też owo nocne nie powróciło.

Miałem na myśli teraz, gdyby stary przyszedł, odezwać się do niego z tem, że przecie winowajcom nawet Mszy św. słuchać i spowiadać się pozwalają, za cóżbym ja miał tej pociechy być pozbawionym? Obrachowywałem sobie, że do kościoła jadąc, czy idąc, mógłbym sobie może radzić, a księdzu na spowiedzi skarżyć się na ucisk.

Lecz Sliziak się nierychło zjawił. Zdawało się, jakby o mnie zapomnieli wszyscy. Stara nawet, która mi posługiwała, na klucz mnie zaparłszy, szła precz, a jedzenie tylko przynosiła. Nocą zaś w innej izbie się kładła od niejakiego czasu.

Nadeszła zima. Nic się nie zmieniło. Ale jak człowiek do wszystkiego w świecie nawyka, na wszystko powoli obojętnieje, tak i ja w tej niewoli mogę powiedzieć, odtętniałem.

Zjawił się w końcu Sliziak o kiju, zgarbiony, jakby z choroby ciężkiej dopiero wstał. Prawie go z radością powitałem, choć nienawidziłem człowieka tego, widząc w nim przyczynę wszelkich nieszczęść moich.

Zaledwie siadł, gdym rozpoczął to, do czego się przygotowywałem, żądając kościoła i księdza.

Było to tak słusznem i naturalnem, iż słowa przeciwnie nie umiał znaleźć.

Gdym naglił i naciskał, zamruczał:

— Jam tu nie pan, ja robię co mi każą; nie mogę nic.

— Powiedzieć o tem tym co mogą! — zawołałem. — Zabić na ciele może kto się Boga nie boi, ale na duszy zabijać straszniejsza odpowiedzialność jeszcze, za to rozgrzeszenia nie ma.

Stary zbył mnie milczeniem.

Zdaje się, że wysłanym był, aby odemnie rękopism objawień odebrać, ałem powiedział wręcz, że nie dam póki innego mieć nie będę.

Sliziak, który jak sam się przyznał, w istocie z cho-



roby powstał dopiero, obojętnym jakiś był, zastygłym, nie sprzeczał się. Wystuchał com mówił, głową trząsał, poziewnął kilka razy i wyszedł.

Znowu długi czas go nie było. Obawiałem się już aby nie zmarł, bo możebym wcale nikogo potem nie widział. Z babą stróżką się rozmówić nie było sposobu, nie mówiła nic, a zmuszona krzyczała parę słów i uchodziła.

Tymczasem na mnie i odzież potargana w podróży zaczęła mi się padać i zużywać, bom ją we dnie nosił, a na noc się okrywał. Nikt na to nie zważał, nie pytał nikt.

Nie morzono mnie głodem, prawda, żyć mogłem tem co mi przynoszono, ale to była strawa licha, nędzna, zastygła, a nikt o mnie starania nie miał najmniejszego. Baba, której musiano zakazać rozmawiać ze mną, obawiała się, patrzyła z ukosa i uciekała; Sliziak gdy przychodził jakby po to tylko, aby się przekonać czy jeszcze żyję.

W tem opuszczeniu i nędzy mojej, zostawiony sam sobie, czytając tylko księgę pobożną a znękanym będąc, całym duchem zwróciłem się ku Bogu, wzywając jego ratunku. Zdawało mi się, że modlitwy niewinnego prześladowanego stworzenia przebijają niebiosy i cud jakiś sprawić muszą. Wymyślałem więc sobie, przypominając com po świecie widział, w podróży z ks. Janem, w Rzymie, nabożeństwa osobliwe, posty i umartwienia.

Zrobiłem sobie krzyżyk z prostego drzewa i powiesiłem nad łóżkiem. Zrana klękałem na modlitwę i znaczną część dnia spędzałem na klęczkach.

Przychodząca baba najczęściej mnie znajdowała albo na ziemi leżącego krzyżem, albo przed krzyżem moim na gorącej modlitwie.

W końcu tak mnie całego objęło to nabożeństwo i w niem taką znajdowałem pociechę, że prawie nic więcej nie robił, tylko powtarzał pacierze i modlitwy jakie umiałem, a nawet sobie sam nowe ukła-

dałem i potem starałem się spisywać. Ale po polsku nikt nas wówczas pisać nie uczył, więc gdy przychodziło co się mówiło przenosić na papier, szło i źle i trudno.

Za każdym razem, gdy Sliziak przychodził, dopominałem się o kościół i księdza, nie mi nie odpowiadał.

Tak upłynęła zima, i ku wiosnie się brało, ale ja lik dni i miesięcy zgubił, a widząc, gdy się czasem wyrwałem do górnej izby, przez okno drzewa w pączkach i wierzby w kotkach, domyślałem się, że Wielkanoc, to wesołe wiosenne święto się zbliżało.

Jednego dnia, gdym właśnie krzyżem leżał na modlitwie i płakał, otworzyły się drzwi i po wschodkach zobaczyłem wychudłego jak szkielet człowieka, w długiej czarnej sukni. Z czapki i różańca w ręku poznałem w nim duchownego.

Nie był on bardzo stary, ale nigdy w życiu nie widział nikogo, coby jak on miał tylko skórę i kości. Z pod skóry pomarszczonej i obwisłej żyły tylko narzmięte widać i policzyć było można. Tak samo twarz niemal do trupiej głowy była podobna, bo zębów nie miał, usta szeroko zapadłe, a oczy głęboko osadzone.

Uradowałem się wielce zobaczywszy go, jakaś nadzieja mi w serce wstąpiła, lecz gdym oczy podniósł ku niemu, takim mnie przeszył wzrokiem, że m zdętniał. Pocałowałem go w rękę, siadł na ławie spokojnie i długo mierzył mnie oczyma.

Zdawało mi się, że go wzruszę i obudzę w nim litość opowiadając mu o sobie.

— Ojcie mój! — zawołałem — zlitujcie się nademną, ratujcie mnie. Niewinnego mnie porwano gwałtem, więżą i karzą bezprawnie!

Nie dał mi mówić więcej, namarszczył brew.

— Cicho! — rzekł — co ty wiesz? ażali ci co cię więżą prawa nie mają? Większe może niż kto inny.



— Ojcie, to być nie może! Król jest moim opiekunem! Ja jestem sługą jego.

— A! król! król! — chmurno począł ksiądz — ten bezbożnik, ten sługa Baala, ten świętokradzca, co duchownym chce rozkazywać i kościoły ograbia... król! Wkrótce on nad nikim i żadnego prawa mieć nie będzie, pójdzie boso z postronkiem na szyi całować stopy tych biskupów, którym swoją wolę tyrańską narzuca.

Z wielką namietnością i gniewem wyrzeczone słowa te usta mi zamknęły, rozlałem się we łzy i niemięzko płakać zacząłem.

Ksiądz patrzył na mnie z obojętnością tych ludzi, co przywykli patrzeć na cierpienia, już się nawet nie litują nad niemi.

Chwila tak upłynęła. Rzuciłem się całować go po rękach, które mi wrywał, i począłem błagać go, aby się wstawił za mną, by z niewoli tej ratował.

— To nie w mocy mej—odparł.—Skazał cię Bóg na los ten, znoś go cierpliwie, obróć cierpienie na zbawienie.

Potem widząc, że nie utulić nie mogłem, modlitwę odmawiać zaczął, rozkazując mi ją powtarzać za sobą.

Gdy się ta skończyła, znówum powrócił do błagania go. Dał mi mówić długo.

— Wolnym chcesz być?—odparł—a wiesz, że ty czybyś nim zostawszy nie był potem zakalą i przyczyną wstydu i sromu a nieszczęścia dla tych, którym życie winienes? Mówisz, że rodziców swych chcesz znać, bo ich nie znając miłujesz, a wiesz ty, czy ta miłość nie byłaby dla nich potępieniem i nieszczęściem. Jeżeli miłujesz ich, toś się rzec powinien i ani myśleć szukać ich na świecie. Masz ojca w niebiesiach.

Gdy na to milczał, ksiądz powoli mówić zaczął.

— Jeżeli kiedy wolnym być możesz, to nie inaczej, aż na krzyżu, przyjmując ciało i krew Pańską

poprzysięszes, iż z kraju się oddalisz na zawsze, nigdy nie powrócisz do niego i zapomnisz nawet młodości i pochodzenia swojego.

Spojrzał mi w oczy badająco, ale nie odpowiedział nawet. Takiej przysięgi złożyć nie chciałem. Głową potrząsałem.

— Danoby ci na to środki, abyś precz z Polski mógł wyjść i do klasztoru wstąpić — mówił dalej. — Rozmyśl się, gdy przysięgę złożysz.... któż wie? zmiękcza się może serca, zjednasz litość.

Odwrociłem rozmowę, dopraszając się już tylko spowiedzi i komunii świętej, wysłuchania mszy świętej.

Nie przyrzekł mi nic i nie odmówił, zdało się jednak jakby litość go poruszyła nieco. Słowa były surowe, ale głos łagodniejszy. Mówił o poddaniu się woli Bożej jeszcze, potem wstał, przeżegnał mnie i wyszedł.

Zostałem sam. Nie wiem już jak i zkad w moim ucisku i niedoli wzięła się we mnie moc taka, że przysięgą żadaną nie chciałem okupić swobody.

Ale gdy po wyjściu księdza pomyślałem o tem, że musiałbym się w kraju obcym zagrzebać w klasztorze, takim więzieniu, jak to, w którym siedziałem, wołałem już niewolę tę, bo w niej mi zawsze jakaś nadzieja wyzwolenia cudem błyskała.

W kilka dni ksiądz powrócił. Mówił mi prawie toż samo co wprzód, nie odpowiadałem mu prawie. W końcu spowiedzi mnie wysłuchawszy, obiecał, że nazajutrz do dnia mszy świętej słuchać będę i komunię otrzymam.

Zasnąć nie mogłem tej nocy, tak nadzieja wyjścia choć na chwilę z tego więzienia przejmowała mnie radością jakąś. Była to w mém życiu jednostajnem zmiana przynajmniej chwilowa.

Zaledwie na brzask się miało, gdy zaszłapały kro-



ki czyjeś podedrzwiami, otworzył je Sliziak niosący kaganek w rękę i zawołał:

— Chodź a pamiętaj, że jeśli się poważysz krok zrobić odemnie i zechcesz uciekać, ubiję cię na miejscu.

Z kurytarzyku wyszliśmy na powietrze, ale droga prowadziła chodnikiem pod murem wysokim okólnym ze strzelnicami. Z drugiej strony stała wysoka, bez okien ściana zamkowa. Minęliśmy furt kilka, narreszcie jedną Sliziak otworzył, wszedł sam naprzód w bramę ciemną, wpuszczał mnie, zaryglował ją i pociągnął z sobą w podwórzec zamku ciasny, jak studnia wysokimi otoczony murami, piętrzącemi się do góry. Żywej duszy tu widać nie było. Po wschodkach kazał mi z sobą na górę.

Drzwi znalazłszy otwarte, weszliśmy do malej zakrystyi, w której nikogo nie było oprócz znajomego mi księdza. Ten klęczał przed krzyżem i modlił się. Gdyśmy weszli, dokończył modlitwę, odwrócił się i spytał czy do mszy służyć umiem.

Nie mógł o tem wątpić, bo w każdej szkółce przecie od tego się niemal poczynano, że nas ministrantury uczono. Zamiast odpowiedzi, przykląkwszy wziąłem się zaraz pomagać mu do ubrania.

Przez drzwi ciasne z zakrystyi widać było ciemną, sklepioną, wysoką kapliczkę małą; z jednym ołtarzem w głębi, nad którym wisiał na krzyżu ukrzyżowany Chrystus, czarny, tylko duża srebrna korona świeciła mu na skroni i srebrne serce na przebitym boku.

Przy ołtarzu stały już ampułki i dwie żółte się świece woskowe paliły.

Chciałem pociągnąć za dzwonek gdyśmy z zakrystyi wychodzili, ale sznurka nie było. Kaplica stała pusta, czarna jak grób. W drzwiach zakrystyi klął tylko Sliziak. Mimowolnie potem oczyma potoczyłem po ścianach.

Tuż przy ołtarzu dwa grobowce kamienne ze ścia-

ny wystawały. Na jednym leżał wykuty mąż we zbroi sparty na rękę, z brodą długą; na drugim była niewiasta z nogami na psie spartemi, z różańcem w rękę. Gdym się ukradkiem przypatrywał im, nad pomnikiem grobowym postrzegłem okno, ale nie musiało ono wychodzić na podwórze, bo stało ciemne. Mignęło mi coś za niem, jakby białe zawicie głowy niewieściej.

W kaplicy panowała cisza taka, że ksiądz mszę odprawujący i ja nie śmieliśmy jej głośniejsze się odzywając przerywać. Dzwonek, który znalazłem pod ręką, dzwieniał zaledwie.

W czasie podniesienia jakby z tych grobowych kamieni nagle płacz i łkanie a jęk gwałtowny dał się słyszeć. Widziałem jak ksiądz drgnął. Sliziak się zerwał na nogi, a ja wylekły przypadłem do ziemi. Zkąd to szlochanie przejmujące pochodziło? nie wiem, ale nagle urwane i stłumione jakby siłą, ucichło.

Dziwnym sposobem płacz ów z grobów mnie też do łez pobudził. Poehylony na stopniu ołtarza płakałem tak nie mogąc się utulić, że gdy ksiądz się do mnie z komunią obrócił, musiałem twarz obłąną całą ocierać.

Skończyła się msza, wróciliśmy do zakrystyi, w której drzwiach Sliziak stał, a gdym księdza rozebrał, skinął na mnie i wyprowadził z sobą. Dzień się był większy w czasie mszy zrobił. Mogłem się teraz przypatrzeć lepiej murom, ścianom, kamieniom, bo więcej nic do widzenia nie było.

Głazy te przed wieki musiały być niegdyś wmurowane w ściany wysokie, bo na nich pleśń, mech i miejscami trawy rosły. Wąskie okna z kratami, otwory czarne, na podwórce kilka ogromnych kul kamiennych, nic więcej nie zobaczyłem. Tą samą drogą Sliziak słowa nie mówiąc zaprowadził mnie do więzienia mojego i zamknął w niem.

Zapewne litościwemu wstawieniu się księdza za



mną winien byłem, że tego dnia mi jedzenie lepsze przyniesiono, chleb bielszy, któregom nie widział dawno.

A potem — poszło znowu wszystko trybem swoim.

Ponieważ bawiłem się ciągle około papieru i rękopismu, który mi dano, a z okna w górze umieszczonego światła mało padało, począłem się prosić do drugiej izby, w której niżej okno było, abym tam choć we dnie mógł siedzieć. Baba sama na to pozwolić nie chciała, ale drugiego dnia zgodziła się.

Miałem tu tę pociechę, że w oknie siedząc, przez kraty mógł patrzeć na las, na drzewa, które właśnie zielenieć poczynały.

Mało co tu widać było, ale dla mnie starczyło tego. Wiało powietrze, dochodziła woń liści i trawy, mruzczała woda, przelatywały jaskółki, świergotały wróble. Czasem gdym dalej odszedł, ptaszyna jaka siadała na zrubie okna, a to mi taką sprawiało radość, jakby ona z dobrą jakąś przychodziła wieścią.

Najczęściej jednak w oknie przesiadywałem, głowę między kraty wsadzając, aby dalej wyjrzeć i odechnąć powietrzem.

Oprócz drzew i ptastwa, nie było tu nigdy innego widoku. Las na przeciwnym brzegu stał głuchy i pusty.

Wiosna spóźniona, teraz z dnia na dzień się żywiej zielenieć śpieszyła. Witałem liście. Wieczorem, gdy zmierzchało, baba przychodziła po mnie i zabierała nazad do izby pierwszej, z której nic widać nie było.

O południu jednego dnia, a była niedziela, bom to mógł poznać po stróżce mojej, która wdziawała na święto bieliznę świeżą i zawiązywała głowę chustą czerwoną, siedziałem jak zwykle osłupiały oknem patrząc na brzeg przeciwny i drzewa, gdy — cud! mignęło mi jakby się tamtędy dwu ludzi przeciskało gąszczami.

Wychyliłem się cały z ciekawością niewysłowioną,

z sercem bijącym. Nie myliłem się. W istocie nad samym brzegiem, powoli szło dwóch ludzi, oglądając się na zamek pilno.

Przekop i rzeczka nie były bardzo szerokie, a ja wzrok miałem zawsze doskonały. Dostrzegłem zaraz, iż nieproste chłopcy to byli, ale jakby myśliwi co się zablakali. Prawie jednostajnie ubrani z mieczykami u boku, w czapkach takich właśnie jakie u dworu noszono, wydali mi się młodem i jakby obcemi tu, bo szli wolno, rozglądając się pilno, stając, naradzając, ukazując na mury.

Myślałem, że mi się śni czy w oczach dwoi, gdy lepiej się przypatrując im, zdało mi się, że poznaj obu dworzan królewskich, których widywałem co dzień, i byłem z nimi najlepiej.

Byłbym przysiągł, iż nie kto inny był, tylko Zadora z Bnina i Maryanek z Borów.

Ale jak i zkądby się tu oni wziąć mogli, Boże miłosierny!

Sam nie wiedząc co czynię, nietylko głowę, ale ilem mógł piersi wychylić przez kratę, wysunąłem za okno i huknąłem.

Przestraszyłem się potem sam, gdy głos ten mój odbity od murów rozległ się po okolicy. Zadora i Maryanek stanęli nad samym brzegiem oczyma szukając zkąd głos pochodził. Zdaje się, że Borowski mnie pierwszy zobaczył i ręką wskazał w tę stronę, na co ja też odpowiedziałem.

Ale w tejże chwili usłyszałem chód w korytarzu i ledwie czas miał wydobyć się z kraty, przypaść do stołu i za papier pochwycić.

Baba weszła oczyma przestraszonymi patrząc na mnie, jakby krzyk mój posłyszała, ale zobaczywszy siedzącego spokojnie i schylonego nad stołem, przeżegnała się tylko i odeszła.

Gdym potem wrócił do okna, już tych dwu na przeciwnym brzegu nie było.

A tu muszę słowo o nich powiedzieć, bo na dwo-



rze pańskim nie miał Kaźmirz ludzi coby mu byli oddani tak jak oni. Zadora takim był, że nigdy nie pytał co król chciał, dlaczego i czy on temu podołać mógł, dość było aby skinął a szepnął — szedł w ogień i wodę.

Zaś Maryanek, który głowy takiej jak pierwszy nie miał, i samby może wielkim rzeczom nie podolał, trzymał się Zadory, nie odstępując go na krok. Nie-rozdzielni byli, gdzie jeden, tam i drugi, z tą różnicą, że pierwszy rozkazywał, drugi słuchał, a tak byli do siebie nawykli, iż spojrzawszy sobie w oczy rozumieli się. Maryanek mężny był, silny jak żubr, zapamiętały — Zadora przebiegły i zręczny.

Niebardzo był pewnym czy w istocie oni to byli, ale gdym na tę myśl wpadł, zdało mi się: nuż król ulitował się i kazał szukać mnie, nuż trop jaki znaleźli, nuż oni mnie wyzwolą!

W gorączkę mnie to wprawiło taką, żem chodził jak pijany.

Nazajutrz znowu do wyższej izby wpadłszy, pobiegłem zaraz do okna, ale nie zobaczyłem nic.

Na przeciwnym brzegu nie było nikogo.

Bojąc się, aby w przypadku gdyby znów przyszedł, nie ominęło mnie widzenie się i przekonanie czy wistocie Zadora był, nie odchodziłem od okna ani na chwilę. Daremniem wysiadywałem, nikt nie przyszedł.

Znów więc rozpacz ogarnęła, a po tej nadziei nadaremnej jeszcze mi boleśniej było niż przed tem.

Minęło dni kilka. Prawiem już do okna zaprzestał chodzić, gdy jednego dnia oparłszy się tu o kratę, poczułem jakby się ugiwała pod ręką. Lepiej się przypatrując postrzegłem, że była podpiłowana i tyle się tylko trzymała, aby nie widać było co się z nią stało.

Byłem najpewniejszy, że niedawno musiano kratę piłować. Na murze ślady świeżo postrzegłem zdrapane. Znowum oszalał bez mała. Tegoż dnia uparłem się z babą posprzeczawszy, że spać będę w tej izbie. Mówiłem, że mi w niższej zaducha dokuczała.

Sprzeczała się długo, przystała nareszcie, siennik mój rzuciłem na ziemię.

Noc była ciemna; miałem jakieś przeczucie, że coś się stać musi, że ktoś myśli o mem uwolnieniu. Ale nawet wylamawszy kratę i wydobywszy się z okna, spuścić się z muru w dół nie widziałem sposobu, a drabiny zkądby mieli dostać. W tych myślach tom się kładł na postanie, to zrywał do okna. Mówiło mi coś, że wolność odzyskam.

Tej nocy jednak czekałem napróżno i znowu nad ranem zasnawszy, narzekać począłem i rozpaczać. Ale trzymałem się izby górnej i siedziałem w niej ciągle. Dwie noce przemęczyłem się tak i już mnie nadzieja opuściła, gdy trzeciego dnia ledwie zciemniało, a jam leżał na moim barłogu, w oknie zobaczyłem jakby głowę ludzką.

Rzuciłem się ku kracie.

— Jaszko? — spytał głos cichy, w którym poznawałem Maryana.

— Ja! ja — wyjęknąłem, pochylając się ku niemu.

— Żywo... krata się ino trzyma, wylam ją na izbę, a sam leż, jest drabina ze sznura. Skręcisz kark, jam temu nie winien. Dwóch nas postronki nie zniosą.

Usłyszałem potem drapanie po murze i ucichło.

Jakom sobie naówczas rady dał, jeden Bóg wie. Z kratą nie było wiele zachodu, wykruszyła się zaraz tak, żem ledwie ją pochwycił aby z brękiem nie padła. Jak stałem wysunąłem się przez okno, o resztki żelaza w murze kalecząc, alem tego ani czuł. Nogami naprzód począłem szukać sznura, potem rękami. Drabina się ugiwała i chwiała. Spuszczałem się trzymając co sił, ciągle oglądając, kiedy stanę na ziemi, ale mur wysoki był, i osłabłem niemal ze strachu i tego mocowania się, gdy naostatek poczułem, że mnie ktoś pochwycił za barki.

Pod nogami pluskała woda.



W przekopie ciemno było tak, że ja ich a oni mnie widzieć nie mogli, a gdyśmy drabinę urwawszy poczęli iść, żeby się z tego dołu wydobyć, omackiem trzeba było chwytając gałęzie i krzaki przebijać się na brzeg drugi i miejscami wody po kolana mieliśmy.

Zadora i Maryan prawie się słowa nie odzywali. Drugi brzeg urwisty niełatwy też był do wdrapania się, a Maryanek kłął cicho, że nie trafił na wedowyje, którymi w dół schodzili. Pięliśmy się do góry i zsuwali, nim naostatek dostaliśmy się na górę i w las. A i tu po nocy do koni swoich Zadora i Maryanek ciężko drogi szukać musieli, na ludzi hukac nie mogąc, aby się nie zdradzić.

Zaczynało już dzień, gdyśmy znaleźli konie stojące na polance, a ludzi uśpionych. W mgnieniu oka wszystko było pogotowiu. Dla mnie też koń stał osiodłany, czapkę mi znaleźli, bom jej nie miał, więc na siodła i w drogę. Nie było czasu ani się rozmówić, ani pytać, ani dziękować. Jak na koniu dosiedziałem osłabły i odwykły od niego, sam nie wiem. Jechaliśmy klusem i czwałem prawie do południa, a drogami takimi, że na nich pogoni się nie było co obawiać. Kraj był górzysty i leśny; dopiero pod koniec spuściliśmy się na płaszczyzny i we wsi, która u podnóża gór stała, na popas stanęliśmy. Gdy z konia zlaź, rozbity, zatoczyłem się na nogach i padłem. Woda mnie i winem, które Zadora miał, musieli ocucić i krzepić.

Gdy mi się podniósł, poczęłem im dziękować.

Zadora śmiał się a tak szczęśliwy był, że mało nie dziękował sam za to, że mu się mnie uratować udało.

— Boże miłosierny — zawołałem przejęty wdzięcznością — ale jakżeście wy na ślad trafili?

— Nie potrzebowaliśmy go szukać — odparł Zadora. — Posłuchaj jak to było: król gdy się dowiedział, że ciebie zabrakło, a śledzić kazał z kim cho-

dziłeś i gdzieś bywał, z początku zagniewał się mocno tylko. Ale ma on dosyć spraw na głowie, szczególnie z temi Prusakami, aby mógł myśleć o wszystkim. Nierychło potem przypomniał sobie ciebie. Bodaj jakiś Litwin mu coś szeptnął. Kazał mnie zawołać do siebie.

— Nie pytaj o nic — rzekł — zrób co powiem, nagrodzę cię dobrze.

— Miłościwy panie — rzekłem — i bez nagrody życie stawię.

— Jaszka Orfana porwano — mówił dalej pan. Szkoda chłopca. Jeżeli żyw jest, to nie gdzieindziej się znajduje (doniesiono mi), tylko w Nawojowie na zamku. Zamek stary i warowny, trudno się do niego dostać, — mówił król dalej — ale od czegoż masz rozum i ręce?

— Popatrzył król na mnie — ciągnął Zadora — a ja mi się do kolan mu kłaniając, uśmiechnąłem.

— Miłościwy panie! — rzekłem, — kiedy wiem kędy go szukać, spodziewam się, że Jaszka dalibóg dostanę, ale proszę o to, abym Maryanka z sobą wziąć mógł. Jak nas dwu będzie, nie sposób żebyśmy oba przepadli.

Król palec położył na ustach.

— Bierz i jedź, a o tem wszystkim nie gadać mi, ani dokąd, ani po co, i powróciwszy, jeżeli Jaszko żyw, żeby mi on się nie ważył pleść co się z nim stało, gdzie był, kto go ratował. Patrzajcie, bo gniewny będę.

Dał mi pan podskarbi na drogę pieniędzy poddostatkiem — dokończył Zadora.

Jam słuchając jedno miał na myśli tylko, że król o mnie przecie dbał, dowiadywał się, łaskaw był na mnie i chciał ratować. Miłość moja dla niego wzrosła jeszcze i zawołałem, w piersi się bijąc.

— Dzień się wola Boża, będę żył tylko dla niego. Niewolnikiem jego chcę być, ostatnim sługą.

— Pamiętaj tylko jedno, gdy powrócimy — dorzu-



cił Zadora—abyś o swoim losie, o tem co się z tobą stało, milczał. Król przykazał, rozumiesz.

— Gęby nie otworzę — rzekłem — choć, Bóg świadek, nie wiem i nie rozumiem, za co mnie biednego sierotę kto prześladować może. Com ja komu winien? co szkodzi, że po świecie chodzę?

Takeśmy popasając rozmawiali, niebardzo śpiesząc się z dalszą jazdą, bo Zadora i Maryanek może nie-tyle, ale ja byłem złamany i zbolały tak, że sam nie wiedział, jak dłużej na koniu wysiedzę. Gdym się z tem odezwał, rzekł Zadora.

— Trzymaj się choć zębami kulbaki, a my tu nocować w pobliżu gór i Nawojowa nie możemy. Kto wie, co się gotuje? Jeżeli tam im, tym zbójom, tak bardzo o to chodzi, aby ciebie trzymali pod kluczem, mogą nas nagonić. Tu oni tak jak w domu, wioski i gospody do nich należą; krzykną, to im ludzie w pomoc przyjdą, a nam nikt. Nas dwóch, pachółków czterech, to sześć głów i sześć kordów, a twojego ja nie liczę, bo tobie się wprzód odgryźć trzeba, nim zaczniesz wojować.

Ledwie tych słów domawiał, gdy koło gospody za-tętniało. Maryanek wyleciał jak kamień z procy. Zadora się pochylił do okna i począł liczyć, ilu nad-ciągnęło, mnie się serce rozkołysało. Z izby słysze-liśmy tylko, jak Maryanek czeladzi się kazał do ku-py ściągnąć.

— Cztery konie—odezwał się Zadora—jeżeli ich niema więcej, a nie nadciągnie, nie obawiam się.

Wpadł do izby z oczyma zaskrzonemi Maryan. — Wielu?—Czterech.—No to niema co się płoszyć.

Ledwie skończył mówić, gdy na progu zobaczyłem Sliziaka. Głowę wsunawszy przez pół otwarte drzwi oczyma po izbie szukał, pewno mnie. Jam w ciem-nym kącie siedział za Zadorą i widać mnie nie było. Uderzyłem go łokciem i szepnąłem.

— Ten co mnie porwał!

Zadora Maryankowi dał znak głową i zrozumieli

się. Sliziak tymczasem niepewny w progu stał czy ma wejść, czy nie. Siedzący przy mnie zasłonił plecami tak, że nie byłem na oczach.

Zawahawszy się nieco stary niedźwiedź, pochwa-liwszy Chrystusa u progu, ociężyłym wsunął się kro-kiem. Ciarki po mnie chodziły.

Rozglądał się nie mówiąc do koła izby.

— A zkąd to Pan Bóg prowadzi? — hardo spytał Zadora.

— Z okolicy—odparł Sliziak—a wy?

— My z pod Krakowa—rzekł mój towarzysz.

Sliziak położył czapkę na stole i wyciągał się. Siadł na ławie, a tak mu przypadło, że mnie zobaczyć nie mógł.

Piwa sobie kazał dać szynkarce. Znali go tu wi-dać, bo mu zaraz usłużono.

— Nie jechał kto dziś tędy?—zapytał gospodyni.

— Sołtys z Brzezan i dwu kmieci z Nawojowa.

— A obcych.

— Pierwsi oto ci co przed wami tu zaciągnęli.

Siedziałem jak na węglach, bo mi się zdało, że co chwila wilczemi swemi oczyma mnie wypatrzy i rzuci się, jak na swą ofiarę. Posępny pił Sliziak piwo. Za-dora mu się przypatrywał jakby zawczasu mierzył siłę jego, na wypadek, gdyby się z nim potykać przyszło.

Porozumieli się oczyma z Maryankiem, jak to oni umieli, że im słowa na to nie było potrzeba. Maryan drzwi do stajni uchylił, aby zobaczyć, czy ludzie po-gotowiu byli. Tymczasem ci, co z Sliziakiem przy-ciągnęli, pozsiadali, koniom uzdy zdjęli i poprowa-dzili je do żłobów. Zadora to wszystko musiał obra-chować i wyczekawszy nieco, wstał, za rękaw mnie biorąc. Potem zaraz chwycił rękojeść szabli i kołpa-czek nałożywszy, postąpił ku środkowi izby. Kiwnął głową Sliziakowi, ukazując na mnie.

— Bywaj zdrów, stary!—zaśmiał się.

Dopiero mnie zobaczywszy, niedźwiedź ów rzucił



się, jakby go oszczepem przebito. Chciał na nas biedz, ale Maryanek mu z pochwę jego własny kord wychwycił i z nim stanął naprzeciw.

— Ani mi się rusz, bo łeb rozplątam! — krzyknął.

Myśmy z Zadora w drzwiach już byli, widziałem tylko, jak się Zadora za głowę pochwycił oburącz. Wdrapaliśmy się na konie, gdy Maryanek ze zdobytą szablą nadbiegł i na swoją szkapę skoczył. Puściliśmy się klusem wyciągniętym. Gdym mimowolnie odwróciłem głowę, zobaczyłem tylko na progu karczmy ludzi ze Sliziakiem stojących, ale gonić nas nie myśleli. Było nas młodych siedem głów, a ich czterech.

Jak to młodym wesoło zawsze, gdy im cokolwiek los pofolguje, tak i my, ledwie odetchnawszy z postrachu, aż do wieczora jadąc, ciągleśmy tylko żarty stroili. Ja najmniej, ale Zadora i Maryanek śmiali się, cieszyli, że się im tak udało, obiecywali sobie złote góry, trochę przedrwiwali ze mnie biednego, śpiewali, świstali, hukali, i tak nareszcie już po nocy zajechaliśmy do małej miejsciny, której nazwiska nie pamiętam. Stanęliśmy na targowicy pustej, bo już ludzie się po domach pozamykali i mało się nawet gdzie świeciło. Zadora upatrywał tylko, dokądby zajechać. Wtem żyd wyszedł z jednych wrót i począł zapraszać do siebie. Niewiele myśląc więc, zaciągnęliśmy się do niego. Szopa była próżna.

— No, tu już bezpiecznie się wypaść możemy i niczego obawiać nie potrzebujemy — rzekł Zadora — a jutro przy pomocy Bożej w Krakowie będziemy.

Mnie, żem jeszcze niezupełnie ze strachu ochłonął, coś tknęło, że nimeśmy wjechali do gospody, tąż samą drogą, którą myśmy przyjechali, nadbiegł konny jakiś, stanął w rynku i z konia zsiadłszy, rozglądał się. Nikt na to nie zważał.

Zajechawszy do gospody, postawiwszy konie, Zadora poszedł sam za strawą, bo głodny był, a tu, o tej godzinie w gospodzie, oprócz chleba, jaj, piwa i miodu, nie znalazł nic. Kazał więc jajecznicę sma-

żyć, łózka ślać, miodu przynieść i jak tylko nam misę podano, którąśmy w mgnieniu oka sprzątnęli, rozebrali się na siano spać.

Mnie było nie do snu.

— Słuchaj — rzekłem. — Choć to miasteczko i choć się tobie zdaje, że już nie mamy się tu czego obawiać, jabym na noc straż postawił.

Zadora i Maryanek śmiać się ze mnie poczęli. Zawstydiłem się mojego tchórzostwa trochę, ale powiedziałem sobie w duchu, że spać nie będę.

Jeszcze pacierzy wieczornych nie dokończył, gdy moi towarzysze chrapać poczęli. I mnie sen brał, ale ta myśl, że się mogę znowu dostać w ręce Sliziaka, który pewnie mnie żywić nie będzie, trwogą mnie przejmowała. Modliłem się siedząc na pościeli.

Wśród tej ciszy nocnej, przerywanej tylko pianiem kogutów, najmniejszy szelest słychać było, ale oprócz głosów zwierząt i czasem zrywającego się wiatru, który po rynku się miotał, ucho nic nie pochwyciło.

Liczyłem sobie do dnia godziny, bo wiosenna noc krótka. Nad ranem samemu mi się już poczęło zdawać, żem niepotrzebnie się trwożył, gdy głuchy tentent naprzód, a wnet potem stąpanie około domostwa słyszeć się dało. Okiennice były pozamykane, ale szpary w nich takie, że wyjrzeć mogłem przez jedną. W mroku spostrzegłem koni ze dwadzieścia na targowicy, z których ludzie zsiadali i zdawali się zcicha ku naszej kierować gospodzie. Niewiele myśląc, zbudziłem Zadorę, który miał taki sen szczęśliwy, że się z niego zrywając, ledwie co oczy przetarłszy, był przytomnym.

— Koni i ludzi ze dwudziestu — szepnąłem mu — domostwo osaczają.

Skoczył jak był rozdzielony do okna i spojrzał. Wistocie przybyła kupa rozstawiała się cichusieńko pod gospodą.

W mgnieniu oka zbudziliśmy Maryanka i wybiegli do sieni. Tu już ja spełna nie wiem, jak i co się



z nami działo; uczułem, że na koniu siedzę. Zadora w pół ledwie odziany oklep z jednej strony, Maryanek z drugiej, wrota się zeicha otwierają, wyrzeliśmy. Nie było na tyłach nikogo. Naprzeciw opłotkami biegła wązka uliczka, dobrze, że piaszczysta, wiodąca ku żaroślom. Puściliśmy się nią.

Byliśmy wszyscy bezbronni, i gdyby nas napadli, chyba było kółki z płotów wyciągać; ale dostaliśmy się do krzaków i zaszyli w nie, nie dostrzegłszy za sobą pogoni.

Ludzie, broń, odzież, koni reszta pozostała w gospodzie. Zadora tu dopiero pokazał, jaki rozum miał i jak sobie wszędzie i zawsze radę dać potrafił. W żaroślach i w lesie był jak w domu, bez drogi się puściliśmy, a on tak kierował na pewno, jakby Kraków widział już przed sobą. Przytomności nie stracił na chwilę, strachu nie okazał najmniejszego, ledwie nie można było sądzić, że mu to pociechę sprawiało, iż się tak musiał wywijać, a pokazać co umie.

W drodze przez las zrobił się naprzód ranek półjasny, potem dzień. Jechaliśmy nieprędko, bo gąszcze były wielkie; ale we cztery godziny kawał drogi musieliśmy zrobić. Oba towarzysze moi milczeli, dopiero nierychło Zadora odezwał się.

— Wściekłem głodny! wczorajszą jajecznicę przespałem i na koniu wytrząsałem, żeby choć kawał chleba.

Ale co tu było mówić o chlebie, kiedy my ledwieśmy koszule mieli na sobie, głowy odkryte, nogi bose.

— Trzeba szukać ludzi — dodał Zadora i tak jak pies kiedy wietrzy, na różne strony nosem poczał pociągać. Potem konia w lewo zawrócił i jechaliśmy milcząc znowu.

W pół godziny trafiliśmy na gościniec. Zadora z konia zszedł, ażeby się w śladach na nim rozpatrzyć. Jechaliśmy znowu, aż w lesie gospoda stoi.

Tu, jak nas ludzie we wrotach popasający zobaczyli obdartych, bez czapek, bosych, wybiegli aż ku

nam. Zadora zsiadł, ale tak dobrej myśli, jakby z turnieju powracał.

— Co się gagicie — zawołał — zbóje na nas napadli w śpiączki, musieliśmy uciekać, niema czego wielkich oczu wyropiać? Nie nowina to u nas i w biały dzień. Spytajcie kupców, co z Krakowa do Lublina jeżdżą mimo Pieskowej Skąły!!

Weszliśmy do izby, a Zadora na gwałt jeść wołał.

Znalazł się na popasie szczęściem człowiek, choć nieznany nam, ale na dworze bywały, Dzierżek z Bani. Jechał we cztery konie do Krakowa, do króla. Zadora się z nim w niewielu słowach rozmówił i nie zwierzając mu nic, powiedział tylko, że był z królewskiego dworu i jeździł z polecenia pańskiego, a zbóje go napadli.

Dzierżek miał z sobą odzieży dosyć i obuwia, aby nas okryć jako tako. Zmówiliśmy się razem z nim jechać.

— Mnie się widzi — rzekł Zadora — że nasi ludzie z kółkami kędyś na drodze się znaleźć muszą i że oni cało wyjdą.

Nie tłumaczył, jak się to stać mogło. Dzierżek rażny i wesół, kazał kur kilka zarznąć i krupniku z nich zgotować. Wina baryłeczkę miał z sobą, bo był człek dostatni, i na popasie ochota się wzięła taka, jak gdybyśmy biedy i strachu nie zaznali.

Konie popasały, myśmy się pookrywali, no i dalej w drogę ku Krakowu. Ale już tego dnia stanąć ani było myśleć, nałożyliśmy spory kawał, zmarudzili czasu wiele, trzeba było w mil jakich dwie nocować. Ziściło się proroctwo Zadory, bo pod wieczór w gospodzie ludzie się nasi znaleźli i rzeczy, których odbiedz musieliśmy. Powiadali, że strachu się najedli niemałego, bo ledwieśmy z gospody wyskoczyli, już do niej włamali jacyś ludzie, i zobaczywszy ciepłe jeszcze postania nie przypuszczając ucieczki, całe domostwo od wyżek do lochów strzęśli. Kleli i grozili, na męki chcieli brać, tumult się zrobił w miasteczku



i dopiero nadciągający jacyś zbrojni zmusili napastników do ucieczki.

Zadory pacholek opowiadał, że widział tego samego obrosłego starca, który na popasie się z nami spotkał. Sliziak więc to był ze swoją jakąś gromadą, który się tak zawziął na mnie.

Tym razem jednak niebezpieczeństwo zdawało się zażegnane zwróciliśmy pożyczoną odzież Dzierżkowi, i tak się moja szczęśliwa przygoda skończyła.

Nazajutrz rano stanęliśmy w Krakowie, a ja jakom był z konia zsiadłszy ledwie, wprost poszedłem do kościoła Panu Bogu dziękować.

Króla podówczas na zamku nie było, wyjechał na łowy, królowa tylko sama. Miałem czas wypocząć dobrze, a potrzebowalem wczasu tego, bo dopiero gdym się uczuł bezpiecznym, musiałem leż na łóżku i odchorować. Choróbsko jakby czekało na to, chwyciło mnie dopiero w Krakowie tak, żem leżał bezprzytomny w gorączce i musieli mnie pilnować i trzymać, bom się zrywał jak opętany.

W tej chorobie mojej doświadczyłem tego, co mi się nieraz w życiu potwierdziło, że człowiek przywiązuje do tego, komu wyświadczyć mógł dobrodziejstwo, więcej może niż ten, któremu ono było wyświadczone, do swojego dobroczyńcy. Tak ten Zadora a z nim Maryanek, którzy wprzód dosyć bywali dla mnie obojętni, teraz gdym z ich łaski swobodę odzyskał, jak rodzeni bracia przystali do mnie. Pilnowali mnie z kolei, lekarza królewskiego przywoływali, poili, karmili, czuwali. Nigdy przez nikogo tak pielęgnowanym nie był. Wdzięczność też im wiekusią poprzysiągłem.

Króla po powrocie zaraz widzieć nie mogłem, a wkrótce potem, gdy mnie choroba powaliła, on do Prus jechać musiał i tak się ściągnęło do jesieni.

Wstawszy potem, choć siły odzyskiwałem, nie rychło mi one powróciły. Włosy mi wypełzły z głowy, które choć potem odzyskałem w części, ale już

one nigdy takie bujne jak przedtem nie były. W sobie też samym na duszy czulem wielką odmianę. Dawna młodzieńcza buta i odwaga, owo śmiałe patrzenie na świat, nadzieje jakieś wielkie przyszłości, losów świetnych, wszystko gdzieś w chorobie wywieńtrzało. Pobożność cicha i potrzeba żywota spokojnego. Do rycerstwa już zbytniej nie miałem ochoty. Jednem pragnął, aby mi król dozwolił z łaski swej zostać przy sobie, a cobykolwiek mi nakazał i przeznaczył, pragnąłem spełnić, byłem mu służył i pod jego opieką mógł się tulić. Jawnem to było dla mnie, że byli tacy, co mnie ze świata sprzątnąć chcieli, którym ja zawadzałem, a nie mogąc trzymać w niewoli, gotowi byli i życia pozbawić. Ta groźba nade mną ciągnęła, ta obawa podstępów, zasadzki nowej, czyniły mnie nieśmiałym i trwożnym. Przez czas długi prawie nie wychodziłem z zamku, a gdym się potem ważył do ks. Jana Kantego, którego widzieć pragnąłem bardzo, zmówiłem się z Zadorą, aby mi do kolegium towarzyszył i z powrotem zabrał.

Rozkaz króla spełniając, gdym przed moim dawnym opiekunem stanął całując go po rękach, a on mnie dopytywać zaczął, co się zemną działo, że tak wynędzniałego i schorzonego widział—nie powiedziałem mu więcej nic nad to, że ciężką przebyłem chorobę.

Później dopiero ośmieliłem się wyznać przed nim, że król mi nakazał milczeć o tem, co mnie spotkało. Ale święty mąż bodaj nie potrzebował słów, czytał on na wskroś w człowieku. Nie dopytywał mnie więcej o nic, tylko o stan mojej duszy, a potem błogosławił i kazał mieć w Bogu nadzieję.

W Krakowie mało co znalazłem zmienionem. Spodziewałem się zawsze, iż ze śmiercią kardynała, który królowi nieprzyjaciół przyczyniał, serca się nawrócą ku niemu. Znalazłem w duchowieństwie i u panów tę samą niechęć co dawniej. Wyrzucano mu



i to co czynił, fałszywie tłómacząc, i to o czem wcale nie myślał.

W tym roku narzekano na przeciągającą się wojnę pruską, która się dosyć nieszczęśliwie wiodła, i na to, że król po śmierci Władysława węgierskiego i czeskiego, słusznie o obu tych koron przypadające nań dziedzictwo upominał się. Rycerstwo nie było przeciwko wojnie, bo ono na niej zyskiwało i próżnować nie lubiło; ale ziemianie, którzy pobory, akcyzy i grosz musieli dawać, sarkali. A że i od duchowieństwa król ofiar wymagał, ono więc najgłośniej wołało, iż świętokradzkie to były zamachy.

Zarzucono królowi, że złą monetę bili jego myn-carze, że kraj dla jego ambitnych zachcianek zubożał, że skarby wszystkie wojna pochłaniała, a naostatek posądzano go o zamachy na tych, co ważyli się przeciwko niemu występować.

Słuchając tego, co na zamek z miasta, zwłaszcza od Tęczyńskich przynoszono, bo tam wszelkie schadzki niechętnych się zbierały, żal brał biednego pana. Na burzę się zanosilo.

Gdy król do Krakowa powrócił, a jam już trochę sił odzyskawszy, włóczyć się zaczął, alem mu sam się na oczy nastęczać nie śmiał, zapytał raz Zadory, co się działo ze mną. Odpowiedział mu, że m po chorobie już wydobrzeł nieco. Nie wołał mnie do siebie, tak więc pozostało jak było. Jadłem, piłem i nie bółem nic. A że na zamku właśnie malarz wówczas najlepszy krakowski Jan Wielki ściany w dwóch izbach malował, nie mając co robić, siadałem, godzinami mu się przypatrując i rozmawiając z nim.

Mistrz to był w swojej sztuce, który wprzód po Niemczech i podobno aż po flamskich krajach, przypatrując się jej i ucząc wędrował. Potem powróciwszy, osiadł w Krakowie, gdzie okazawszy co umiał, do cechu się wpisał, a teraz w nim już starszym był i można powiedzieć jedynym.

Nikt mu tu nie sprostął, nietylko w obrazach Matki Boskiej i Chrystusa bolejącego, ale w takich, do których wiele osób wchodziło. W tych on umiał tak ustawić ludzi, takie im dać twarze, że zdało się, jakby ich czarodziejstwem jakimś przeniósł na płótno.

Człowiek był ubogi, a dziwnie wesoły i niedbający o grosz a zarobek. Gdy malować poczynął, aż mu się twarz śmiała i ręce trzęsły z radości. To było całe szczęście jego. Na twarzy ospowaty, blade, brzydki, gdy się ożywił przy robocie, prawie pięknym się stawał.

Korzystali z tego ludzie, że on niebardzo dbał o siebie. Była postawiona przez cech cena za obraz, tyle za Matkę Boską, tyle za Chrystusa, ze złoceniem, z wyciskaniem ozdób albo bez nich; tyle z rękami, lub bez rąk. A chciał kto aniola mieć albo dwu, musiał osobno dopłacić. Ale on, gdy mu aniola się podobało namalować, robił darmo i śmiał się.

— Co mi to znaczy ta marna zapłata?—mówił.—Ja, kiedy malując, Pana Boga chwale, tak mi w duszy ciepło a w sercu wesoło, że tego żadne skarby świata nie oplacą. Więc obraz daję tanio.

Widywałem go malującym i dużo czasu siedzącym nad deską; potem jednego dnia rano, machnął po swej robocie i zmazał... poszła w niwecz. Mnie żal było okrutny.

— Ale ba — wołał — nie godzi się w świat puszczać tego, co człowiek widzi niedobrem. Póki mam nadzieję, że mi myśl moja na deskę wypłynie, póty pracuję; gdy zrozmieję, trzeba ścierać i na nowo próbować. Człowiek jest tak słabem stworzeniem, że niekażdej chwili to może, czego chce. Gdy momentu nie dopilnuje, nie robi nic.

Ze ścianami zamkowemi Wielki miał ogromną pracę tak, że niemal wątpił, czy jej podola; ale razem ochotę do niej tak wielką, że byłby darmo malował. Na jednej z nich król chciał mieć turniej odmalowany, na drugiej koronację.



Było nad czem myśleć, gdzie tyle różnych postaci musiał malarz ustawić, a każdą wiedzieć, jak odziać, jak ubrać i dać jej twarz osobną, ludzką. Więc brał Wielki wprost z tych, na których codzień patrzył i ubierał nieraz po rycersku pacholków, a żebraków po senatorsku. Jak mu twarz czyja przypadła do myśli, brał prątek ołowiu i na papierze ją sobie zapisał, a potem z niej na ścianę przenosił. Gdy mu dobrze wypadła, śpiewał i śmiał się.

Patrzeć nań i słuchać go pociecha była. Gdy czasem sam pozostał, a zająć go było niepostrzeżonemu przy robocie, kto go nie znał, mógł posądzić, że szalonym był. Do swoich obrazów śmiał się, rozmawiał z niemi, bawił się jak z dziećmi. Niekiedy przed własnem malowaniem klękał i modlił się.

Przytem był to najmilszy w świecie człowiek dla czeladzi cechowej i dla cechowych panów braci.

Nigdy się z nieczyjej pracy, choćby najlichszej nie naśmiewał, i w każdej wyszukał i podniósł coś dobrego.

Swoje za to roboty bardzo surowo sądził. Raz gdy namalował Matkę Boską karmicielkę z dziećciem Jezus, a była bardzo piękna i jam się nad nią unosić począł, rzekł mi smutnie:

— Co z tego! co z tego, że ona piękna jest, ale po ludzku... tak sobie mieszczaneczka pocziwa i bogobojna, a tej Boskiej macierzy, którą ja w niebiosach widuję gdy się modłę, na ziemię ściągnąć nie mogę, bośmy oglądać jej niegodni. Albo i Chrystus Pan mój, co rozwartą ukazuje ranę w boku, cierpi on, ale tak jakby człowiek cierpiał, nie jak Bóg.

Raz przy mnie młody, ledwie co wyzwolony malarz cechowy Siedlak przyszedł do niego prosząc, aby mu przeprucha swojego pozwolił do obrazu Matki Boskiej.

— Masz — rzekł Wielki — ale ci się to na nie nie zda, bo ty twój własny przepruch w duszy mieć

powinieneś, a jak go tam nie ma, pożyczć go nie można.

W tych właśnie czasach, gdy ja nie mając nic do czynienia, przesiadywałem przypatrując się jak Wielki malował, przybył burzą zapędzony aż tu do Polski niejaki Basilides, Greczyn, który też sztukę co nasz malarz w Konstantynopolu uprawiał, i był onego czasu w mieście a nawet w kościele św. Zofii, gdy sultan konno wjechał w ściśnięty tłum. Cudem się on naówczas ocalił i zbiegł na wyspy, zkąd go wenecka galera zawiozła do Włoch, a ztamtąd do nas przywędrował.

Ten z sobą miał rękopism nieoszacowany o wszelkich obrazach malowaniu, z którego Wielki też uczył się i chwalił go, choć powiadał, że na zachodzie w Europie wiele rzeczy inaczej już czyniono a swobodniej. Greckie owo malowanie, mówił, piękne było, ale sztywne i chłodne, a losy nieszczęśliwego kraju w niem się odbijały, bo wszystkie ich święte obrazy grozy były pełne i srogości.

Wielki zaś powiadał, że Chrystusa i świętych inaczej jak miłosierdzia i dobroci pełnych malować się nie godziło, aby miłość obudzali.

Miał też i on rękopism mnicha Teofila niejakiego, z którego się uczył wielu rzeczy i bardzo go szanował.

Tak mi przy nim dosyć znośnie czas schodził, a gdy mi się przyznał, że ja też kaligrafując, próbowałem marginesy rysować w kwiatki, powiedział mi, że to była też niemala i inna sztuka, niepośledniejsza od malowań na deskach, której się uczyć trzeba było, a mało kto w niej dochodził do doskonałości. Czasami ów Basilides Greczyn, który też po słowiańsku umiał i zrozumieć go mogliśmy, siadał w izbie, a podparłszy się na rękę opowiadał nam o tych straszliwych dniach ostatnich Konstantynopola, na których wspomnienie łzy mu się lały.



Gdy począł mówić, przypominać, opisywać, od chwili pobudowania przez Turków zamku Laemocopia (Bagaz-Kessè), który cieśninę uczynił jakby zamkniętą, aż do tych ostatnich dni majowych, gdy Konstantyn padł nie chcąc przeżyć zdobycia stolicy, a potem i Notarasa ścięcie, wszyscyśmy z nim płakać musieli taką boleścią teńnęło każde jego słowo po straconej ojczyźnie, grobach ojców, domostwach rodziny i całej przeszłości w gruzach.

Basilides mówiąc o tem drżał cały, narzekając na to, że Wenecyanie, Genueńczycy, papież, całe chrześcijaństwo opuściło ostatniego z Cezarów greckich i dało go na łup tej dziezy.

Z tego jednak, co o Konstantynopolu przed zdobyciem jego nam opowiadał, widać było, że zguba jego długimi wiekami przygotowana, była nieuchronną, a całe męstwo i poświęcenie Konstantyna losu nieprzeblaganego odwrócić nie mogło.

Nie pomnę, aby cokolwiek w życiu na mnie uczyniło takie wrażenie jak boleść tego człowieka, który utracił ojczyznę i poszedł na tułactwo, wszędzie i zawsze nosząc się ze wspomnieniem niepowetowanej straty.

Basilides malował małe obrazki złote i bardzo kunsztownie barwione, które na Ruś szczególnie sprzedawał. Mógł łatwo żyć z tego, ale od łez, które wlewał ciągle, wzrok mu słabł i ślepotą groziła.

W tej to izbie, która i później się malowaną zawsze nazywała, gdy raz pod wieczór po wyjściu Wielkiego stałem zapatrując się na jego robotę, otworzyły się drzwi i wszedł niespodzianie król z ks. Lutkiem z Brzezia.

Poznawszy mnie podszedł żywo, i naprzód, gdy go w rękę całował pogłaskał mnie po głowie. Twarz mu sposepniała.

Ks. Lutek odstał ku ścianie, a król łaskaw począł się pocichu mnie wypytywać.

— Cóż? zdrówes to już?

A gdy odpowiedział, że czekam na rozkazy i radą bym służbę począć, zamyślił się.

— Duchownym ty być pono nie chcesz — rzekł — między rycerstwem jako sierota bez domu a bez szczytu nie przebijesz się... co z tobą począć? Ucz się — dodał po chwili — dzieci moje podrosną, będziesz je kiedyś może dozorował, byleś statecznym był. Ale i bakalarzować im przyjdzie. Mówię ci, ucz się. Służba na dworze przy mnie nie ciężka. Zwolni cię ochmistrz od niej, staraj się czego nauczyć i dla siebie i dla mnie. Sierotą jesteś, a gdy mi nad tobą opieka przypadła, nie porzucę cię. O tem co ci się przygodziło nie rozpowiadaj, nie pomoże rozgłos, a zaszkodzi. Teraz ci się już nie stać nie może, a co było, trzeba puścić w niepamięć. Ojca i matki próżnobyś szukał, gdy oni ciebie nie chcą lub nie mogą wziąć, a ja ci opiekunem będę — powtórzył i dodał raz jeszcze: — Ucz się!

Tak byłem przejęty miłością moją i wdzięcznością dla niego, że nie zważając na świadka rzucił do nóg zaklinając, iż życie gotówem dać dla niego i jak pies być mu wiernym.

O psie wzmiankę posłyszawszy, król się mimowolnie rozśmiał.

O! mój Jaszku — zawołał — to darmo, psu w wierności żaden człowiek nie dorównał!

Zwrócił się potem do ks. Lutka i zapytał:

— Nieprawdaż, ojczes?

Tamten skłonieniem głowy potwierdził. Zaczem król począł rozpatrywać malowanie Wielkiego, osobliwie rycerzy turniejowych i ich uzbrojenie, dziwując się, że prosty człek ów Wielki, tak dobrze rozumiał wszelkiego oręża użycie, i twarze malował jak żywe.

Ks. Lutek ukazywał niekrótych na ścianie podobnych do ludzi znanych i znajdował to nie właściwym, że się oni tu poznać mogli, ale król chwalił.

Gdy oni się tak przypatrywali, a ja na uboczu stałem, król mając już odchodzić, raz jeszcze się zbli-



żył do mnie i powtórzył mi to co wprzód, abym się uczył i dobrej był myśli, bo on sług wiernych potrzebował, mając wielu niedobrych, na dworze siedzących tylko, aby nieprzyjaciółom królewskim donosili co się tu działo.

Tego dnia, powiedzieć mogę, skończył się pierwszy peryod żywota mojego, który o przyszłości stanowił. Dojrzałem w niewoli owej i przejrzałem, że przeciw losowi memu i przeznaczeniu płynąć nie powinienem był, ale się mu poddać, dziękując Bogu za to, że mi w potężnej prawicy króla a pana dał opiekę, za którą stać mogłem bezpieczny jak za szczytem.

Król naówczas już dwu synów miał: Władysława i Kaźmirza, a córkę, jeśli dobrze pamięć, jedną Jadwigę. Co roku też przybywały dzieci, te co były rosły, miałem już wyznaczone przyszłe miejsce moje około dozoru nad niemi. Począłem więc myśleć jak się do tego usposobić, nimby chłopcy podrośli. Do kilku lat musieli oni być na niewieścich rękach u królowej, ja zaś czas miałem nauczyć się i pomyśleć nad tem, jakbym im potem służył.

Ochmistrem ani nauczycielem nie mogłem sobie pochlebiać, aby mnie uczyniono. Na to wybierano zwykle poważnych, starszych i uczonych ludzi, ale towarzyszem i niańką a stróżem pewnie być mi przeznaczono. Czuwać, aby się im złego co nie stało.

Sobie samemu nie ufając, chociaż od przygody mojej ze Sliziakiem nie rad wychodziłem sam na miasto, postanowiłem udać się do ks. Jana mojego i rady zasięgnąć, a wypowiadać mu się ze szczęścia, jakie mnie spotkało.

Nie zapisałem tu jeszcze, że nazajutrz potem, gdy król mnie w malowanej izbie znalazł i przemówił, marszałek i ochmistrz oznajmili mi o wyznaczeniu dla mnie stałego jurgeltu, utrzymania dla dwu koni, sukna na odzież, kozucha i wszystkiego co dworzanie starsi pobierali.

Ochmistrz zaś objawił i to, że mogłem czasu za-

żywać jakom chciał dla nauki i do kolegów chodzić, języków się uczyć, gdyż do żadnej służby nie byłem obowiązany, krom do stawienia się każdego wieczora na zamek.

— Patrzajże—kończąc to dodał łagodnie—iż szczęście własne masz w ręku, a teraz ono od ciebie samego zależy.

Szedłem tedy do ks. Jana, znając obyczaj jego w tej godzinie, gdy był pewien, że go na modlitwie i rozmyślaniu znajdę przed ukrzyżowanym Zbawicielem. Tak się stało; czekałem aż wstał, a choć się mnie spodziewać ani wiedzieć nie mógł że przyjdę, zwrócił się ku mnie tak, jakby się znaleźć spodziewał. Niejeden raz przekonałem się, iż miał takie przeczucia wszystkiego co go spotkać miało. Twarz jego pogodna i jasna, nigdy podziwienia, nigdy niepokoju żadnego nie zdradziła.

— Cóż chłopcze? — rzekł — czy ci się śmieją? odżyłeś już.

A gdy go w rękę całował, on zaś mnie błogosławiąc, dodał:

— Przyniosłeś mi co nowego?

— Rady prosić przyszedłem—odparłem zcicha.

— U mnie zawsze jedna—rzekł ks. Jan — *ora et labora*, módl się a pracuj. To wszystko.

Chciałem i musiałem mu się wypowiadać ze wszystkiego, słuchał cierpliwie. Nietylko dla mnie miał on tę świętą wyrozumiałość, że się wygadać dał zawsze z tem, o czem dawno wiedział i czego się mógł łatwo domyśleć. Widywałem go tak w ulicy słuchającego cierpliwie żebraków, skarżących się bab, stojącego w otoczeniu żaków.

— Bogu dziękuj! — rzekł spokojnie w końcu. — Drogę masz wyznaczoną. Ucz się, pracuj, staraj się godnym stać zaufania króla, a pamiętaj, jeżeli cię kiedy Bóg uczyni blizkim ucha i serca tego pana, abyś wiernym mu będąc, pochlebstwem i fałszem dla pozyskania łask się nie skaził. Posługuj się czasem



królów i złemi ludźmi, ale niemi pogardzają. Cnota tylko trwale daje poszanowanie, wiarę i powodzenie.

Radził mi potem do kolegów uczęszczać, pilno słuchać, zapisywać to co z katedry wygłaszają, a czasu drogiego młodości nie marnować.

Przerwał ową rozmowę nadchodzący O. Jan z Dukli, pobożny i świątobliwy mąż, który należał do tych, co się wymową Kapistrana ująć dali do nowej jego reguły. Był on już dawniej w zakonie tym św. Franciszka i starszym się liczył, gdy Kapistran kazał w Krakowie.

Przybiegł naówczas ze Lwowa, aby go słuchać i ściślejszą regułę jego przyjął zaraz, a stał się nowego zakonu podporą i chlubą.

Odszedłem więc nie śmiejąc być natrętnym dłużej, aby na zamek powrócić.

Wesołej myśli, bezpiecznie kroczyłem ku Wawelowi, gdy w ulicy św. Anny jeszcze kolebkę spotkałem pańską, której z drogi ustąpić przyszło. Jakież było przerażenie moje i osłupienie, gdy pomijając ją, ledwie się nie otarł o Sliziaka.

Stary jechał konno tuż przy stopniu. Rzuciwszy okiem w wnętrze, ujrzałem surowych rysów dumną twarz niewiasty lat średnich. Odkoczyłem w bok... postrzegł mnie Sliziak, brwi mu się jeszcze straszniej najeżyły gdy mnie poznał, a odrobina lica, które nie było zarostem okryte, pobladła. Rzucił się na koniu, jakby gonić chciał za mną.

W ulicy nie było się czego obawiać, przecież gnany strachem jak strzała, nieprzytomny, spłoszony puściłem się ku zamkowi.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Muzeum  
JIK  
KRAKOWIE  
295



